NAKŁADEM WYDAWNICTWA „CZYTELNI LUDOWEJ“

RÓŻNE WIADOMOŚCI.



ILLUSTROWANA KSIĄŻECZKA.

1872.

RÓŻNE

WIADOMOŚCI.

ILLUSTROWANA KSIĄŻECZKA.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

ILLUSTROWANA KSIĄŻECZKA

z ciekawych i nauczających rzeczy złożona.

Przedruk z Illustrowanego kalendarza 1871 r.

KRAKÓW,
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „CZYTELNI LUDOWEJ".
1872.

Treść rzeczy.

Część I.

Część II.



GRUPA Z POMNIKA W KOSCIELE FRANCISZKAŃSKIM W WIEDNIU.
DZIEŁO CANOWY.

Wigilia Bożego Narodzenia.

I któż z nas nie wspomina owe dni szczęśliwe,
Owe radości w życiu — jedyne, prawdziwe;
Kiedyśmy wybiegali w zimowe poranki,
Ślizgać się po jeziorze, albo wozić sanki.
Pamiętacie tę szybę gładką, ściętą mrozem,
Tak silnie, że chłop po niej mógł przejeżdżać wozem;
Jak przy bladych promieniach zamglonego słońca,
Lecieliśmy po lodzie w przestrzenie bez końca.
Pamiętacie Wigilią w miłych braci kole?
Na samo jej wspomnienie, skakało pacholę.
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrém niebie gwiazdeczka zaświeci!
Ileż to w owe czasy sprawiła uciechy
Choinka ze świerkami, z złotemi orzechy,
Pełne rumianych jabłek cynowe półmiski.
Jakeśmy się cieszyli ujrzawszy przed świecą,
Na opłatku Jezusa z przeczystą Dziewicą!
Pamiętacie to wonne na ziemi posłanie,
Gdzie się dzieci swobodnie kulały po sianie,
A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka,
O przyszłym urodzaju poczciwego chłopka.
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośném pianiem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach żółtemi skrzydłami,
Jak niesłychana radość podrzucała nami.
Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolendy, jak skowronki w górze.

Spoglądając w okienka, rychło Anioł Boży
Wiecznéj jasności wrota gwiaździste otworzy;
I w blasku jaki oko wytrzymać nie zdoła,
Ukaże Patryarchów i Aniołów koła.

Pomnicie jak wróciwszy z kościoła nad ranem,
Paśliśmy bydło zdjętém z pod obrusa sianem?
Które téj jednéj nocy po oborach gwarzy,
O losie swych poczciwych starych gospodarzy.
O jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka,
I wesoła kolenda wiejskiego parobka,
Co przebrany za tura wtaczał się przez progi,
Konopną nosił brodę i nadstawiał rogi,
I póty mruczał, niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołacza i miodu.

Ach i któżby zapomniał swe dziecinne lata,
W których mu była niebem rodzicielska chata!
Ale niedość wspominać, bo gdy rolnik sieje,
To i przyszłego plonu słodką ma nadzieję.
Nadaremnież nam cudne okazano sprawy,
Żebyśmy je w ucieszne zmieniali zabawy.
Czy owe wiejskie gody śród cichej zagrody,
Nie mają się rozwinąć w całéj Polski gody?
Czy ów łamany w Wilią przejrzysty opłatek,
Nie znaczy żeby z braćmi podzielić ostatek?
Czy ma się darmo święto Narodzin obchodzić,
Jeśli się w naszém życiu Chrystus nie odrodzi?
Czy niebo, które widzi téj nocy prostota,
Nie ma być żywą księgą naszego żywota?

Nigdyż ziarno zwyczajów kłosem nie wybuja?
Wiecznież więc dla przyszłości tylko Alleluja?

O! nie bracia serdeczni, bo choć zły duch psoci,
Jednak na naszéj ziemi już się trawka złoci.

A teraz przyjaciele, przy świętej wieczerzy,
Uściśnijmy się wzajem, serdecznie, najszczerzéj,
I niechaj każdy z serca próżne żale zrzuci,
Wróci dobre, gdy zgoda i czerstwość powróci;
Kto pracuje na ziemi, spodziewa się płacy!
Więc kochajmy! pracujmy! nam potrzeba pracy.

T. Lenartowicz.

STYCZEŃ.



Św. Andrzej Żórawek.

Bardzo dawno, bowiem jeszcze w X wieku, żył w Węgrzech, za czasów podobno św. Stefana, w klasztorze Zabór, w powiecie Nitrjeńskim, pobożny Benedyktyn, zwany przez braci klasztornych Zoerardem. Zoerard był rodem z Polski, z miasta Opatowca, i nazywał się właściwie Andrzej Żórawek. Ciężka praca, umartwienie postami i różnemi dobrowolnemi mękami swego ciała, oraz modły ustawiczne, oto co głównie zajmowało Andrzeja, i co za życia nawet zjednało mu oczywisty dowód łaski nieba; gdy bowiem znużony rąbaniem drew i ścisłym postem, omdlał w lesie,

anioł w postaci pięknego młodzieńca zjawił się niebawem, zmordowanego Żórawka na wózku złożył, i do celi pustelniczéj odwiózłszy, ocucił. Po śmierci, którą sobie przepowiedział, ciało jego złożone zostało na miejscu zwaném Górą Żelazną, a on sam przez papieża Kaliksta IV, świętym uznany został.

NOWY ROK.

Nowy Rok wypada zawsze w oktawę Bożego Narodzenia; w dzień ten według Ewangelii św. Łukasza, przedstawiono Chrystusa w świątyni, obrzezano według ustaw hebrajskich, i nadano mu imię Jezus; ztąd kościół obchodzi w dniu tym pamiątkę Obrzezania Zbawiciela i nadania mu imienia Jezus. Starożytni Rzymianie w dniu tym obchodząc zaczęcie Nowego Roku, wydawali świetne uczty i maskarady na cześć bożka Janusa (od którego i miesiąc cały zwał się Januarius) oraz bogini Sileny. U nas dawniéj był bardzo piękny zwyczaj, że proboszcz z organistą zawsze przed Nowym rokiem obchodzili chaty kmiece, modlili się razem, obdarzali opłatkami, a następnie ciągnęli egzamin z gospodarza, jego żony, dzieci, powinowatych i czeladzi, dowiadując się, czy umieją dobrze pacierz, czy pamiętają przykazania i czy znają dobrze nauki katechizmowe. Dziś wyszło to ze zwyczaju, a natomiast składanie życzeń upowszechniło się wszędzie, z dołączeniem niekiedy podarunków dawanych jak to mówią na kolendę. Kto zaś nie może lub nie chce sam osobiście składać komu życzenia, posyła bilet nazwany z powinszowaniem Nowego Roku. Od lat kilku wszedł w Warszawie chwalebny zwyczaj, że ci którzy rozsyłali dawniéj bilety, teraz składają w miejsce tego pewną summę, zwykle niewielką, na korzyść jakich zakładów dobroczynnych, lub osób potrzebujących wsparcia. Z Nowym rokiem rozpoczyna się także czas uciech — karnawał, o którym na następnéj kartce słów kilka.

Kalendarz rybacki.

Rybołówstwo jest u nas gałęzią przemysłu narodowego, mocno zaniedbaną. Dla zwrócenia na takowe uwagi, dajemy tutaj kalendarz rybacki. Może niejeden przeczytawszy te krótkie przypominki, rozejrzy się po swoich stawach, jeziorach i innych wodach, i pomyśli, że i one w tych ciężkich czasach dać jakąś korzyść mogą.

Ryba, oprócz wody potrzebuje powietrza. W zimie, gdy mróz pościna powierzchnie wód, potrzeba koniecznie pamiętać o dostarczeniu rybom powietrza, przez stosowne otwory w lodzie czyli przeręble. Podczas wielkich śniegów i zamieci, powinien dozorca stawów, miejsca przy śluzach, gdzie woda odpływa, chrustem lub słomą nakryć, zapobiegając, aby się wszystkie otwory w lodzie hermetycznie śniegiem nie pozapychały, przez co wszystkie ryby zginąćby mogły; nakrycia ułatwią mu bardzo wyrąbywanie lodu. Codziennie rano i wieczorem powinien dozorca opatrzony w kilof i grabie żelazne, obejść staw dla dopilnowania przerębli w lodzie i wydobycia z nich kawałków lodu, które woda naniosła. Gdy lód dojdzie do grubości dwóch stóp, a nadto i śniegiem jest przysypany, przez co przypływ wody zwykle umniejsza się, należy wtedy i odpływ wody o pół cala zmniejszyć, przerębli w lodzie bronić od zamarzania i tak bez szkody dla ryb, czekać na odwilż i przybytek świeżéj wody.

Miętus w tym miesiącu trze się. Szczupak, leszcz, śliz i kiełb są w tym miesiącu bardzo tłuste. W czasie długich wieczorów, należy robić nowe i sporządzać stare sieci.

LUTY.



Błogosławiony Klemens z Ruszczy.

Branicki Klemens hr. z Ruszczy, żył w wieku XIII. Był on kasztelanem krakowskim, i jako taki r. 1239 zawarł pokój z królem węgierskim Belą, i córkę jego Kunegundę monarsze swemu Bolesławowi Wstydliwemu jako żonę przywiózł. Za to mianowany został wojewodą krakowskim. Lecz niedługo pozostawał na tym urzędzie, albowiem r. 1241 srogi napad Tatarów na polską ziemię powołał wszystkich zdatnych do oręża na obronę kraju; więc i Branicki, lubo już starzec, pochwycił dziarsko za miecz, i zginął mężnie pod Chmielnikiem, broniąc krwią swoją

wiary, ojczyzny i braci. Był to senator pobożny i dobroczynny, wspierał ubogich, a w Staniątkach fundował klasztor Benedyktynek, i uposażył go licznemi włościami. Jedyna córka jego Wisenna, wstąpiła do tego klasztoru, i tamże zcstała ksienią. Tak Klemens jak żona jego Rościsława i córka Wisenna, zaliczeni zostali do rzedu Błogosławionych Pańskich.

KARNAWAŁ.

Karnawał i jako wyraz i jako zwyczaj pochodzi z włoskiego. Włosi przed nastaniem wielkiego postu, który dawniéj, na całym półwyspie Apenińskim ze ścisłością był obchodzony, — chcieli sobie pohulać za całe czterdzieści dni i biesiadując, pijąc, bawiąc się radośnie, krzyczeli w uniesieniu żegnając się z mięsem: carne vale! to jest mięso bywaj zdrowe! Do dziś dnia Włosi trzymają prym w uroczystościach karnawałowych; — dawniéj słynęła Wenecya, dziś Rzym. We Francyi już nie tak huczno i gwarno; w Niemczech niemal zupełnie spokojnie. U nas karnawał rozpoczyna się także z Nowym Rokiem; ulicznych zabaw i zgromadzeń nie ma wcale, wszystko pod dachem się odbywa. Cechami naszego karnawału są: tańce, maskarady, kuligi, faworki czyli chrust i pączki. Najhuczniejszymi dniami zabaw, w których i lud najczęściéj także wielki ma udział, lecz nie razem jak we Włoszech np. z wyższemi klasami, są: tłusty czwartek czyli ostatni w karnawale, zapustna niedziela i ostatni poniedziałek i wtorek. Po ostatnim wtorku zaraz we środę przypada popielec, dzień modlitw, niby rozpoczęcie chwil pokuty, a rozstanie się z dniami uciech; kapłan przypominając to, sypie na głowy modlących się wiernych popiół, mówiąc: proch jesteś i w proch się obrócisz. Po ulicach zaś chłopcy przypinają przechodzącym kobietom, szczególniéj niezamężnym, klocki z drzewa, kości lub łap zajęczych, i śmiejąc się mówią, że to jest kara dla tych, które w ciągu karnawału za mąż nie poszły. Dawniéj przyłączano jeszcze do klocka satyryczne wierszyki, lecz dziś to ustało.

Kalendarz rybacki.

Łowienie ryb pod lodem odbywa się w dalszym ciągu. W końcu miesiąca (Lutego) najmłodsze szczupaki ze zdolnych do tarła, zatém trzy-letnie, trzéć się zaczynają. Jazgarze, ślizy, sielawy i starsze szczupaki są bardzo tłuste jeszcze. Zamrożonemi rybami prowadzi się handel; można je w tym stanie na targi, kiedy dobra droga, przewozić. W czasie twardych mrozów, należy dawać baczność, aby woda do stawów ciągle przypływ świéży i odpływ takowy miała. W czasie zadymek należy dzień i noc dawać wielką baczność, ponieważ przeręble łatwo mogą być zawiane, a jak tylko będzie wody przybytek, i ta na lód wystąpi, łatwo zamarznie. Jeśliby w końcu tego miesiąca, zanosiło się na odwilż, a śniegu było dużo, potrzeba wyrąbać lód w kanale, którym woda płynie, tudzież poobcinać go około upustów i mnichów, aby za przybraniem wyższéj wody, szkody w nich nie zrządził jakiéj. Gdyby woda przybrała, pootwierać należy mnichy i upusty, aby miała wolny odpływ.

Najgorsze jest, gdy silne mrozy i odwilże na przemian po sobie następują. Wskutek téj nagłéj zmiany temperatury, tworzą się na stawie dwie warstwy wody i lodu, zamykające rybom wszelki przystęp powietrza. W takiém położeniu potrzeba przepływ wody zmniéjszyć, a przeciwnie odpływ jéj przy rynnach, upustach lub mnichach natychmiast lekko powiększyć, ażeby woda w jak najkrótszym czasie w całym stawie przynajmniéj na 2 lub 3 cale opadła; przez to bowiem obie warstwy lodu popękają, woda zwierzchnia zleje się do spodniéj i górna warstwa na dolnéj osiądzie.

MARZEC.



Św. Kazimierz.

Św. Kazimierz urodził się 3go Paźdź. 1458 r., z ojca Kazimierza IV Jagiellończyka, króla polskiego, i matki Elżbiety Rakuzanki. Kazimierz wraz z braćmi swymi oddany został pod naukowy kierunek znanego dziejopisarza Jana Długosza, który tak przykładném swém życiem, jak i wzniosłemi naukami, wszczepił w serca uczniów swoich zarody cnoty i bojaźni Bożéj. Pobożność i pokora szczególniejszemi były zaletami królewicza.

Na zamku w Starym-Sączu lub w Miednikach nad Moszczenicą, żył spokojnie Kazimierz, pędząc dni na rozmyślaniu potęgi

i doskonałości Bożéj, i na chwaleniu Najświętszéj Bogarodzicy, na cześć któréj napisał po łacinie piękny hymn: „Omni die hic Mariae.“

Wieść o cnotach Kazimierza biegła szybko. Węgrzy uciskani u siebie, 15sto letniemu Kazimierzowi ofiarowali koronę. Wymawiał się królewicz, ale szczęście ludu sąsiedniego i wola ojca zniewoliły go do wyruszenia na wyprawę. Lecz chwiejne postępowanie papieża unicestwiło wolę garstki Węgrów, dążących do swobody, i królewicz nie osiągnąwszy korony, wrócił do ojczyzny. Oddał się cały pobożności, postom, jałmużnom, i przepowiedziawszy naprzód dzień swego zgonu, umarł w 25tym roku swego życia 4 Marca 1484 r. w Grodnie, pochowany w Wilnie w katedrze.

Liczne cuda zwróciły uwagę Rzymu, i papież Leon X, r. 1521, wpisał Kazimierza w poczet świętych. A gdy następnie Chodkiewicz po modłach nad grobem Kazimierza odprawionych, zbił Szweda pod Hohenhausen i Białym-Kamieniem, Polacy obrali go swym patronem.

POST WIELKI.

Dla przysposobienia się do należytego obchodzenia pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego czyli Wielkiéj Nocy i przyjęcia komunii, kościół naznaczył post czterdziestodniowy na pamiątkę postu Jezusa Chrystusa na puszczy. Post zaczynał się dawniéj od niedzieli starozapustnéj i trwał z wyłączeniem niedziel i sobót aż do Wielkiéjnocy; a teraz zaś od Popielca bez żadnych wyłączeń. W kościołach kapłani przywdziewają ciemnych barw ubiory. Gloria in excelsis i Te Deum przestają być śpiewane, wstrzymanie od pokarmów mięsnych jest nakazane i spowiedź wielkanocna na dwa lub cztéry tygodnie przed Wielkanocą rozpoczyna się. U nas odprawia się jeszcze nabożeństwo nieszporne zwane: Gorzkiemi żalami, podczas których lud wraz z duchowieństwem śpiewa pieśni rozważające mękę i śmierć Chrystusową. W środę po trzeciéj niedzieli postu przypada tak zwane półpoście czyli środopoście, w niektórych miejscowościach ogłaszane biciem w dzwony w południe, a w wieczór rzucają pod nogi przechodniom lub we drzwi mieszkań garnki z popiołem, wołając: półpoście! Ostatnia niedziela przed Wielkanocą zowie się Kwietnią czy Palmową, gdyż palmy w on dzień się święcą na pamiątkę tryumfalnego wjazdu

Chrystusa do Jerozolimy na kilka dni przed Jego śmiercią. Gdzieindziéj a szczególniéj w Paryżu do połowy postu trwają najhuczniejsze zabawy; u nas wszelkie takie rozrywki nikną, a ich miejsca zajmują: koncerta a teraz i odczyty.

Kalendarz rybacki.

Stosownie do pogody panującéj w tym miesiącu, zaczynają się prędzéj lub późniéj trzéć: szczupak, boleń, rap, śliz, jaź, jazgarz, i jeszcze miętus, z powodu téż tego połów ich powinien być wstrzymany, gdyż łowiąc je teraz jeszcze, nieobliczone się zrządza straty dla krajowego rybnego gospodarstwa.

Wyborne są do łowu węgorze w tym czasie, także ślizy i minogi rzeczne. Połów łososi rozpoczyna się i łatwo uskutecznia.

Ryby ze swoich zimowisk zaczynają się już poruszać, zwłaszcza, jeśli piękna jest pogoda. Jeżeli woda z roztopów śniegowych obficie płynie, to potrzeba zachować te przestrogi. jakieśmy w poprzednim miesiącu podali. Szczególną baczność należy zwracać na tamy i upusty, gdyż łatwo od powodzi, zwłaszcza teraz z krą płynącéj, zniesionymi lub uszkodzonymi być mogą, a naprawa ich wymaga wiele marnie straconéj robocizny. Z tego więc powodu dla uniknienia większéj straty, wypada mieć w pogotowiu gnój mierzwiasty koński, gdyż nic tak dobrze niewielkich, dopiéro co tworzących się szczelin w groblach nie zapełnia jak nawóz koński, który ma własność nieprzepuszczania wody przez siebie. Skoro wielka woda przepłynie i nie ma już obawy znacznych mrozów, a co zwykle ma miejsce przy końcu Marca, to można przystąpić do łowienia zimochowów, a następnie do wiosennego obsadzania stawów.

Stawy które mają być obsiewane, jak najwcześniéj osuszać należy

KWIECIEŃ.



Św. Wojciech.

W chwilach rozkrzewiającego się w Polsce chrześcijanizmu, św. Wojciech najpodnioślejsze jako apostoł zajmuje stanowisko. Rodem z Czech, syn Słannicza hrabi na Lubiczu i Strzeżysławy, córki księcia czeskiego, a krewny cesarza Henryka I, z młodych lat przeznaczony został do stanu duchownego, stosownie wychowany przez biskupa magdeburskiego Alberta, i w młodych jeszcze latach przez Czechów biskupem pragskim obrany. Ale surowość obyczajów biskupa nie zgadzała się zupełnie z rozpustą możnowładców, św. Wojciech opuścił Czechy, udał się do Rzymu, a strawiwszy lat kilka na pokucie w zakonie, powrócił do Czech przy-

wołany przez stęsknionych rodaków. Ale ich zatwardziałość w złem, zmusiła go wyjechać do Węgier, gdzie na nauczaniu wiary i pisaniu rzeczy duchownych czas trawił. Z Węgier udał się do Polski, gdzie nawet, jak podanie niesie, został arcy-biskupem gnieźnieńskim, co jednak sprzeciwia się historycznym twierdzeniom. W Polsce zaciekawiony wielce opowiadaniami o Prusakach i rozogniony żądzą nawrócenia ich, wybrał się na Pomorze nadwiślańskie. i tamże nauczając żarliwie Chrystusowej wiary, zamordowany został przez pogan około r. 997. Bolesław wykupił ciało świętego męża i pochował je w Gnieźnie. Wkrótce miejsce to zasłynęło cudami, cisnął się ludek pobożny z dalekich stron, a nawet tacy monarchowie jak Otton III, nawiedzali grób św. Męczennika. Pamięć św. Wojciecha utrwala się pomiędzy nami także przez powszechne mniemanie, iż on był twórcą znanéj pieśni wojenno-pobożnéj: „Bogarodzica," przy dźwięku któréj rycerstwo nasze potykało się z wrogiem i odnosiło zwycięztwa.

WIELKANOC.

Tydzień poprzedzający dzień pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego, nazwany także wielkim, jest prawdziwie tygodniem uroczystości. Rozpoczyna go Wielka Środa tak zwaną ciemną jutrznią odprawioną w wieczór, w czasie któréj kleryk gasi piętnaście świec, a duchowni śpiewają lamentacye Jeremiasza proroka i robią łoskot w końcu nabożeństwa, dla wyobrażenia zaburzenia, jakie w naturze śmierć Boga-człowieka uczyniła. W Wielki Czwartek jest ostatnia głośna msza, krzyż składa się w grobie, świeczniki na ołtarzu przewracają się na znak żałoby, odbywa się poświęcenie olejów do chrztu i oleju do ostatniego namaszczenia, w końcu obmycie nóg 12stu biednym. Wielki Piątek nie ma zbyt wiele pamiątkowych nabożeństw: kapłani modlą się tylko za wszystkich: papieża, biskupów, kapłanów, lud, przyjaciół i wrogów nawet, na pamiątkę Chrystusa, który na krzyżu modlił się za nieprzyjaciół. U nas w tym dniu rozpoczyna się nawiedzanie grobów i trwa to aż do soboty wieczór. W Wielką Sobotę jest więcéj uroczystych nabożeństw: najprzód kapłan poświęca przed kościołem ogień i ciernie, następnie w kościele już święci świecę woskową, zwaną paschałem, która jest godłem zmartwychwstałego Chrystusa Pana; daléj poświęci wodę do chrztu, a w końcu od-

prawia mszę, w czasie któréj podczas Gloria dzwony znów słyszéć się dają. Uroczystość Zmartwychwstania rozpoczyna się u nas nabożeństwem zwaném Rezurekcyą, w czasie którego krzyż podniesiony jest z grobu, pieśni radosne brzmią a wesołe Alleluja roznosi się w powietrzu; zresztą wszystkie inne modły i nabożeństwa uroczyście są obchodzone.

Kalendarz rybacki.

Łososie i lipienie dla tarła płyną z morza, a guszczora z jezior. Trą się: leszcz, świnka, jaź, guszczora, rap, karaś, piskorz, stare szczupaki, sandacz, cierniki, okonie z płytkich wód, jazgarz, jesiotr, minóg, jelec, wyrozub, kleń, owsianka, śliz, kózka, lipień i stynka. Urfy są w tym czasie smaczne, a węgorz najlepszy, gdy olszyna pęka.

Łososia najlepiéj w tym miesiącu łowić.

Rybołówstwo na wędy rozpoczyna się. Wiersze zastawiają się na ryby w ujściach dróg i kanałów. Łowić ikrzaków i trących się ryb nie można. Kwietniowa woda daleko ma więcéj części pożywnych w sobie, jako z uprawnych pól spływająca, i z tego powodu dobrze ją przez stawy przepuszczać.

W tym miesiącu dokonywa się obsadzanie stawów, byle nie około południa, gdyż często słońce już mocno dogrzewa. Do stawów głównych wsadzić można oprócz karpiów, nieco linów i miętusów. Podczas deszczów pilnować należy, aby zasiew lub zasiać się mające stawy nie były wodą zalane. Jeżeli wypadnie przewozić z jednego miejsca na drugie narybek, to uskutecznić o ile można w nocy, które jako chłodniejsze, są od pory dziennéj przeto skuteczniejsze od ich dobrego przetransportowania.

W miesiącu tym i następnym łowić raków nie można, gdyż samice mają pełno dojrzewających jajek. Nadto trzeba zwracać uwagę, aby nie łapano raków nie mających jeszcze czterech cali długości, jako jeszcze zbyt drobnych.

M A J.



Św. Stanisław biskup.

Św. Stanisław urodził się we wsi Szczepanowie, z ojca Wielisława a matki Bogny.

Od młodości okazując upodobanie do stanu duchownego, ćwiczył się w naukach teologicznych najprzód w Gnieźnie, w szkole archi-katedralnej, a następnie wysłany został do Paryża. Powróciwszy do ojczyzny, zwrócił na siebie uwagę Zuli, biskupa krakowskiego, ten obdarzył go wkrótce kanonią, i umierając wskazał jako najgodniejszego na biskupa następcę. Kapituła poszła za wskazówkami Zuli, i obrała w r. 1071 Stanisława biskupem kra-

kowskim. Urzędowanie Stanisława wypadło wówczas, gdy Bolesław Śmiały, król polski, zamieszkawszy w Kijowie, pracował gorliwie nad wciągnięciem Rusi w jedność państwową polską, a polscy kmiecie tymczasem uwolnieni z pod przewagi szlachty, zebranéj przy królu, żwawo brali się do przywrócenia stanu społecznego, istniejącego przed napływem idei feudalno-szlacheckich.

Wszelki ruch socyalny bez nadużyć obejść się nie może. Były więc nadużycia. Szlachta w Kijowie dowiedziawszy się o powstaniu kmieci, zagrażającém ich przywilejom i ich związkom rodzinnym, opuściła króla, biegnąc na ratunek upadającéj swéj przewagi. Król powrócił, ale król trzymał z kmiećmi, i mścił się na szlachcie. A zemsta jego była okropna. Stanisław i jako kapłan i jako szlachcic, chcąc wstrzymać zapędy króla, wyklął go. Bolesław rozjątrzony, zabił Stanisława w kościele na Skałce, dnia 8 Maja 1079 r. Bolesław ze zgryzoty niedługo udał się za granicę i umarł, pokutując podobno w Ossjach, w Karyntyi; a Stanisław w 75 lat po swéj śmierci został kanonizowany.

BOŻE CIAŁO *).

Uroczystość Bożego Ciała na cześć Najświętszego Sakramentu, zaprowadził w roku 1246 Robert biskup Leodyjski. Następnie w roku 1264 papież Urban IV, bullą nabożeństwo kazał obchodzić wszędzie w czwartek po oktawie Zielonych Świątek. Processya i oktawa przydane zostały przez papieża Jana XII. W czasie tych processyi Ciało Pańskie obnoszone jest po ulicach, drogach wiejskich i placach publicznych. Naokoło kapłana niosącego Najświętszą Ofiarę, jest mnóstwo duchowieństwa z gorejącemi świecami w ręku, na znak żywéj wiary. Przed Najświętszym Sakramentem dziewczątka ubrane w bieli i w wieńce, sypią kwiaty. Rozpoczynają pochód cechy i bractwa z chorągwiami i światłem. Processya obchodzi cztéry ołtarze i przy każdym z kolei odczytuje się głośno przez kapłana Ewangelia. Processya i czytanie Ewangelii, przypominają wiernym chodzenie Pana Jezusa po wsiach i miasteczkach i opowiadanie Ewangelii, oraz, że o tajemnicy Ciała Pańskiego piszą wszyscy czteréj Ewangeliści. Przez całą oktawę téj uroczystości, stoją na ołtarzu trzy kielichy wzniesione na znak, iż to jest w całém znaczeniu uroczystość Ciała Pana

*) Uroczystość tego dnia w tym roku przypada w miesiącu Czerwcu.

Jezusa. Processye Bożego Ciała po miastach odznaczają się wielką powagą a czasem i wspaniałością, zwłaszcza gdy, jak się to w niektórych miejscach dzieje, biją dzwony, grzmią działa, a monarchowie i inne znakomite znaczeniem osoby, towarzyszą processyi i niosą baldachim. Na wsiach za to skromne processye wijące się wstęgą pośród zielonych łanów i drzew rozkwitłych, rozrzewniając do łez, błogo i uroczo działają na serca modlących się prostaczków.

Kalendarz rybacki.

Łososie dla tarła poszukują wód spokojnych. Łososiopstrąg wchodzi z morza do rzek. Trą się: ukleje, olszanki, urfy, leszcze, podleszczyki, karasie, karpie złote, sumy, jazgarze, jesiotry, minogi, rumieńce, sandacze i okonie z wód głębokich. Jeżeli się karpie w stawach trzéć zaczynają, trzeba pilnować, żeby w stawie woda zawsze równą była i aby ptastwo wodne szkód w narybku nie robiło. W tym miesiącu z ryb najsmaczniejsze są: boleń, węgorz, olszanka, łosoś i urfa. Łów na węgorze bardzo dobry. Rozpoczyna się wykluwanie młodych raczków; każda zapłodniona samica znosi do 200 do 5000 jajek. Rak żyje do 10 lat, a dopiero w 4 roku staje się dojrzałym i zdolnym do płodzenia; przy dobrém pożywieniu dochodzi do 10 cali długości. Po pierwszym roku przypada jego lenienie, zwykle w Maju; po każdém takiém zrzuceniu skorupy dawnéj, nowo odrastająca bywa coraz twardszą. Przed końcem Maja nie powinno się łowić raków, a jeżeli kto chce koniecznie łowić, niechże przynajmniéj w czasie łowów schwytane raki, a obciążone jajeczkami, wpuszcza napowrót do wody, dla nieniszczenia przypłodku. W przeciwnym razie, wytępianie raków prędko następuje.

CZERWIEC.



Błogosławiony Bogumił.

Bogumił urodził się we wsi Koźminku, z ojca Mikołaja, kasztelana gnieźnieńskiego, i matki Katarzyny, z domu Jaksów. W roku 1167, po śmierci wuja swego, arcybiskupa Janika, został obrany arcybiskupem gnieźnieńskim. Bogumił atoli ceniąc nad wszystko prostotę i żywot pustelniczy, nie zasmakował wielce w arcybiskupstwie; owszem pragnął jak najprędzej wspaniałą katedrę zmienić na ubogą celkę pustelnika. Więc zebrał jaki miał zapasik, sprzedał swą ulubioną wioskę Dąbrowę pod Uniejowem, i sprowadził do Krakowa Cystersów, fundując im tam opactwo. Sam zaś wybrał sobie puszczę nad Nerem, założył w niej pu-

stełnię i zrezygnowawszy z arcybiskupstwa w r. 1172, osiadł w pustyni. Tu odznaczył się prawdziwém zaparciem samego siebie i praktycznie pokazał, jakim być powinien kapłan katolicki wśród ludu zamieszkały. Życie pełne prostoty, skora gotowość niesienia bliźnim pomocy i rady, wzniosłe nauki, wszystko to zjednało Bogumiłowi wielką cześć u ludu, i kiedy Bogumił w roku 1182 dnia 10 Czerwca zmarł, lud cały nie czekając na pozwolenie Rzymu, jednozgodnie uznał go świętym. Zwłoki jego złożone pierwiastkowo w Dąbrowie, przeniesione zostały w r. 1668 do Uniejowa. Proces kanonizacyjny rozpoczął się dopiero r. 1647. Rzym kanonizacyi udzielić nie chciał i dotychczas nie udzielił; lecz lud nie bacząc na to wszystko, wierzy podaniom swych ojców i stale się modli do Bogumiła, jako do świętego patrona swego, co wzgardził dostojeństwy, a wrócił żyć z ludem ukochanym.

WIGILIA ŚW. JANA.

Do wigilii św. Jana przywiązane są znowu uroczystości, lecz już nie religijne, ale zwyczajowe. Sięgają one bez wątpienia bałwochwalczych czasów. W dzień ten, a raczéj wieczór tego dnia, palą po wsiach drwa na kupę ułożone, co zwie się palić sobótki. Przez te stosy płomienne przeskakują parobcy wiejscy a czasem i dziewuchy, zielem bylicą przepasane, przyczém śpiewają przeróżne pieśni na poły chrześcijańskie, na poły znamiona bałwochwalstwa noszące; uroczystość tę nazywają Polacy sobótką. Po sobótkach odważni i bogactw żądni, idą o saméj północy w las ciemny, kędy rozkwita cudowne ziele paproć, którego kwiat odkrywa wszystkie skarby zakopane w ziemi, a tém samém szczęście przynosi. Na Rusi paproć nazywa się perelot-trawa. Na nieszczęście czy szczęście kwiatu tego trudno dostać, bo trzeba przezwyciężać różne zawady, jakie zły duch po drodze stawia. Prócz sobótek w wigilię św. Jana, puszczają także dziewuchy wieńce na wodę, i z ich płynienia lub tonięcia, wróżą sobie rychłe lub nierychłe zamążpójście a nawet i śmierć. Warszawa sobótek nie pali, na to trzeba błoni, lasów, bylic, zieleni i ludu wieśniaczego. Za to jest w Warszawie zwyczaj, iść nad wieczorem na most nad Wisłą, spacerować, iść na miód na Pragę lub

przypatrywać się, jak ludek miejski ciska wianki, a zwinni przewoźnicy i rybacy w swych małych łodziach uwijają się, chwytając wianki dziewuch z drżeniem serca czekających na tę zdobycz. Schwytanie bowiem wianka, znaczy zamążpójście w ciągu roku, a gdy popłynie sobie do Gdańska, to znaczy, że trzeba rutkę wciąż siać.

Kalendarz rybacki.

Trą się: certa, len, kleń, uklej, jelec, olszanka, podleszczyk, karp, sum, a także i rak. Ryby po wytarciu niesmaczne. Łowią ryby na zanętę i wiersze; na te szczególniéj węgorze i raki. Raki w Czerwcu już bezpiecznie łowić można. Należy tępić czaple, orły rybczary, wydry, kaczki, gęsi i koty, jako spustoszenia między rybami robiące.

Podczas burzy, dozorca stawowy zwraca uwagę czy piorun w staw nie uderzył; po każdéj więc burzy powinien staw obejść i rozpatrzéć, czy przy brzegu nie ma na wodzie pływającéj białéj masy do saletry podobnéj, jest to znak, że w tém miejscu padł piorun. Powinien więc zaraz wodę przynajmniéj na jedną stopę ze stawu spuścić, i znowu potém czystéj wody napuścić. Jeżeli tego nie uczyni, w przeciągu 6 godzin ryby mogą wyginąć. Aby staw utrzymał się w jednakowéj sile produkcyjnéj, trzeba się starać, iżby wzrost trawy i wisu przez trzcinę lub grube sitowie nie był stłumiony; przez to bowiem zmieni się własność gruntu, jakotéż pożywienie i powierzchnia wody dla ryb zmniejszą się; jak tylko więc to spostrzeże się, należy staw spuścić, osuszyć i grunt zorać. Takie pooranie stawu powinno regularnie co lat 6 powtarzać się, inaczéj grunt korzystne swe przymioty utraci. Co sześć zatém lat staw musi być osuszony i posiany owsem lub burakami zasadzony, a potém zaraz wodą napuszczony i zarybiony być powinien.

LIPIEC.



Błogosławiony Czesław.

Czesław z rodu Odrowążów, brat św. Jacka, po ukończeniu szkół ojczystych, słuchał następnie filozofii i teologii w Paryżu i Bononii.

Za powrotem do kraju, otrzymał zaraz od stryja swego Iwona, biskupa krakowskiego, kanonię krakowską i niedługo prelaturę sandomierską. Kiedy Iwo biskup jechał do Rzymu do papieża Honoryusza, zabrał z sobą dwóch synowców Jacka i Czesława. W Rzymie to obadwaj bracia poznajomili się z św. Dominikiem, założycielem zakonu kaznodziejskiego, a zachwyceni jego naukami i pobożnością, weszli w liczbę uczniów Dominika. Po

kilku latach przebytych w Rzymie, św. Dominik wysłał Jacka do Polski, a Czesława do Czech, dla opowiadania słowa Bożego. Czesław za przybyciem do Woltawy, czyli Pragi, założył zaraz klasztór, przyjął mnóstwo uczni i rozpoczął kaznodziejstwo.

Z Pragi udał się na Szląsk do Wrocławia, i zamieszkawszy przy kościele św. Wojciecha, gorliwie, tak jak i w Pradze, rozpoczął wykład prawd Chrystusowych. W owymto czasie Tatarzy napadli na Polskę. Zagony ich doszły do Wrocławia, i lud tamtejszy strwożony, zamknął się w zamku wrocławskim. Ale siła Tatarów była wielka, lud cały zwątpił o ratunku, lecz św. Czesław nie zwątpił. Ukląkł na murach zamkowych, i tak gorliwie modlił się do Boga, iż Bóg uczynił cud; kula ognista zawisła nad Tatarami, ci przelęknieni uciekli i miasto uratowane.

Klemens XII zaliczył Czesława w poczet błogosławionych. Uroczystość jego obchodzona jest przez Kościół Katolicki w dniu 20 Lipca.

UROCZYSTOŚĆ SERCA PANA JEZUSA.

Uroczystość ta przypada właściwie w Czerwcu, lecz że w tym miesiącu opisywaliśmy wigilią św. Jana, a na miesiąc Lipiec żadna z znaczniejszych uroczystości nie przypada, powiemy więc słów kilka tutaj o uroczystości Serca Jezusowego. Ksiądz B. P. Rz. tak opisuje tę uroczystość: Nabożeństwo do Serca Pana Jezusa, chociaż zdaje się być nowém, jednak w gruncie rzeczy jest ono tak dawne, jak sam chrześcijanizm. Wiara nas uczy, że w Chrystusie Panu są dwie natury odróżnione: Boska i ludzka, zjednoczone w jednéj osobie Słowa przedwiecznego. W skutku tego zjednoczenia, własności jednéj natury mogą być przypisane drugiéj, i dwie natury ze swemi własnościami mogą być przyznane osobie Słowa przedwiecznego. Słuszność tego nabożeństwa zasadza się na tém, że czcząc człowieczeństwo Jezusa Chrystusa lub Jego jakąś część, uważamy je wtedy zjednoczone z osobą Słowa.

W XVII wieku, nabożeństwo do Serca Pana Jezusa nabrało wielkiego znaczenia w skutku gorliwości ojca Eudesa, a osobliwie wielebnéj matki Małgorzaty Maryi Alacoque i jéj spowiednika księdza Colombière.

Nabożeństwo do Serca Pana Jezusa pomimo oporu różnych osób rozszerzyło się, i nareszcie w roku 1765 na prośby biskupów polskich, przez Klemensa XIII zostało zatwierdzone.

Kalendarz rybacki.

Ponieważ w tym miesiącu ryby trzéć się przestają, przeto można je już łowić sieciami. Karp w tym miesiącu bardzo tłusty. Rybołówstwo na wędkę udaje się w tym miesiącu bardzo dobrze. Najlepiéj wybierać się w tym celu rano i nad wieczorem, gdyż w południe ryby nie pokazują się, unikając zbytniego upału. Na karpie, rumieńce i świnki najlepszą zanętą jest włożony na haczyk wędki pędrak, albo kawałek ośródki ze świeżéj bułki, ugnieciony twardo na gałkę wraz z miodem.

Jeżeli w stawach wody mało, trzeba ją tak uregulować, iżby więcéj wpadało aniżeli wychodziło.

Szlamowanie stawów kończyć. W tym miesiącu rak jest najsmaczniejszy. Do nieprzyjaciół ikry rybiéj, oprócz samych ryb, szczególniéj w mule żerujących, należą chrząszcze, pływacz i gąsienice wszystkich owadów wodnych. Daléj drobne skorupiaki: zdrojowiec i nażabień; z ssących zwierząt: ślepuszka i wodne szczury; z ptaków wszystkie nurkujące, jak: gęsi, kaczki i łabędzie.

Pasożytna pleśń oblegająca kamienie na dnie wody, jest dla ikry także szkodliwą. Pasożytna pleśń, wypuszczając z siebie długie niteczki na całéj ikrze porastające, niszczy ikrę i przechodząc z jednéj ikry na inną przyległą, niekiedy w kilku godzinach cały rozpłód, wynoszący kilka tysięcy ikry, do szczętu niszczy.

Nadto do wpływów szkodliwych zaliczyć wypada gazy, odpływy fabryczne i koła statków parowych; szczególniéj skażą się na kwasy do czyszczenia kotłów w cukrowniach używane, a następnie do wody wpuszczane.

SIERPIEŃ.



Św. Jacek Odrowąż.

Św. Jacek Odrowąż urodził się w r. 1183 we wsi Kamień na Szlązku. Skoro doszedł do lat, wysłany został na nauki do Pragi czeskiej i Bononii. Za powrotem wyświęcił się na kapłana, i wkrótce od Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego, kanonikiem katedralnym zamianowany został. Gdy Iwo, następca Wincentego, wyjechał do Rzymu, pojechali z nim Jacek i Czesław synowcowie, i w Rzymie do zakonu św. Dominika wstąpili. W r. 1219, Jacek powrócił do Krakowa, i przy kościele św. Trójcy pierwszy klasztór w Polsce dla Dominikanów wystawił. Jacek mieszkał niby stale w Krakowie, lecz w istocie missye do

różnych krajów odprawiał. Gdy przybył do Kijowa wielki książę tameczny przyjął go radośnie i dopomógł mu hojnością do zbudowania Dominikańskiego klasztoru, w którym przez 4 lata zamieszkiwał, nawracając w pobliżu koczujących Tatarów i rozkrzewiając wiarę chrześciańską. W dalszym zaś ciągu odprawiał missye po Polsce i Prusach, aż w r. 1240 powrócił do Krakowa, i skołatany wielu trudami, umarł w r. 1257. Liczba cudów przypisywanych św. Jackowi jest bardzo znaczna. Cuda te zjednały mu powszechną cześć w Polsce, a papież Klemens VIII po zwykłym procesie, kanonizował św. Jacka w r. 1594, i święto jego na dzień 16 Sierpnia oznaczył.

PRZEMIENIENIE PAŃSKIE.

Dnia 6 sierpnia, pisze ksiądz B. P. R., obchodzi kościół pamiątkę przemienienia się Chrystusa Pana na górze Tabor w obecności apostołów Piotra, Jakóba i Jana, oraz Mojżesza i Eliasza proroka, o którém to przemienieniu wspominają ewangeliści Mateusz, Marek i Łukasz. Cel tego święta pięknie jest wyrażony w modlitwie kościoła katolicko-wschodniego: „Chryste nasz Boże, któryś się na górze Tabor przemienił, i swym uczniom chwałę swego bóstwa pokazał, opromieńże nas światłem swego poznania, i prowadź nas drogą swych przykazań, jako nasze jedyne dobro i nasz najlepszy przyjaciel.“ W kościele wschodnio-katolickim Przemienienie Pańskie należy do dwunastu wielkich uroczystości w roku; w kościele zaś zachodnim, wspomina o niém już w V-tym wieku św. Leon papież, lecz dopiero w roku 1457 na rozkaz Kaliksta III papieża, poczęto je w całym kościele zachodnim obchodzić, do czego powód dało zwycięstwo przed rokiem przez chrześcian pod Belgradem odniesione nad Turkami. Od roku 1775 należy ono na Zachodzie do świąt zniesionych jako uroczystych, a obchodzone tylko jako święto kościelne. U nas po wsiach niektórych uroczyście obchodzone, w Warszawie niektórzy święcą je do południa, a po kościołach uroczyste nabożeństwa są odprawiane. Zwykle w tygodniu, przynajmniéj w Warszawie, odbywa się spowiedź i komunia; szczególniéj też ludzie dotknięci dolegliwo-

ściami, modlą się serdecznie w tym dniu, błagając Najwyższego Pana o zmianę swego nieszczęśliwego stanu.

Kalendarz rybacki.

W miesiącu tym, ryby po odbytém tarle są bardzo smaczne. Dla połowu sieciami koniecznem jest powietrze spokojne i pogoda piękna. Dla połowu wędami najlepszy czas pochmurny, ale cichy. Na węgorze zastawiać można motowęże zanęcone ślizami, kiełbiami lub glistami ziemnemi. Nie trzeba pozwalać w wodach zarybionych na moczenie lnu i konopi. Motowęże tak się urządzają, że do jednego długiego sznura w różnych odstępach przywiązują się sznury z haczykami, a co pięć haczyków kładzie się na sznur główny kamień. Haczyki powinny być starannie pokryte ponętą. Gdy motowąż spełnił swe zadanie, wyciąga się go bosakiem. W miejscach płytkich wbijają się w grunt dwa kołki nad wodą wystające, a do tych kołków przywiązuje się sznur z haczykami i za pomocą kamienia zapuszcza na spód wody. Potém rybak tylko co kilka godzin dojeżdża sobie łódką do tego motowęża i złowione ryby wybiera, a zjedzoną zanętę nową zastępuje. Łowiąc ryby na wędkę, trzeba wiedzieć jakie dawać przynęty, I tak: jesiotr łowi się na jazie i płocie, chociaż łowienie jesiotra na wędkę do rzadkości należy; za wielka to ryba, aby ją na wędkę wziąść można; właściwie jest to ryba morska, która tylko dla tarła wchodzi w Wisłę i z Wisły w San aż po Przemyśl.

WRZESIEŃ.



Błogosławiony Gedeon, biskup.

Gedeon czyli Gedko po naszemu, pochodził z sławnéj rodziny Gryfów, a był synem Klemensa z Brzeźnicy. Nauki kończył w Padwie. Za powrotem z Włoch mianowany kanonikiem, a po śmierci biskupa Macieja na biskupstwo krakowskie wybrany i w r. 1166 przez papieża Aleksandra III wyświęcony. Gedeon był wielce pobożnym i w życiu przykładnym. Żył w czasach licznych dzielnic książęcych, powstałych po śmierci Krzywoustego, i czuł boleśnie całą srogość niedoli ze swarów licznych książąt wynikłych. Oprócz spraw duchownych, zajmował się Gedko i sprawami publicznemi.

Za jego to czasów, a podobno i na jego prośby, jak przynajmniej utrzymuje Długosz, sprowadzono z Rzymu relikwie św. Floryana, które złożono najprzód w Krakowie w kościele św. Floryana na Kleparzu, a następnie przeniesiono do katedry.

Gedeon także wybudował Cystersom kościół w r. 1179 w Wąchocku nad rzeką Kamionką; w Kielcach wystawił kościół pod wezwaniem N. Maryi Panny, a klasztorom Andrzejowskiemu i Miechowskiemu bogate dziesięciny naznaczył. Zacny ten biskup umarł 20 Września 1186 r., pochowany w Krakowie na Zamku.

NARODZENIE NAJŚW. MARYI PANNY.

Najświętsza Marya z królewskiego izraelskiego rodu Dawida, córka św. Joachima i Anny, urodzoną została w późnych tejże latach; o urodzeniu jéj św. Joachim miał objawienie. W trzecim roku rodzice ofiarowali Maryą Bogu w kościele Salomona w Jeruzalem. W piętnastym roku kapłani, wedle przyjętego w tamtych krajach zwyczaju, wydali za mąż za Józefa córkę Joachimową. Ewangelia obszernie opisuje o zwiastowaniu Najświętszéj Panience przez anioła Gabryela, że pocznie z Ducha św. i porodzi w Betleem Syna imieniem Jezus, który będzie Synem Bożym, o ucieczce św. Rodziny do Egiptu przed prześladowaniem Herodowém, o powrocie do ziemi świętéj, o młodych latach Chrystusa. Podczas nauk głoszonych przez Zbawiciela, Boga-Rodzica ciągle Synowi towarzyszyła aż do śmierci Jego na krzyżu i złożenia ciała Chrystusowego do grobu. Po Zmartwychwstaniu widywała często swego Syna przez czas Jego pobytu na ziemi. Po Wniebowstąpieniu Chrystusa i rozejściu się Apostołów, Marya przemieszkiwała u św. Jana Ewangelisty, stósując się do polecenia Chrystusa umierającego na krzyżu, gdy mówił: „niewiasto, oto Syn twój.“ Zgon jéj przypadł w czasie największego zgromadzenia się Apostołów i uczniów w Ziemi świętéj, więc ci wzięli ciało Jéj na ramiona, nieśli do Getsemani i złożyli je tam, a muzyka niebieska przez trzy dni grała przy grobie; na czwarty dzień ciało znikło. Daremno go szukano, powstało mniemanie powszechne, że połączyło się z duszą w niebie. O grobie Najświętszéj Maryi Panny dziś nikt nie wie.

Kalendarz rybacki.

Połów węgorzy kończy się. Jazgarza wracającego do jezior i stawów łowić w sieci. Lipień w tym miesiącu bardzo smaczny. Pstrąg trze się. Połów raków ustaje. Rybołówstwo sieciowe w tym miesiącu rozwija się. Należy robić przygotowania do rybołówstwa jesiennego. Posporządzać lub ponaprawiać: wanny, cebry, fasy, kosze, wagi i t. p. — Sadzawki i zimochowy wodą napełnić. Chwasty i stawy odrośnięte wyciąć. Ukończyć wywożenie szlamów. — Mówiąc w dalszym ciągu o łowieniu ryb na wędkę, wymieniamy jazia i jelca, które łapią się na krew zsiadłą, wiśnie, rodzenki, glisty, muchy, chrząszcze, ćmy, groch gotowany; jazgarz zaś łowi się na stary sér z czosnsiem, robaki, glisty, małe minogi i piskorze; karaś bierze się na groch gotowany, chleb rozmoczony i jęczmień ugotowany w słodyczy: karp złowi się na chleb rozmoczony, jęczmień ocukrzony ugotowany, słód jęczmienny, ośródek bułki i chrabąszcze lub pędraki; kiełb łowi się znowu na ziarno jęczmienia niedojrzałe, kuchy lniane i kawałki flaków zwierzęcych; łeszcz chwyta czerw mięszany z iłem, winogrona i ser z kamforą; lin łowi się na chleb świeży, bułkę maczaną w wódce, kluski i t. p. przedmioty na czerwono zabarwione.

PAŹDZIERNIK.



Błogosławiony Wincenty Kadłubek.

Urodził się Wincenty we wsi Kurowie pod Opatowem około r. 1160, ojciec jego miał na imię Bogusław, co przetłómaczone na niemieckie dało Gottlob, ztąd Gottlobonis, Katlubonis, aż się uformowała nazwa Kadłubek. Wincenty odznaczał się nauką, w młodych latach mianowany został kanonikiem sandomierskim, w roku 1207 po śmierci Pełki biskupa, wybrany został biskupem krakowskim. Ale niezbyt długo na urzędzie zostawał. W r. 1212, piorun w same zapusty uderzył w katedrę krakowską i stopił wszystko w kościele. Biskup uważał to za ostrzeżenie o bliskiéj

śmierci. Więc rozdał swój majątek, a odwiózłszy córkę Leszka Białego Salomeę do Halicza jako żonę Kolomana króla halickiego i ukoronowawszy ich uroczyście, zmuszony wojennemi krokami Mścisława księcia ruskiego, wrócił do Krakowa i w r. 1218 złożywszy władzę biskupią, wstąpił do zakonu Cystersów w Jędrzejowie. W ciszy klasztornéj przeżył jeszcze Wincenty Kadłubek lat 5. Umarł 8 Marca 1223 r., pochowany w chórze kościoła Jędrzejowskiego. Papież Klemens XIV, ogłosił w r. 1764 Wincentego błogosławionym, naznaczywszy święto na drugą niedzielę Października. W r. 1845 część relikwii Bł. Wincentego przeniesiono do Sandomierza.

Błogosławiony Kadłubek zasłynął także w narodzie spisaną przez siebie kroniką narodu polskiego, w któréj wiele szczegółów z odległéj polskiéj przeszłości zachował, i nam na rozważanie i naukę przekazał.

Liczy się zatem do pierwszych historyków polskich, jeżeli spisujący kroniki na miano to zasługiwać mogą. W każdym razie cześć jego zacnéj pamięci.

NABOŻEŃSTWO NAJŚW. BOGA RODZICY.

Najświętsza Marya Panna, jako Matka Boga-człowieka, najświętszą po Bogu u wszystkich wiernych. Świąt na obchodzie rozlicznych pamiątek i żywota Najświętszéj Panienki jest wiele, dzielą się one na uroczysto obchodzone i na kościelne. Do pierwszych należą: Oszyszczenie N. M. P. dnia 2 Lutego; Zwiastowanie N. M. P. dnia 25 Marca; a jeśli wypada w wielki tydzień lub w tygodniu po Wielkiéj nocy, to przenosi się na poniedziałek po niedzieli przewodniéj; Wniebowzięcie N. M. P. dnia 15 Sierpnia, inni nazywają to święto Zaśnięciem Boga-Rodzicy; Narodzenie N. M. P. dnia 8 Września i Niepokalane Poczęcie N. M. P. ustanowione dla uczczenia chwili, gdy Marya poczęła się w żywocie matki. Do świąt kościelnych należą: Zaślubiny N. M. P. dnia 23 Stycznia; N. M. P. Bolesnéj w piątek przed niedzielą Kwietnią; Nawiedzenie N. M. P. dnia 2 Lipca; N. M. P. Szkaplerznéj dnia 16 Lipca; N. M. P. Anielskiéj dnia 2 Sierpnia; N. M. P. Śnieżnéj dnia 5 Sierpnia; N. M. P. od wyzwalania niewolników dnia 24 Września; N. M. P. Różańcowéj dnia 7 Października; Opieki

N. M. P. w drugą niedzielę Listopada; Ofiarowanie N. M. P. dnia 21 Listopada; i N. M. P. Loretańskiéj dnia 10 Grudnia. Dwa święta uroczyste Boga-Rodzicy noszą jeszcze odmienne także nazwy, i tak: święto Oczyszczenia N. M. P. zowie się Matką Boską Gromniczną; a święto Wniebowstąpienia N. M. P. zowie się znowu Matką Boską Zielną.

Kalendarz rybacki.

Trze się jeszcze pstrąg. Łowią się wszelkie ryby. Szczupaki dobrze się łapią na wędkę, szczególniéj gdy południowy wiatr wieje; najlepszy czas do takiego łowienia od 10téj z rana do 2éj po południu, gdyż ciepło wywabia je więcéj pod wierzch wody. W miesiącu tym wyłów stawów przypada. Wymiarkować kiedy wodzie otworzyć upusty, aby na czas przyzwoity spłynęła; spuszcza się zawsze staw najniższy naprzód, a to aby woda kolejno z wyższego wpuszczała się potém do zalewania niższych po wybraniu a gotowych do nowego na zimę zalewu; gdyż stawy te, które można tylko, najlepiéj jest zalać jeszcze przed zimą. Narybek i wszelki przychowek idą do zimochowów. Tamy i upusty stawowe naprawić. Robić umowy o sprzedaż ryb na adwent i post. W łowach na wędkę łowią się: lipień na żywe glisty i chrabąszcze; łososio-pstrąg na glisty w krwi moczone, małe ryby, chrabąszcze, szarańczę, mięso racze i robaki drzewne; miętus na żaby, mięso kurczęcia lub raka, drobne rybki i glisty ziemne; okoń na żaby, drobne rybki, glisty i sér śmierdzący z czosnkiem; olszanka na glisty moczone we krwi, robaki, czerw, ciasto i szmatki sukna czerwonego.

LISTOPAD.



Św. Stanisław Kostka.

Św. Stanisław urodził się we wsi Rostkowie r. 1550 z ojca Jana kasztelana zakroczymskiego i Małgorzaty Kryskiej.

Z młodych lat czuł wielką chęć do stanu duchownego i modlił się ustawicznie. W 13tym roku życia swego, wysłany został wraz z bratem Pawłem do Wiednia, i tu jak w każdém wielkiém mieście, wolnością obyczajów cechującém się, znosić musiał liczne napastowania tak kolegów jak i brata Pawła, nęcącego się nad jego długiemi modlitwami. Stanisław Kostka upodobał sobie wielce zakon OO. Jezuitów, i dlatego do Rzymu aż piechotą udał się

i do Jezuitów wstąpił. Lecz niedługo tu pozostawał; słabe jego zdrowie snać znieść nie mogło ponurych murów klasztornych i umartwień rozlicznych, i wycieńczony umarł w Rzymie dnia 15 Sierpnia 1568 r.

Papież Benedykt XIII, Stanisława w r. 1726 kanonizował, kościół rzymsko-katolicki święto Stanisława Kostki na dzień 13 Listopada oznaczył.

Żywot tego świętego, jest budującym przykładem zaparcia się własnéj osobistości. Urodzony w dostatkach, syn znakomitéj senatorskiéj rodziny, dziecko prawie, oddaje się służbie Bożéj i znosi wszelkiego rodzaju upokorzenia, aby osiągnąć cel jedyny swoich życzeń, zostać sługą ołtarza, głosicielem wzniosłych zasad tego, który wyrzekł prawdziwie Boskie słowa: „Miłuj bliźniego twego jak siebie samego.“

Taki postępek w obecnych czasach, jest nie do pojęcia prawie. Lecz zmieniły się czasy, zmieniły pojęcia, skutkiem ubiegu wieków.

ADWENT.

W Listopadzie zazwyczaj zaczyna się Adwent, to jest czas przeznaczony dla przygotowania się do należytego uczczenia świąt Bożego Narodzenia. Kościół od adwentu rozpoczyna swój rok kościelny. Msza w adwencie rano przed świtaniem się odprawia, i zaczyna się od słów: „Rorate coeli“ czyli: „Niebiosa spuśćcie rosę,“ od tych to słów łacińskich pierwsze msze adwentowe nazywają się Roratami.

Kościół święty, pisze ks. J. Osiecki, w tym czasie okazuje się jakby w smutku pogrążonym: dlatego ubiory kościelne, ton śpiewów smutek wyrażają; nie śpiewa się w czasie summy hymn anielski Gloria in excelsis, ani na jutrzni Te Deum. Muzyka milczy, uczta i tańce są zakazane. Jest to czas skupienia ducha, gorętszych modłów i umartwienia. Jest to jakby mały post, na podobieństwo wielkiego przed Wielkanocą. Dawniéj był zwyczaj pościć przez cały adwent, dziś zaś tylko w środy i piątki przez cały Adwent post ścisły jest nakazany. Roraty atoli nie wszędzie są wprowadzone; w Polsce tylko i w niektórych prowincyach jéj przyległych, w Austryi, Szlązku, uroczyście i we

wszystkie dni nawet obchodzi się to nabożeństwo. Roraty w Polsce upowszechnić mieli: Przemysław Pobożny książę poznański i Bolesław Wstydliwy w wieku XIII. Jest zwyczaj w niektórych okolicach naszego kraju trąbienia na ligawkach w czasie adwentowym, młodzież wiejska wygrywa na nich proste, lecz przejmujące tony. Niedziel adwentowych musi być koniecznie cztery, chociaż Adwentu niezawsze bywa pełne cztery tygodnie, gdyż przysłowie: święta Katarzyna Adwent zaczyna, nie jest prawdziwém.

Kalendarz rybacki.

Trą się pstrąg i łososio-pstrąg. Rozpoczyna się łów sieciami; ryby pływają już na dnie wody, ale są bardzo smaczne. Narzędzia i naczynia rybackie, należy wymyć i wyczyścić. Stawy, które się mają w zimie szlamować, po wybraniu z nich ryb, spuścić i osuszyć jak najlepiéj wypada, a to jeszcze w początkach tego miesiąca, jeżeli się to nie uskuteczniło w przeszłym miesiącu, bo czém woda lepiéj obsiąknie, tém téż i wywózka jego w zimie będzie łatwiejszą. Szlam, chociaż głównie składa się z gliny, zawiera jednak dosyć ciał mineralnych, oraz materyi organicznych dla roślin pożytecznych, i dlatego wart jest wywiezienia na rolę. Szczególnie działa korzystnie na grunta piaszczyste, których własności fizyczne znakomicie ulepsza. Dajemy teraz dalszy ciąg ponęt dla ryb; otóż łowią się: sandacz na drobne rybki, żaby i mięso rozmaite; śliz na robaki z gnoju i z mięsa; szczupak na drobne ryby; okłej na czerw, muchy, glisty, zsiadłą krew wołową i gnój koński; certa na glisty, zboże gotowane i chleb zarobiony, oraz na ciasto z końskim gnojem; węgórz na żaby, trzewia ryb i pieczoną baraninę. Węgorza atoli trudno złowić na wędkę; daleko lepiéj łowić go na motowęże, wiersze i podrywki.

GRUDZIEŃ.



Św. Dawid.

Data urodzenia jego przypada jeszcze w IX wieku po Chrystusie, wtedy, kiedy cała Słowiańszczyzna pogrążona była w pogaństwie. Sam ś. p. Dawid urodził się także w pogaństwie i przyjął chrzest święty.

Należy on do pierwszych męczenników słowiańskich, gdyż za wiarę utopiony został 5go Września 1015 r.

Kościół rzymsko-katolicki zaliczył go w poczet świętych.

BOŻE NARODZENIE.

Dzień pamiątki Narodzenia Chrystusa Pana poprzedza Wigilia. Obchodzoną ona jest u nas inaczej jak inne wigilie. Przez cały dzień powinno się pościć, za ukazaniem się gwiazdy, rozpoczyna się wieczerza w gronie rodziny i przyjaciół, poprzedzona łamaniem się opłatkiem na znak życzeń. W dzień ten rodzice dają dzieciom upominki z zabawek, choinki oświetlonej, pierników, orzechów, jabłek i bakalii; nazywa się to na gwiazdkę lub błędnie na „Heilige Christ“ z niemieckiego. Na wsiach zwykle stół zaściełają sianem, a w kątach izby snopki słomy stawiają na pamiątkę, że Pan Jezus narodził się w stajence i nowonarodzony położony był na sianie. W tym dniu znajomi odwiedzają się, dzielą się opłatkiem i życzą sobie szczęśliwego roku, co się nazywa dosiego roku. W Warszawie zwyczaj ten nie jest jeszcze bardzo upowszechniony, ale w Krakowie szczególniej jest zachowywanym.

Dzień Bożego Narodzenia jest uroczystością wielkiej radości; jeżeli przypada w piątek zwalnia od postu. Każdemu kapłanowi wolno odprawić trzy msze święte: 1) dla uczczenia Boga w trzech osobach Trójcy Przenajświętszej; 2) dla uczczenia potrójnego narodzenia Chrystusa Pana, to jest: od wieków z Ojca bez matki, w czasie z Matki bez Ojca i duchownego w sercach naszych przez łaskę. O północy lub rankiem odprawia się msza zwana pasterską, i zaczynają się śpiewać kolendy. Pomiędzy kolendami jest wiele pieśni bardzo starych, pełnych naiwności i prostoty, nasuwających nam na myśl ubiegłe lata.

Kalendarz rybacki.

Trze się miętus. Ryby w tym miesiącu są w wysokiej cenie. Pilnować zimochowów i sadzawek, wyrębując w nich przerębłe. Skoro wody zamarzną, kosić trzcinę i trawy na podściół.

Szlam wywozić, zwłaszcza że w tym miesiącu dosyć jest czasu. Wieczorami dziergać sieci. O sztucznem zapłodnieniu i wylęganiu ryb, szczególniéj téż łososi, pstrągów, szczupaków, karpi, linów i t. d. trzebaby napisać cały pouczający traktat a nie przypominki. Zagranicą zakłady takie znajdują się w liczbie kilkunastu lub więcéj. U nas robiono tylko próby. Między innemi sztuczny wyląg, urządzony był w pałacu Brülowskim w Warszawie, i na jeziorze Krzywe, w ekonomii Wigry niedaleko Suwałk. Próby te atoli nie zachęciły nikogo do doświadczeń na szerszą skalę.

Kalendarz rybacki ułożony został podług dzieł: „Polskie stawowe gospodarstwo,“ napisane przez Zygm. Gawareckiego i Albina Kohna, — i „Zużytkowanie rzek, stawów, bagien. jezior i dołów torfowych, na chów ryb, raków i pijawek,“ przez Ludwika Lindesa.

Uwagi ulotne o wychowaniu młodzieży.

Zapatrując się na rozmaite usposobienia ludzi, łatwo przyjść do przekonania o mylności twierdzenia, że człowiek takim jest, jakim go wychowanie ukształciło.

Nie: wychowanie natury zmienić nie może, nie nada ciału sił, których natura odmówiła, ani wleje zdolności umysłowe, których człowiek nie przyniósł z sobą na świat. Mimo to przecież wychowanie ma znaczenie wielkie, powołanie jego jest nader ważne.

Wydobyć, rozwinąć, wzmocnić i do właściwego celu skierować zdolności wrodzone, to jest powołanie wychowania. Zaczyna się ono od chwili przyjścia na świat, a kończy bodaj czy nie z ostatniém tchnieniem człowieka. Przewodnikami w wychowaniu są naprzód opiekunowie niemowlęcego i dziecinnego wieku, pod jakąkolwiek mogą być nazwą, następnie przejmują ten obowiązek nauczyciele, wreszcie mistrzem zostaje społeczność. Pomocą do tego jest wszystko co otacza człowieka.

Skazówki przydatne dla zajmujących się wychowaniem młodzieży, nie mogą być przedmiotem ulotnych uwag, należyte ich rozwinięcie, skoro mają być użyteczne, do obszerniejszego dzieła należy; ja w téj chwili postanowiłem zająć się głównie formą zewnętrzną, jaką wychowanie przybrać może i pospolicie przybiera.

Skład społeczności wskazuje konieczną potrzebę innéj formy wychowania dla kobiét, a innéj dla mężczyzn. Natura mieć chce kobietę ogniskiem rodzinnego życia, przeznaczyła ją na strażniczkę tego ciepła, które ożywia i łączy rodzinę; namaściła ją na westalkę świętego przybytku rodziny. Mężczyznę przeznaczając na głowę rodziny, wskazała mu obszerniejszy zakres działania, wytknęła dalszy cel jego dążeń. Utrwalić byt rodziny, któréj kobieta jest spójnią, zjednać jéj stosunkowe uszanowanie, bezpieczeństwo, starać się o zwiększenie a przynajmniéj utrzymanie godności moralnéj i wygody materyalnéj, jest obowiązkiem mężczyzny.

Kiedy więc kobieta jak gwiazda zaranna przyświéca w kółku rodzinném, mężczyzna nie spuszczając z oczu téj gwiazdy, obraca się wewnątrz, rzuca się na zewnątrz dla szczęścia tego kółka. To odwieczne i niezmienne prawo natury, wskazując wyraźnie przeznaczenie każdéj płci, postanowiło za-

razem formę odmiennego wychowania dla każdéj płci odmienną a przeznaczeniu każdéj ściśle odpowiednią; odstępstwo od tego prawa ściąga na spółeczność dotkliwe klęski.

Ztąd wypływa, że formę dla wychowania kobiety obejmuje kółko rodzinne, mężczyzny zaś spółeczność ogólna: czyli wychowanie kobiety powinno być bezwarunkowo domowe, mężczyzny publiczne. Przeciw twierdzeniu temu opartemu na naturze, powstaną bezwątpienia wszyscy, którzy naukę za ostateczny cel wychowania poczytują, przypuszczając, że chcę kobiety od wyższego ukształcenia wyłączyć. Tacy niech raczą zadać sobie nieco trudu i rozważyć, czy tylko szkoły są wyłącznym składem nauki? Powtóre, czy drzwi zagrody domowéj są tak ściśle zamknięte dla naukowego ukształcenia, że się przez nie przedrzeć nie potrafi? Co się zaś tyczy celu nauk, przyznaję, iż są umiejętności, którym poniekąd rzemieślniczo poświęcać się należy, jak naprzykład: prawo, medycyna, budownictwo i tym podobne; takowe muszą bezwątpienia być celem zabiegów; ale w każdym innym razie, wszystkie inne nauki, a nawet i wymienione powyżéj, o tyle tylko w nabywaniu ważne, o ile są dzielnym środkiem rozwinięcia władz umysłowych, a tém samém ogólnego ukształcenia człowieka.

Kiedy więc formę wychowania rozdzielam na domową i publiczną, jak w jednej tak i drugiéj oczywiście przypuszczam użycie środków wszystkich do celu wiodących, a zatem i nauki.

O wychowaniu kobiet mówić nie mam zamiaru, postanowiłem jedynie kilka uwag rzucić o wychowaniu mężczyzn, w tém przekonaniu, że na doświadczeniu oparte, może się komu przydadzą.

Powiedziałem, że wychowanie męzkie powinno być bezwarunkowo publiczne, to rozsądek wskazuje.

Jakiekolwiek powołanie sam dobrowolnie wybierze sobie mężczyzna, lub jakie mu los narzuci, w żadném, jak to mówią, za piecem siedzieć nie może. Musi żyć w świecie, musi się między ludźmi obracać. Wplątany w rozmaite sprawy, zajęty rozmaitymi interesami, mając do czynienia z ludźmi rozmaitych charakterów i usposobień, potrzebuje niepospolitéj znajomości rzeczy, biegłości w szybkiéj kombinacyi stosunków, przezornego badania i zgłębiania usposobień i zamiarów ludzkich, a nadewszystko w każdym razie nadzwyczajnéj przytomności umysłu, prędkiego rozpoznawania stanowiska, w jakiém się niespodzianie przez zbieg okoliczności trudnych do przewidzenia znaléść może

Do tego powinno przygotować wychowanie, i to jest jego główne zadanie.

Gdy młodzieniec z postępem lat wyjdzie na męża czynu, nic na tém nie straci, gdy zapomni przystawania trójkątów, gdy nie potrafi sobie przypomniéć, kto i kiedy zburzył Kartaginę: w których latach i jakiemi drogami islamizm darł się do Rzymu, by na ołtarzu św. Piotra owies rumakom arabskim zasypać; ale na tém zyska bardzo wiele, gdy w działaniach swoich, mowach, układach zachowa ścisłość matematyczną, gdy wypadkami świata nauczony, potrafi należycie wysnuwać wnioski jedne z drugich, gdy konsekwentnie dojdzie zamierzonego celu. Tu jest główna korzyść nauki. Niekoniecznie co do litery umieć, ale nabytą formułę lub wiadomość przenieść, zastosować do praktycznego życia, według tego kierować się w zakresie swojego działania, to będzie nauka jako środek, ważna i korzystna. Ale to nie jedyny i wyłączny środek. Przeznaczeni do życia towarzyskiego, ludźmi od niemowlęctwa otoczeni, przez stosunki z niemi, przez ciągłe ocieranie się, więcéj i pewniejszego nabywamy ukształcenia. Dziecko z dzieckiem, młodzieniec z młodzieńcem, ścierając się codziennie, więcéj rozwijają i wzmacniają swoje siły, swoje zdolności, niżeli przez nauki, przestrogi, rady najbieglejszych mężów.

Do tego zaś najlepszém polem jest wychowanie publiczne. Pospolicie mówią, że szkoła świata jest najważniejszą, że ona uzupełnia ukształcenie człowieka; ztąd wniosek jasny, że szkoła zwyczajna rozpoczynać to wykształcenie powinna, boć ona jest dla dziecka, dla młodzieńca szkołą świata.

W niéj znajdzie rozmaite ze spółuczniami stosunki, znajdzie mieszaninę charakterów, usposobień, zdolności, zgoła w niéj znajdzie na małą skalę wszystko, co na większą spotka w wielkim świecie. Nagroda szkolna, pochwała, wyższy stopień w naukach, odpowiadają orderom, rangom, stopniom urzędowania i znaczenia w świecie; jak jedne tak i drugie bywają przedmiotem odpowiednich zabiegów, trudów i intryg. Bułką odjętą od własnego śniadania, kupuje sobie dziecko pomoc swojego kolegi w wydobyciu się z kłopotu na przypadek zapomnianéj lekcyi; tymczasem kolega bułkę spożył, a pomocy nie dał, co gorsza, korzystał z nieumiejętności kolegi, aby się sam popisał. Ten przypadek silniéj bez wątpienia wpłynął na młodociany umysł, niż najświatlejsze przestrogi. Płochością uwiedzione dziecię wplącze się do umówionego dziecinnego figla, za nim następuje śledztwo, groźba, ba kara wisi nad drżącym

ze strachu winowajcą; co to za udręczenie! ale jakaż radość, gdy zła chwila minie. O zapewne nastąpi tu najszczersze postanowienie unikania złych podszeptów.

Ktokolwiek choć krótki czas doświadczył wychowania szkolnego, ten bezwątpienia przypomni sobie niemało zdarzeń, które na rozwój jego władz umysłowych silniéj wpływały, niż wszelkie nauki i przestrogi. Ograniczony zakresem pisma tę jeszcze dodam uwagę, iż co mi się tylko widzieć zdarzyło w działaniu wychowańców szkoły i wychowańców domowej edukacyi — pierwsi objawiali zawsze w porównaniu silniejszy umysł, większą pewność i logiczność w postępowaniu.

Są atoli zdarzenia, w których mimo inne przekonanie, poprzestać trzeba na wychowaniu domowém. Komu los i okoliczności dozwolą, niech stara się w takim razie, aby to domowe wychowanie zbliżało się przynajmniéj do publicznego, to jest do szkolnego, tak jak są pensyonaty prywatne, przedstawiające korzyści wychowania publicznego i domowego. Takowe zakłady zdaniem mojém przeważają ze wszech miar nad szkołami publicznemi, na nieszczęście atoli jest ich bardzo mało w kraju, ponieważ właśnie korzystać z nich nie chcą ci, którym znakomitsze mienie na to pozwala. Naród nasz należy bez zaprzeczenia do rzędu wysoko cywilizowanych, pod względem atoli wychowania dzieci zupełne niemal objawia barbarzyństwo. Koszta wychowania dzieci idą u nas w stosunku odwrotnym do dochodów.

Miernego mienia człowiek, urzędnik, fabrykant, kupiec, z chęcią połowę swojego dochodu wykłada na wychowanie dzieci, gdy tymczasem pan bogaty, zaledwie dwudziestą, lub trzydziestą część odkładający, z całego gardła krzyczy, jak wielkie summy wychowanie jego dzieci kosztuje.

Ten co na fraszki lub zbytki tysiące trwoni, złotówki na książkę dla dziecka żałuje. Pięćdziesiąt lat przeszło mając styczność z wychowaniem młodzieży, raz jeden tylko słyszałem bogacza, godne wspomnienia wyrazy: „zostawić dzieci sierotami pod względem majątku, to rzecz błaha, świat szerokiém jest polem do zarobku i dorobku, ale zostawić je sierotami pod względem ukształcenia, to rzecz nie do darowania.“ Ależ to mówił pan wszechstronnie ukształcony, człowiek trafnego rozsądku i wielkiej nauki, co bardzo rzadko razem skojarzone napotkać można u naszych panów bogatych.

Wróćmy do wychowania domowego. Powiedziałem, że to powinno być ile możności do publicznego zbliżone; to jest,

żeby nietylko forma zewnętrzna była na wzór publicznych szkół utrzymana, ale nadto, żeby młody miał towarzyszów swojego wieku i zawodu.

Bez tego warunku wychowanie domowe, może być naukowo wyższe, ale wychowawczo nie dorówna nigdy publicznemu. Nie chodzi tu wcale o tak zwaną emulacyę, do któréj się wyłącznie odwołują ci, którzy się lenią zastanawiać nad rzeczą. Zdolność do nauki, ochota do pracy, nie nabywają się przez współzawodnictwo, są to także poniekąd dary natury, przez pierwiastkowe wychowanie rozwinięte lub zwichnione w miarę trafnego lub błędnego postępowania. Główną jest rzeczą natężenie i ustalenie uwagi, a za tém idzie bystrość w objęciu rzeczy, szybkość w przypomnieniu, łatwość w wystawieniu, to co do nauki; swoboda i względność w obejściu; ostrożność i przezorność w rozmowach i czynach, pewny rodzaj przenikliwości i wyrachowania, w zawieraniu ściślejszych związków.

Każda rzecz ma dwie strony, dobre więc przymioty, które wymieniłem, mają przeciwne sobie wady, zamiast pierwszych, mogą się objawiać drugie. W tym razie dogodniejsze jest wychowanie domowe, ponieważ dozwala dostrzedz szybko złe, a tém samém podaje sposobność użycia środków odpowiednich ku jego przytłumieniu, a przynajmniéj zmniejszeniu nim się zakorzeni.

Początkowe wychowanie, zwykle przez jednego nauczyciela kierowane, może się bardzo dogodnie odbywać na wsi; dalsze, potrzebujące pomocy dwóch lub więcéj nauczycieli, bogacze jedynie mogliby na wsi prowadzić—daleko wszakże dogodniéj, a mianowicie taniéj prowadzić je w mieście, w którém odpowiednia jest szkoła. Jeżeli wszakże wychowywać się będą dzieci na wsi, wtedy trzeba nauce zapewnić zupełną swobodę. Miałem sposobność spotykać się nieraz z wychowaniem dzieci na wsi. Widziałem pokój naukowy, zwykłą sypialnię dzieci, obok pokoju kobiecego, w którym się zajmowały robotą szwaczki, inaczéj panny, tak zwane młodsze, garderobiana, kawiarka itp. Mama dla dozoru kobiet, a zarazem i dzieci pospolicie przesiadywała w tym pokoju roboczym, mając drzwi otwarte do pokoju naukowego. Raz jeden zdarzyło mi się być w czasie nauki, i wtedy słyszałem dobitnie rozmowę toczoną w pokoju roboczym: o czém? nie warto wspominać, a nawet nie śmiałbym tych drobiazgowych, dworskich plotek powtarzać. Pani wkrótce wyszła, a pozostałe służące taką samą o niéj rozmowę daléj prowadziły. Z dzieci uczących się najstarsze miało lat

dziewięć, nie korzystały więc z téj nauki zakulisowéj, ale też nie korzystały i z własnéj, bo tamta była dla nich ciekawszą, z tą atoli różnicą, że tamta niezawodnie przypomniała się w późniéjszym wieku, a może wtedy i nie bez korzyści, gdy właściwa nauka szybko wywietrzała. Dodać do tego należy, że przez pokój naukowy ustawicznie snuli się: to kucharz, to lokaj, to wiejskie kobiety z interesami do pani. Dziękowałem wtedy Bogu, że mnie ochronił od powołania prywatnego nauczyciela.

Na tém nie dosyć; są i inne przeszkody. Imieniny papy, mamy, daléj dziadunia, babuli, wujenki, stryjenki, wujaszka, stryjaszka, pospolicie w blizkiéj okolicy mieszkających, jako okazyjki do zabaw wiejskich, uroczyście bywają obchodzone, a zatem z uwolnieniem dzieci od lekcyi, boć to pilnością wynagrodzić potrafią. O to mniéjsza, boć i w szkołach są tego rodzaju święta; ale tu ważną rolę odgrywają przygotowania: nauczenie się oracyi, przepisanie jéj, zresztą i sama zabawa, a następnie zajęcie się otrzymanymi zwykle podarunkami, wszystko to zajmuje parę dni czasu, a powtórzone kilka i kilkanaście razy w ciągu roku, nie małą szczerbę robi w naukach. Prócz tego przyjeżdżają goście, dzieci więc albo się przedstawiają w sali, albo w tak zwanéj szkole, a w obu razach nie bez straty czasu.

To są wszakże usterki, którym przy dobrych chęciach i rozsądku nader łatwo zaradzić. Ułożywszy cały plan nauki wedle zwyczajnych prawideł, wynaleźć pokój do jego wykonania, daleki od wszelkiego rozruchu domowego. Unikać troskliwie wszelkiego roztargnienia podczas godzin na naukę przeznaczonych. Wybrać i stale oznaczyć czas na zabawy i to takie, któreby miały na celu albo wzmocnienie sił fizycznych, albo rozwinięcie sił umysłowych. Wybrać nauczyciela zasługującego na zaufanie, ale nie na zasadzie zaleceń kantoru, bo jak wiadomo to się opłaca rublami i ma się zawsze w stosunku do ilości ofiarowanych kantorowi rubli. Czy atoli ten nauczyciel będzie godzien zaufania, lub nie, w każdym przypadku w obec dzieci należy objawiać zupełne zaufanie i obchodzić się z nim jak z przyjacielem domu. Na nieszczęście jest to punkt niesłychanie trudny i niemal pospolicie przeciw niemu wykraczają.

Wychowanie domowe, przynajmniéj początkowe, daje swoim dzieciom tylko pan zamożny, a w oczach takiego nauczyciel, podobnie jak lekarz, jest *malum necessarium.* Jest to

istota niższa od lokaja, mianem kamerdynera ochrzczonego, którą jednak z musu szanować trzeba. Rozumie się samo przez się, jeżeli tym nauczycielem będzie Polak, bo Francuz lub Niemiec w guwernera przedzierzgnięty, potrafi sam sobie wyrobić stanowisko wyższe i wymusi poszanowanie, choćby na nie pod żadnym względem nie zasługiwał.

Że wybór nauczyciela powinien być troskliwy, tego zdaje mi się dowodzić nie potrzeba, tak jak i tego, że jest niesłychanie trudny. Rzadko znajdzie się człowiek, jeżeli od losu nie prześladowany, któryby czując godność swoją, chciał się dobrowolnie na taką poniewierkę, i to za lichą płacę poświęcić. Cóżkolwiekbądź, wybierając z tego, co się do wyboru przedstawi, jabym dał pierwszeństwo zdolności pedagogicznéj nad naukową.

Biegły i trafny pedagog w przypadku poratuje się książką, ale ciężko nawet uczony, bez daru pedagogicznego, nie trafi do ładu z nauką.

Do dzieci małych nie przyjąłbym nauczyciela ex professo matematyka, bałbym się, aby z syna mego nie zrobił figury, albo co gorsza jeszcze, cyfry, którą zowią zero. W dalszém wychowaniu, już koniecznie najmniéj dwóch potrzeba nauczycieli, filologa i matematyka, jeżeli ten ostatni zechce się zająć naukami przyrodzonemi. Nie można téż zapominać o rysunkach, które dziś odpowiednio do potrzeb ogólnych, ważnym są przedmiotem, a w wielu razach niezbędnym. Dla téj to właśnie przyczyny radziłem, by wychowanie prywatne prowadzić w mieście, w którém są szkoły odpowiednie, bo tam łatwo użyć pomocy nauczycieli publicznych.

Powtarzają, że w domowém wychowaniu z nauką w danym czasie daléj się posunąć można, niż w szkole publicznéj. Naprzód, łatwiéj to powiedzieć, niż dowieść; a choćby i tak było, cóż z tego za korzyść, jeżeli się ogólne ukształcenie w tym samym stosunku nie posunie?

Prócz tego, jeżeli zbyt gorliwy albo mniéj rozważny nauczyciel, da się zbłąkać postępem wychowańca swojego, puści mu wolne cugle i za nim podąży, niech będzie pewny, że pozorne tylko otrzyma korzyści. Jak ciało nie skorzysta z nadmiernéj ilości pokarmu, ale owszem ulegnie mniejszéj lub większéj słabości z przesycenia, tak niemniéj i umysł na podobnémże przesyceniu stracić musi. W naturze co tylko pewnemi obdarzone organami, organicznym téż ulega prawom. W stosunku rozwijających się sił fizycznych, rozwijają się i moralne; epoki

dojrzałości owocu nie można przyśpieszyć bez uszczerbku drzewa, które go wydaje.

Iluż to usterkom podlega umysł, w skutek niewczesnego przesycenia nauką? ale nadewszystko w wieku dziecinnym jest ono szkodliwe, a często nawet zgubne. W ciągu mojego zawodu naliczyłbym kilka, a może nawet kilkanaście przykładów śmierci w młodocianym wieku stanowczo z przesycenia nauką nastąpionéj. A ileż to przypadków odrętwienia umysłowego, z którego niejeden późno bardzo, a niejeden wcale się nie podźwignął. Siły umysłowe bez względu na miarę przedwcześnie rozwijane, wycieńczają siły fizyczne, a przy zbiegu okoliczności zupełnie je łamią. Takowe wypadki częstsze są w wychowaniu domowém, niżeli w publiczném, bo w tamtém łatwość w pojmowaniu więcéj uderza i łatwiéj uwodzi. W publiczném wychowaniu czas rozważnie wymierzony dla ogółu, nie pozwala zwracać uwagi na szczególne indywidua, a tém samém nie dopuszcza takich przypadków. Pospolite w tym względzie jest tłómaczenie, że wiek człowieka krótki, a obszar nauki rozległy, a zatém śpieszyć się z jéj nabyciem należy. Bardzo słusznie, ale z zachowaniem pedagogicznéj zasady, spieszyć się powoli. Na cóż się przyda pośpiech gwałtowny, kiedy na drodze do celu jeszcze oku niedościgłego, wpadamy do grobu, któryśmy sami przez ten nierozważny pośpiech wykopali.

Zresztą choćby mniéj smutny był wypadek naszego pośpiechu, to jeszcze i tak nie należy spuszczać z uwagi, że w wychowaniu dzieci często pozory uwodzą. Dziecko bystrą obdarzone pamięcią szybko przyswoi sobie naukę, ale ją tylko pamięcią obejmie nie zgłębiając jéj wcale, o ile do tego zdolne być może. Jeżeli trafem kilka zadań szczęśliwie z pamięci rozwiąże, wprowadza nas w mniemanie, że je gruntownie pojęło i do dalszego postępu pobudza, póki późniéj nie przyjdzie chwila odczarowania. Miałem sposobność przekonać się, że uwielbiane w szkole gieniusze, w życiu praktyczném maleją. Nie inna tego przyczyna, tylko pamięć wzięta za gieniusz i samopas puszczona.

Jest jeszcze jedna rzecz ważna w wychowaniu, o któréj wspomnieć wypada. Zadaniem dobrego wychowania jest jednostajne kształcenie wszystkich władz umysłowych, bez zaniedbania sił fizycznych, utrzymanie między niemi należytéj harmonii. Szacownym jest darem nieba pamięć trwała w zatrzymaniu rzeczy pamięci godnych, łatwa w przypomnienie w każdéj

potrzebie, ale bez fantazyi nie zdoła się ona dźwignąć ani ustalić.

Ta ostatnia wszakże łatwo może się stać zgubną, gdy rozsądek nie będzie jéj hamował. Rozum kombinujący, wnioskujący i ostatecznie decydujący, zwolna za tamtemi postępuje. W wychowaniu publiczném, w którém od samego wstępu osobni dla osobnych przedmiotów nauki są nauczyciele, harmonia ta łatwo się da utrzymać. Jakkolwiek każdego nauczyciela w szczególności i wszystkich w ogóle obowiązkiem jest krzątać się około rozwoju wszystkich władz zarówno, przecież każdy względnie do swojego przedmiotu więcéj dba o rozwinięcie władzy dla niego przydatnéj. Młody na tém nie traci, ponieważ ze starań szczegółowych nauczycieli dla niego składa się całość. W wychowaniu prywatném, jeden nauczyciel zajęty kształceniem młodego, musi baczną zwracać uwagę, aby nie pozwolił wybujać jednéj władzy kosztem drugiéj.

W ostatecznym rezultacie przyznać trzeba, że wychowanie młodzieży, nietyle zależy od systemu, ile od osób do jego wykonania powołanych. Lubo wychowanie publiczne pod wszelkim względem przeważa nad domowém, przecież biegły nauczyciel prywatny potrafi wychowańca swojego, jeżeli nie wyżéj, tedy równie wykształcić jak szkoła. Jeżeli zaś trudny jest wybór nauczyciela prywatnego, tedy niełatwy także i szkoły. Niezawsze szkoła przetłoczona uczniami, odpowiada swojéj wziętości: ja przynajmniéj wolałbym wychowańca mojego w téj szkole umieścić, w któréj najmniéj jest uczniów, choćby jéj nauczyciele nienajwiększą słynęli nauką, boć na wszelki przypadek, więcéj jéj będą mieli, niżeli ich wychowaniec, a w mniejszéj liczbie większą i pewniejszą odniesie korzyść.

Może też przyjdzie czas, w którym możniejsi prócz ogłady, przez ocieranie się między sobą nabytéj, postarają się o gruntowniejsze oświecenie, a wtedy lepiéj poznawszy wartość nauki i ukształcenia, lepiéj szanować będą nauczycieli, a tém samém więcéj do powołania prywatnych nauczycieli zachęcą i wybór ich sobie ułatwią.

Wtedy wychowanie prywatne godnie kierowane zrówna się z publiczném, a przy okolicznościach przyjaznych, potrafi je przeważyć.

T. Dziekoński.

PIELGRZYM

przez

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

Wzdłuż i wszerz zwędrowawszy nadwiślańskie strony,
Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony;
Nim ku dalszéj pielgrzymce na siły się wzmogę,
Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.
Tam nad sinèm jeziorem stary zamek stoi,
Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,
Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,
Śpiewa znajome ptastwo, huczy wiatr znajomy.
Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
Przewędrowałem miasta, wioski i cmentarze,
W macierzystych kościołach rozpatrzyłem zbliska
Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska,
I, aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą:
Garstkę wody wiślanéj i gruz staréj wieży,
Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.

I wspominam spłakany, rozmarzony cały,
Uczucia co mi niegdyś piersi zalegały
I myśli, które niegdyś paliły mi głowę.
O strony mego serca! o strony domowe!
Kiedy mnie wicher życia daleko wyrzuca,
Niech na zapas powietrza zagarnę ztąd w płuca,


E.G.

Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
Na westchnienia rzewniejsze by użyć potrosze.
W zamian cóż wam zostawię? czém pamięć oznaczę?
Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze,
Ze wzgórza puszczę z wiatrem po waszym obszarze,
A Pan Bóg je przeżegna i spełnić je każe.
Nad wioskami, nad Wisłą, nad lasem, nad błonią,
W lepszy czas pieśń głośniejszą ptaszkowie zadzwonią,
I rosa łaski Pańskiéj niech użyzniać raczy,
Wasze niwy piasczyste i serca oraczy.
A na wiosnę, na błoni przy Wisły zatoce,
Gdy bocian zmartwychwstania piosnkę zaklekoce,
Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
Polatać nad wioskami, ponad cmentarzami,
Gdzie pił wodę wiślaną, gdzie miał chleba kawał,
Gdzie łzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
Zkąd odszedł rozpaczliwie załamawszy ręce,
I zostawił pamiątkę w znikoméj piosence.

RADY DLA RZEMIEŚLNIKÓW,

przyczyny ich niedoli, środki podźwignienia.

Żadna z warstw naszego społeczeństwa nie cierpi tak często niedostatku, jak klasa rzemieślnicza.

Nieraz słyszymy o podobnéj stagnacyi pomiędzy podobnego rodzaju ludźmi, poza granicą, a najczęściéj w Anglii; lecz tam przyczyniają się do tego rozmaite okoliczności, jak n. p. zbytnia obfitość rąk do pracy, a ztąd niskie ceny zarobku i większa trudność znalezienia takowego, bo brak surowego materyału do produkcyi, jak to miało miejsce przez lat kilka z bawełną. Ale zaiste dziwna, dlaczego u nas przeważająca większość cierpi niedolę, kiedy zewsząd powszechnie utyskują na brak ludzi do pracy, i płaca robotnika stosunkowo do zdolności jest nierównie wyższą, jak w innych zagranicznych miastach?

Dlaczego bardzo wielu majstrów, nawet niedzisiejszych, pędzi biedę z dnia na dzień, będąc w ciągłéj zależności od tych dobroczyńców z Franciszkańskiéj i Nowiniarskiéj ulicy, którzy tak chętnie zasilają forszusem biednych majstrów, biorąc od nich w zamian roboty za bezcen, i za tanie pieniądze, licho zbudowanemi wyrobami, okpiwają publiczność?... Dlaczego nasi rzemieślnicy, utrzymujący tak ważne stanowisko w społeczeństwie, nie doznają tyle poważania, o ile na takowe zasługiwaćby powinni, spełniając tyle usług i to w pocie czoła, dla wygody i dobra ogółu.

Oto są zadania, które przedsięwziąłem rozwiązać, a nadto wykazać środki, w jaki sposób złemu zaradzić.

Najpierwszym i najgłówniejszym powodem niedostatku pomiędzy klasą rzemieślniczą jest brak oświaty, brak, że się tak wyrażę, tego życia umysłowego, bez którego nikt nie jest w stanie spełnić dokładnie swego posłannictwa na ziemi, nikt nie może osiągnąć zamierzonego celu.

Człowiek bez wykształcenia umysłowego, wszystko pojmuje i spełnia o tyle tylko, o ile jego nierozwinięty rozum pojąć jest w stanie. Najpierwszych i najkonieczniejszych zasad religii, albo nie zna wcale, lub też nie rozumie takowych, wskutek czego zdolniéjszym jest do złego, aniżeli do dobrego, nie posiada bowiem tego bodźca, któryby go do spełniania dobrych uczynków zachęcał. Daléj człowiek bez oświaty, nie znający więcéj nad to czego go machinalnie wykonywać nauczono, uważa wszelki postęp za niedorzeczność, stroni od ludzi więcéj od niego wykształconych, a co najgorsza, zacięcie broni, by jego podwładni nie zdołali się więcéj od niego nauczyć. O! wielokrotne podobnego rodzaju dały mi się słyszéć przykłady, z których choć parę, nie od rzeczy będzie przytoczyć. Gdy pewna matka oddając do nauki rzemiosła swego syna, prosiła majstra, iżby na niego zwrócił uwagę, żeby odmawiał rano i wieczór paciérz, uczęszczał do kościoła i w swoim czasie do spowiedzi — odrzekł jéj na to: „zbyt nabożnym zwykle się źle dzieje," i nietylko, że nie wysłuchał prośby owéj bogobojnéj matki, lecz pozwalał uczniowi w dni świąteczne, podczas nabożeństwa, zatrudniać się pracą przy warsztacie.

W inném znów miejscu, ojciec szukając dla syna terminu, wstąpił do pewnego majstra, chcąc u niego swego chłopca pomieścić. Zrazu majster z chęcią przystał na przyjęcie, ale gdy się dowiedział, że ów chłopiec skończył 4 klasy gimnazyum, odrzekł: „szkoda téj nauki; przyznam się panu, że lepiej brać do terminu, prosto ze wsi chłopa, który nic nie umie." Jakże płaskie pojęcie! czegoż możemy się od majstra z tak ograniczonym rozumem spodziewać? Jakże to często terminatorzy z wyższém wykształceniem doznają jawnego prześladowania od swych zwierzchników! Każdy oświecony majster, nietylko że nie odezwie się w podobny sposób, nie pozwoli na podobne nadużycia, lecz pilnie starać się będzie, aby jego wychowańcy coraz więcéj wzbogacali swój umysł, sam ich do tego zachęca, i wszelkich możliwych środków udziela. Bez wielkiego dowodzenia każdy to pojmie, że rzemieślnik z wykształceniem umysłowém, wcale inaczéj bywa uważany. W obejściu się, czy to z podwładnymi, czy z kund-

manami, umie zachować swą godność, przez co zyskuje szacunek i zaufanie; każdy mu chętnie powierzy swoją robotę, bo będąc więcéj wykształconym, jest więcéj pomysłowym; ciągle stara się o ulepszenie swoich wyrobów, to świeżym fasonem, to praktycznością lub trwałością w użyciu, to doborem stosownego materyału i t. p., do czego mu dopomogą rozmaite pisma i żurnale, poświęcone podniesieniu przemysłu, wychodzące rozumie się za granicą, gdyż u nas choćby ktoś mógł się zająć podobnego rodzaju publikacyą, zbyt mało znajdzie zwolenników i wkrótce musi upaść ze swém przedsięwzięciem.

Łatwy ztąd wniosek, że taki rzemieślnik nabiera coraz więcéj wziętości i z czasem dorabia się znacznego majątku.

Zupełnie przeciwnie rzecz się ma z rzemieślnikiem bez wykształcenia. W obejściu się albo będzie szorstkim, gburowatym, lub téż tak dalece małomównym, że z trudnością można się czegoś od niego dowiedziéć. Podwładnych niewiele swoją nauką zbuduje, gdyż jéj nie posiada; dla niego oświata jest zbyteczną: niewiele téż dba o postęp swego rzemiosła, jeden gatunek wyrobu produkuje się u niego bezustannie, tak, że uczeń wyszedłszy od takiego majstra z nauki, nie jest w stanie pracować w innym warsztacie tegoż samego kunsztu. Słowem, dla takiego nauka jest zupełnie obojętną, jest rzeczą podrzędną. Rzadko kto powierzy mu robotę, bo jéj dokładnie nie wykona, a jeżeli przytem zarozumiały i impertynent, co się najczęściéj u takich ludzi przytrafia, straci zaufanie i dobrą opinią, a wtenczas ucieka się pod opiekę żydów, z którymi prowadząc inteuesa, zapewne nigdy do niczego nie przyjdzie. Oto jest powód niedoli pomiędzy majstrami, wypływający z braku oświaty.

Jak znaczna jest liczba niewykształconych umysłowo majstrów, tak nierównie większa podobnych pomiędzy czeladzią.

Czeladnika, któryby odebrał chociażby tylko początkowe nauki, t. j. jeżeli umie porządnie czytać, pisać i rachować, który zasmakował w zbogacaniu swego umysłu przez częste czytanie rozmaitych dziełek użytecznych, niezawodnie w chwilach wolnych od pracy zastaniemy z książką lub gazetą w ręku; ma on w tém

upodobanie, jest to jego rozrywką. W niedzielę i święta regularnie uczęszcza na nabożeństwa, popołudniowy zaś czas przepędza to w kółkach towarzyskich u znajomych, których dobiera podług swego wykształcenia, lub w gronie ich na przechadzkach, to wieczorem w teatrach; słowem wszędzie mu mile czas schodzi, gdyż wiele czytał, jest w stanie coś opowiedzieć, na zapytanie dać stosowną odpowiedź, a nie będąc zarozumiałym, korzysta z każdéj sposobności, czémby mógł swój umysł wzbogacić; a w taki sposób małym kosztem, bez uszczerbku zdrowia, czas wolny od pracy przepędza, z tém nadto przekonaniem, że żyjąc przyzwoicie, oszczędza owoc swéj pracy na późniejsze lata, zyskując szacunek i zaufanie ludzi, którzy chętnie w razie potrzeby przyjdą mu z pomocą.

Lecz czy czeladnik bez żadnéj oświaty może w ten sposób czas wolny od pracy przepędzić? niestety! nie weźmie on książki do ręki, bo albo wcale czytać nie umie, albo téż tak czyta, że ani sam siebie, ani nikt go zrozumieć nie jest w stanie. A jeżeli przyjdzie mu napisać kilka wyrazów, to tyle w nich niemal znajdziemy błędów ortograficznych, ile napisanych liter; wielu nawet własnego nazwiska nie jest w stanie napisać. Taki czeladnik nie wejdzie w grono wykształconych ludzi, gdyż się w niém znaleźć nie umié; z czémże się może odezwać, jeżeli po za obrębem wiadomości tyczących się jego rzemiosła, nic więcéj nie zna, zagadnięty w jakiejkolwiek materyi, nie wie jak odpowiedzieć. Unika on takiego towarzystwa, gdyż w niém prędko się znudzi, a szuka rozrywki pomiędzy podobnymi sobie, udaje się więc na gospodę. Tu już nie potrzebuje ani wymowy, ani żadnych wiadomości, tu jest tylko żądana niepróżna kieszeń.

Gdy temu warunkowi zadość odpowiada, łaskawi towarzysze prędko go zabawią kieliszkami i kuflami, dopóki ostatni grosz w jego kieszeni czuć będą, a pozbawionego przytomności, często śpiącego w szynku pozostawią. Całotygodniowy zarobek strwoniony, zdrowie zrujnowane, w poniedziałek ani sposób do warsztatu zasiąść lub stanąć, w następnym tygodniu żyć nie ma za co,

a jeżeli, co się często trafia, ma żonę i dzieci?... wyobraźmy sobie jego położenie....

Robak sumienia dokucza, trzeba go koniecznie zalać, więc znów na gospodę, lub jaką u żyda schadzkę, gdzie chętnie skredytują, nie chcąc postradać tak intratnego gościa. Ta sama historya często powtarza się jeszcze we wtorek, a nawet i środę.... Żona i dzieci głód mrą, majster doznaje zawodu, społeczeństwo cierpi. Oto jak brak oświaty przyczynia się do niedoli pomiędzy czeladzią.

Oprócz braku oświaty, przyczynia się też często do niedostatku brak chęci do pracy i brak oszczędności.

Trafiają się często ludzie z klasy roboczéj, którzy pomimo zdolności i dostatecznéj siły, pracują jak z musu, i tyle tylko, aby z swego zarobku zaspokoić konieczne potrzeby życia. Poniedziałek a nawet wtorek jest u nich tak dobrym, jak i niedziela, a zadowoleni zarobkiem przez pozostałe dni cztery tygodnia, że im na nędzne utrzymanie wystarczy, ani pomyślą o tém, aby coś na nieprzewidziany wypadek zaoszczędzić. Wtém przypuśćmy nawiedza jednego z nich choroba, która długi czas może się przeciągnąć. Jeżeli to czeladnik opłacający składkę szpitalną, uzyska szpital bezpłatnie; nuż ma żonę i dzieci, kto na nie zapracuje?...

Póki zdrowie służyło, mało pracował, jeszcze mniéj, bo nic nie zaoszczędził; po wyjściu ze szpitala niezaraz może się wziąść do pracy, a tu z rodziną żyć trzeba!... Nie przyszłoby zapewne do tego, gdyby pracując szczerze, nie cztery ale sześć dni w tygodniu, z codziennego zarobku, choć po kilka groszy było zaoszczędzonych, wszak to „od ziarnka do ziarnka, uzbiera się miarka“ i w razie nieszczęścia jest się czém ratować. Dla takich to szczególniéj są ustanowione owe dobroczynne instytucye: kasy oszczędności, kasy groszowe, ale z funduszu jaki został przez uczestników do takowych złożony, pokazuje się, jak niewielka liczba składa tam oszczędzony pieniądz.

Co zaś do majstrów, takowym częstokroć przyczynia się do niedostatku brak dozoru w warsztacie. Niejeden bowiem, niepomny

na to przysłowie: „pańskie oko konia tuczy“ — całe dnie przepędza po kawiarniach i bawaryach, a warsztat swój zdaje na ludzi, którzy jak chcą i co chcą to robią, a gdyby nawet i pragnęli pracować szczerze, niemając pozostawionéj roboty, lub potrzebnego materyału, oczekując na majstra, trawią czas bezczynnie, rozumie się ze szkodą ostatniego, gdyż czeladnik nie może być na tém stratny, że jego pryncypał jest gościem w domu. W taki sposób robota się przeciąga, bez dozoru nie jest tak dokładnie wykonaną i na termin odstawioną. Majster utraca zaufanie i dobrą wiarę, i nic dziwnego, że prędzéj czy późniéj bankrutuje, poczem z rozpaczy chwyta się pijaństwa, i z całą rodziną przychodzi do nędzy.

Daléj do upadku majstrów, zwłaszcza początkujących, są częstokroć powodem dzisiejsze cechy. Najlepszym dowodem, że takowe instytucye niekorzystnie wpływają na rozwój przemysłu, jest ten, że we wszystkich krajach oddawna zostały poznoszone; w Niemczech r. 1772, we Francyi 1780, w Prusach 1810, w Rosyi wcale nie zostały wprowadzone, u nas tylko dotąd się utrzymują, z całym zasobem przestarzałych przesądów i dziwactw, któreby raczéj pomiędzy dzikim narodem, a nie w ucywilizowanéj Europie zastosowane być mogły.

I jakiż ich cel?... jaką korzyść odnoszą z nich rzemiosła?... cóż za pożytek przynoszą dla ogółu?... na cóż są obracane pieniądze cechowe, które tak chciwie z krzywdą niejednego się zbierają?... czyli zdają one publiczne sprawozdania z obrotu swymi kapitałami, co ma miejsce we wszystkich użytecznych stowarzyszeniach?... Gdzież widzimy, aby który cech przyszedł z pomocą początkującemu lub podtrzymał upadającego?... Zaprawdę nie widać nigdzie tych pożądanych skutków.

Posiadają wprawdzie dwa czy trzy zgromadzenia własne domy w Warszawie, ale cóż z tego, kiedy ich członkowie w razie potrzeby forszusu, zaciągają pożyczki u lichwiarzy na wysoką stopę procentu, surowy materyał do produkcyi płacą w dwójnasób drożéj, kupując go z trzeciéj lub czwartéj ręki, a bardzo szczupłe wsparcia, których udzielają wdowom i podupadłym, zależące

od woli i upodobania starszych zgromadzeń, są zerem względem tego, czegoby od podobnych instytucyj wymagać należało.

W jakiéj pogardzie są cechy u ludzi wykształconych z pomiędzy rzemieślników, przekona następujący autentyczny przykład:

Pewien początkujący, chcąc się opłacić na majstra cechowego, przyszedł do jednego z najpierwszych fabrykantów, człowieka zamożnego, wykształconego, mającego powszechny szacunek, a który właśnie był także majstrem cechowym, z prośbą, aby za nim dobre słowo w cechu przemówił, gdyż ów kandydat przedtém przez lat 10 u niego pracował, i z jego wyszedłszy fabryki, na własną rękę założył sobie warsztat. Oto odpowiedź, jaką ten dał proszącemu: „Mój przyjacielu, znam cię dawno i szanuję jako człowieka ze wszech miar porządnego, ale daruj mi, że twéj prośbie zadosyć uczynić nie mogę. Co chcesz, wszystko ci zrobię, wszędzie chętnie pójdę, byleby tylko nie do cechu.“

Wiadomo nam, że każde przedsięwzięcie jest trudne, a początek jego najtrudniéjszy. Ileż to trzeba ponieść pracy, zabiegów, kosztów po założeniu czy to warsztatu, czy handlu, zanim możemy powiedzieć: dobrze nam się powodzi.... Otóż u nas wiadomość podobna jest jakoby hasłem w zgromadzeniach cechowych do prześladowania i wyszukiwania wszelkich środków, aby nie dać początkującemu powstać, ale natomiast, w samym zarodzie go zrujnować. Nadają mu pogardliwe miano „fuszera,“ choćby był najzdolniejszym pracownikiem; jeżeli dostanie do nauki ucznia, bez którego w wielu rzemiosłach niepodobna się obejść, natychmiast odbierają mu takowego, oddając go gdzie im się podoba, częstokroć w jakie tyrańskie ręce, pomimo niechęci ucznia i wbrew woli jego rodziców, — ileżto początkujący konsensowy majster doznaje upokorzenia, gdy go interes zbliży do cechu, zawsze tam pogardliwie traktowany, nieraz grubijańsko ofuknięty, a gdy się ujmie za jawnie mu wyrządzoną niesprawiedliwością, wyrzucą go za drzwi.

Takiém więc postępowaniem zmuszają go niejako do opłacenia się na majstra cechowego. Że zaś wymagania jednorazowych składek, z doliczeniem summy na traktamenta, honorarya dla

panów starszych, pod pozorem dobrowolnych, raczéj przymusowych, ofiar etc. etc., wynoszą od 100 do 200 rsr., gdyż nie wszędzie są jednakowe, często więc ostatni fundusz, któryby mógł obrócić na zakup materyału lub powiększenie swego zakładu, bezpowrotnie i bezużytecznie oddaje, a jeszcze częściéj zaciąga na ten cel pożyczkę u lichwiarzy na wysoki procent, aby cechowych majstrów zadowolnić i do ich grona się wkupić.

Skończyło się jego prześladowanie, a wkradł się niedostatek, albowiem jeżeli na oznaczony termin nie jest w stanie uiścić się lichwiarzowi, ten straduje go i z całą rodziną w niedolę pogrąży. Oto jaką odniósł korzyść ze swego majsterstwa, a raczéj jak mu prędko przysłużył się cech do upadku, wydzierając mu ostatni fundusz, który krwawą pracą przy oszczędności zebrał, lub téż zmuszając go pogardliwém obejściem do zaciągania pożyczki, którą prędzéj czy późniéj, całém swem mieniem, a częstokroć zdrowiem opłaca. Dotąd przytoczone uwagi dostatecznie objaśniają powody niedostatku klasy rzemieślniczéj; zastanówmy się teraz nad środkami jéj podźwignienia.

Najpierwszym i najskuteczniejszym środkiem do podniesienia dobrobytu i umoralnienia klasy rzemieślniczéj, jest oświata. Ona to podnosi godność człowieka, ona zaszczepia w nim zasady religii, w skutek czego, czyni go moralniejszym i skłonniejszym do spełnienia czynów wzniosłych, — ona oświeca umysł i daje jasne pojęcie obowiązków społecznych i religijnych, — ona jest jakoby tarczą zasłaniającą od przystępu złych nałogów, próżniactwa, niedostatku i rozpaczy. Ona jest pochodnią przyświecającą w różnych przygodach naszego życia. Słowem oświata czyni człowieka użytecznym społeczeństwu, prawym obywatelem.

Oto co pisze w tym względzie, jeden z francuskich pisarzy (Baudrillart), a cośmy już raz w jedném z naszych pism czytali:

„Nauka podnosi moralność i ekonomią. Pod względem moralnym nadaje samodzielność myśli; praca uszlachetnia człowieka i obznajamia z pięknem i dobrem, a budząc uczucia, podnosząc wyobraźnią, podnosi cnoty, i uświęca powagę obowiązku. Nauka

zapewnia dobrobyt i strzeże od ubóstwa. Umiejący czytać sam pocznie się kształcić, a znudzenie i lenistwo nie popchną go do nałogów i rozpaczy. Prawdziwa nauka to promień siły, który jednocześnie oświeca i wzmacnia; to potęga podnosząca zdolności, i czyniąca z nich narzędzie odpowiedniéj produkcyi; prawdziwa nauka uzacnia, otwiera szeroko wrota postępu i wzbudza w ogóle zamiłowanie do pracy. Kto posiada naukę, ten jest pracowitym i moralnym, bo chce z niéj największe wyciągnąć korzyści. Zapewnienie dobrobytu, ugruntowanie zasad moralnych, i zmniejszenie liczby występków, są dobroczynném nauki następstwem. Wykształcony rzemieślnik, produkuje najwięcéj i najlepiéj się prowadzi. Niewiadomość płodzi zbrodnie, nauka przeciwnie, władnąc namiętnościami, nie dozwala im się rozwijać. Słowem, jest ona dla człowieka źródłem pracy, moralnego szczęścia i silną strażą cnoty.“

Młodzieży! do was to szczególniéj stosują się wyżéj przytoczone ustępy, w was cała nadzieja, że godnie kiedyś odpowiecie waszemu powołaniu; nie zaniedbujcie żadnego możliwego środka, żadnéj sposobności, czembyście mogli swój umysł wzbogacić. Dziś dla was pora, abyście zasiewali kosztowne ziarnka nauki, które wam później stokrotny plon wydadzą. Pamiętajcie na to stare przysłowie, które bodajby się nigdy nie sprawdziło: „kto za młodu próżnuje, ten na starość żebrze,“ a jednak dość często są tego smutne przykłady. Pamiętajcie, że cała wasza przyszłość zależy od tego, jak użyjecie czasu w latach młodzieńczych, gdyż zapóźną i nierównie mozolniejszą jest wszelka nauka na starość.

Na was zaś, panowie majstrowie, leży obowiązek pilnego czuwania nad waszymi wychowańcami.

Waszéj oni pieczy oddani, wy macie z nich przysposobić przyszłych majstrów, przyszłych obywateli. Wy macie strzedz bacznie, aby z tych młodych latorośli nie wyrosły karłowate drzewa. Pomnijcie, że głos opinii publicznéj ustawicznie wam to przypomina, a głos ludu, to głos Boga.

Społeczeństwo z miary ich wykształcenia o was sąd wyda, a Bóg ścisłego dopomni się rachunku.

Wasi wychowańcy, jak zwykle młode, niedoświadczone dzieci, nie czują dziś téj koniecznéj potrzeby kształcenia swego umysłu, lecz wy wsparci długoletniém doświadczeniem, doskonale pojmujecie, jak niezbędna jest dla każdego człowieka nauka.

Jeżeli którzy z was nie odebrali za młodu tego drogiego skarbu, sami to przyznają, jak im się ten brak dotkliwie dziś uczuwać daje; macież więc wet za wet wyrządzać tę krzywdę i waszéj czeladzi, nie dbając wcale o to, czy znają li też oni pierwsze zasady religii?... czy umieją przynajmniej porządnie czytać, pisać i rachować, przy tych bowiem pierwszych zasadach moralności i nauki, sami daléj przy dobrych chęciach kształcić się będą.

Posyłacie waszych uczniów do szkół rzemieślniczo-niedzielnych, ale czy zwrócicie kiedy uwagę, czyli oni do takowych regularnie uczęszczają?... czy zadacie sobie tyle trudu, aby ich choć raz w miesiąc, a nawet w kwartał wyegzaminować, jaki też postęp w wykładanych naukach uczynili?... Czy staracie się im dostarczyć użytecznych książek, stosownych do ich pojęcia, których tak chętnie udzielają bezpłatnie czytelnie Towarzystwa Dobroczynności?... czy nie szczędzicie paru złotych miesięcznie na prenumeratę jakiego tygodniowego pisemka, które u nas dzięki troskliwości ludzi uczonych, coraz więcéj się mnożą i zawierają tyle pięknych artykułów, wzniecających ciekawość i chęć do czytania?... O! zaprawdę, mało się znajdzie głosów potwierdzających. A wszakże to z chwilą przyjęcia ucznia do nauki, zobowiązujecie się do tego wszystkiego, jako zastępcy rodziców; dokładacie wszelkich starań, aby jak najprędzéj z niego odnieść materyalne korzyści; używacie do rozlicznych posług, nawet wcale nie tyczących się rzemiosła, ale aby jego umysł wykształcić, to rzecz zupełnie podrzędna. W chwili, kiedyby ten mógł wziąść książkę lub pióro do ręki, każecie mu piastować dzieci, drzéć pierze, lub tympodobne spełniać czynności. Pożądaném i pożyteczném by było, aby każdy terminator przed wyzwoleniem go na czeladnika, podlegał ścisłemu egzaminowi, lecz nie przed członkami zgromadzenia, których większość do nauki małą przywiązuje wagę, ale

przed osobami delegowanemi w tym celu przez władzę edukacyjną. Nieposiadających dostatecznych kwalifikacyi w naukach niezbędnych dla każdego rzemieślnika, nie wyzwalać dopóty, dopóki żądanego egzaminu nie wytrzymają. Takie postępowanie jest koniecznem, i z czasem błogie owoce przynieśćby mogło. Dziś dla formy wymagają od mającego się wyzwolić świadectwa szkolnego, lecz takowe, jeżeli regularnie przez pewien przeciąg czasu uczęszczał, z łatwością uzyskał, chociażby wcale niczego się nie nauczył; w cechu zaś ani go spytają, czy umié czytać i choć własne napisać nazwisko.

W niektórych rzemiosłach wymagają zgromadzenia kwalifikacyi rysunkowych od kandydatów podających się na majstrów i robią im niesłychane trudności, koszta i kłopoty wtenczas, kiedy ci zajęci utrzymaniem częstokroć licznéj rodziny, nie mają czasu do kształcenia się w rysunkach. Czy nie byłoby daleko stosowniéj i logiczniéj, ażeby podobnéj kwalifikacyi żądali od mającego się wyzwolić ucznia?... A ztąd ta wynikłaby korzyść, że czeladź znając dobrze rysunki, nie wymagałaby tyle dozoru i ustawicznych objaśnień przy wykonywanych przez nią robotach, majstrowie zaś nie potrzebowaliby szukać modeli na swe wyroby w obcych warsztatach, lub nabycia takowych podstępnie opłacać, lecz przy pomocy wychodzących za granicą żurnali, coś własnego pomysłu utworzyć.

Wielu dotąd majstrów i czeladzi tłómaczyli swą nieumiejętność rysunków brakiem potemu odpowiedniéj szkoły, lecz dzisiejsi terminatorzy i czeladzie, a z tych przyszli majstrowie, czém się będą mogli uniewinnić, kiedy utworzoną została bezpłatna klasa rysunkowa przy szkole sztuk pięknych, do któréj każdy kto tylko chce, bez żadnéj różnicy stanu, może uczęszczać i darmo się kształcić. A jakże korzystają nasi rzemieśnicy z tego dobrodziejstwa?...

Oto przez ciąg pierwszego kwartału od założenia téj instytucyi, z tak olbrzymiéj masy rzemieślników warszawskich, zebrało się 31 uczestników, razem terminatorów i czeladzi. To zaiste dziwna! Widzimy ztąd, jak nasi majstrowie i czeladzie mało

są dbali o nauczenie się tyle ważnego dla nich przedmiotu, podnoszącego gust i udoskonalenie ich rzemiosła.

Przystaję na to, że samym majstrom różne zajęcia domowe nie pozwalają korzystać z wykładu, ale niech zachęcają do tego swoich czeladzi, niech zwrócą baczną uwagę na swoich uczniów, aby ci w miarę możności z téj nauki korzystali. Byłoby nawet bardzo korzystném, gdyby prócz niedzieli i świąt, choć raz w tydzień w dniu powszednim, do rzeczonéj szkoły uczęszczali. Jeżeli majstrom idzie o stratę czasu przy warsztacie, niechaj ją uczeń w godzinach wieczornych nagrodzi, tym sposobem obie strony będą zadowolone, bo uczeń pojmując, że to dla jego własnego jest dobra, chętnie godzinę dłużéj pracować będzie.

Starajmyż się więc dołożyć całéj usilności w kształceniu młodéj generacyi, pomnijmy na to, że dziś nie uczniów, lecz przyszłych majstrów, przyszłych obywateli kraju kształcimy, gdyż jacy wyjdą z naszéj opieki uczniowie, tacy będą czeladzie, a następnie majstrowie. Nie zrażajmy się przeciwnościami; trochę dobréj woli z jednej strony i cokolwiek chęci z drugiéj, a wszystko pójdzie przy pomocy Bożéj jak najłatwiéj, bo Bóg dobrym przedsięwzięciom zawsze błogosławi.

Przy wykształceniu umysłowém młodzieży, łatwiéj im pójdzie nauka rzemiosła, wkrótce pozyskamy rzemieślników bogobojnych, zdolnych, trzeźwych i pracowitych, z tém większą dla nas pociechą, że to owoc naszych trudów, żeśmy także przyłożyli ręki, do tój wielkiéj budowy społecznéj, jaką jest oświata w narodzie.

Daléj, środkiem podnoszącym zamożność w klasie rzemieślniczéj jest: sumienna praca i oszczędność. Po upadku pierwszego człowieka Adama, Pan Bóg w wyroku swoim skazał go na pracę, gdy wyrzekł: „w pocie czoła twego na chleb pracować będziesz,“ a wyrok ten sięga po dziś dzień, i przetrwa aż do końca świata. Praca zatem jest postanowieniem Bożém, i jako taka, powinna być dopełnianą z całą sumiennością i poświęceniem.

Wiadomo nam, że każda machina dopóty tylko jest czynną, dopóki która z cząstek w jéj skład wchodzących nie przestanie spełniać swéj funkcyi.

Tożsamo dzieje się i w społeczeństwie. Każdy człowiek, który nie odpowiada godnie swemu powołaniu, to jest nie pracuje sumiennie, nie spełnia swego obowiązku, psuje system społeczny, staje się ciężarem ogółu. Z tych tedy dwóch okoliczności, już jesteśmy obowiązani pracować szczerze i sumiennie témbardziéj, że przez pracę zapewniamy sobie i swéj familii sposób utrzymania. Nie ma tu mowy o pracy bez wypoczynku, bez żadnéj przerwy; rzecz jasna, że człowiek po pracy potrzebuje wytchnienia, Bóg przy stworzeniu świata już to przewidział, i w tym celu postanowił siódmy dzień tygodnia święcić a świat chrześcijański wybrał na taki niedzielę.

Tymczasem nieraz daje się widzieć rzemieślników zajętych pracą w dni święte, a w poniedziałki, wtorki, a niekiedy nawet środy, ani zajrzą do swych warsztatów. Jakże ci ludzie postępują opacznie. Dni przeznaczone na modlitwę i odpoczynek, zagwarantowane od pracy przykazaniem Boskiém, gwałcą, niepomnąc na to, że w ten sposób nigdy do niczego nie przyjdą. Tysiączne mamy tego przykłady, że ci sami, którzy przepędzili dzień święty przy pracy, w poniedziałek bałamucą, i nietylko że w tym dniu nic nie zarobią, lecz strwonią grosz zapracowany w ubiegłym tygodniu, utracają przytém zdrowie, szacunek, a jeżeli jeszcze mają rodzinę, stają się przyczyną jéj cierpień i niedoli. Straszna to choroba wielu z pomiędzy czeladzi, z któréj daj Boże, aby jak najprędzéj zdołali się wyleczyć.

Pracujmyż więc szczerze, sumiennéj pracy Bóg pobłogosławi. bo pismo święte mówi: „Pracuj człowiecze, a Bóg ci dopomoże.“

Praca w nas wleje to wewnętrzne przekonanie, żeśmy dobrze użyli czasu, z którego kiedyś przed Bogiem będziem musieli się wyrachować. Praca nie da przystępu złym myślom i namiętnościom, ustrzeże od złych nałogów, uchroni od niedostatku, zapewni nam dobrobyt z tém przekonaniem, że pracując szczerze za młodu, póki siły i zdrowie sprzyjają, będziem mogli na starość spokojnie po trudach wypocząć.

Ale wtenczas możemy się tego błogiego skutku spodziewać, jeżeli z owocu naszéj pracy, zdołamy coś na przyszłość zaoszczędzić.

Uwaga powyższa sama z siebie jest jasną, niepotrzebującą dowodzenia. To tylko przytoczyć mogę, iż zbawiennémby było, aby majstrowie zachęcając swą czeladź do oszczędności, nie zapominali o terminatorach, i aby takowych z ich zarobków ściśle kontrolowali. Widzimy często terminatorów, tańczących po pokątnych salach i szynkach, gdzie bardzo wiele złego zaczerpnąć mogą, a to ztąd właśnie pochodzi, że pozwalamy uczniom naszym podejmować się różnych drobnych robót na ich własną korzyść, a nic nas to nie obchodzi, na jaki cel zarobione pieniądze obracają, których jako młodzi i niedoświadczeni nie umieją szanować.

Lepiéjby zatém było, aby na samowolne przyjmowanie robót nie pozwalać, a mającym chęć coś zarobić w godzinach wieczornych, wydawać od siebie robotę, za którą wynagrodzenie składać do kasy oszczędności. Będzie to dziś dla nich wydawało się przykrém; ale gdy do czasu wyzwolin uzbierają sumkę, która wówczas wielce się przyda, poznają, jakiém to dla nich było dobrodziejstwem.

Zauważmy nakoniec ileby to reforma cechów rzemieślniczych wpłynąć mogła na podniesienie dobrobytu pomiędzy ich członkami.

Cechy, aby były użytecznemi instytucyami, powinny mieć na celu korzyści ogólne, a nie wiooki osobiste; powinnyby się zamienić na towarzystwa wzajemnéj pomocy, jakich mamy wiele w krajach ościennych, gdyż z dzisiejszych ich dążności, możnaby je raczéj nazwać: stowarzyszeniami wzajemnego prześladowania, intryg i bałamuctwa. Zgromadzenie powinno dobierać do steru swych czynności ludzi wykształconych, bezinteresownych, pojmujących dobrze korzyści ogólne; ludzi, którzyby zasługiwali na zaufanie towarzystwa, roztropnie umieli obracać funduszami jego, którzyby swoją powagą nie pozwolili na to, aby lada kto, częstokroć pozbawiony przytomności, wtrącał swoje „ale,“ a głos jego miał walor, jak się to dziś praktykuje. Przedewszystkiém z sal posiedzeń towarzystwa powinny ustąpić wszelkie stypy, gdyż przy kuflu i kieliszku, nigdy się nic mądrego nie widzi.

Kosztem wina i bawara możnaby urządzić własną biblioteczkę, prenumerować różne użyteczne pisma, które nierównie korzystniéj wpłyną na umysły członków, jak wyżéj przytoczone trunki.

Liczba członków takiego towarzystwa, nie powinna być, jak dotąd, ograniczona. Wymaganie dziś praktykowanych kwalifikacyi do żadnych rezultatów nie doprowadza, bo tak dobrym jest ten, który wykonał najwspanialszą sztukę mistrzowską, jak i ten, który jéj wcale nie robił, a po prostu wkupił się za pieniądze.

Pierwszy długi czas pracuje, mozoli się, często opuścił korzystniejsze roboty, w końcu zapożyczy się, gdy mu zabraknie funduszu, gdy tymczasem drugi, wyliczy tylko na stół żądaną sumę, i już te same prawa co pierwszy uzyskał.

Prześladują, piorunują cechy przeciw nienależącym do zgromadzeń majstrom, a czémże lepszém od tych ostatnich są ich członkowie, którzy swą kwalifikacyą opłacili pieniędzmi?... a dziś takich jest większość.

Widzimy ztąd, że dla bogatych przystęp łatwy, chociażby byli najniezdolniejszymi, gdy przeciwnie biednym i najzdolniejszym tysiączne robią się trudności. Oto sprawiedliwość dzisiejszych cechów. Zresztą do czego dąży to ciągłe paraliżowanie postanowień rządowych? Magistrat n. p. wydaje patenta na swobodne prowadzenie warsztatu, do czego nawet żąda opinii cechowéj. Urząd starszych wydając takową przychylnie, świadczy o zdolności kandydata; a późniéj prześladuje go i mianuje fuszerem.

Rząd wzywa tak cechowych jak i konsensowych majstrów, aby płacili podatek szkolny od terminatorów, cech zaś nie przyznaje konsensowym prawa trzymania uczniów i mocą swych praw feudalnych odbiera im takowych.

Towarzystwo wzajemnéj pomocy, już z samego tytułu nie mogłoby w podobny sposób postępować, lecz owszem, biednym a zdolnym rzemieślnikom przychodzić z pomocą; młodych zaś czeladzi, odznaczających się szczególnemi zdolnościami, wysyłać swym kosztem za granicę, dla kompletnego wydoskonalenia się w obranym zawodzie. Ręczę, że do podobnych czynów publiczność

sama przyłożyłaby swéj ręki, a ludzie utalentowani nie szczędziliby swych trudów, aby przyjść młodszéj braci z pomocą.

Przy podobnych stowarzyszeniach, koniecznie powinny być urządzone kasy pożyczkowe, któreby skuteczniéj przychodziły z pomocą biednym majstrom, jak dziś lichwiarze, wymagający ogromnych procentów, a które stają się niekiedy przyczyną upadku biednych rzemieślników. Mamy taką kasę przy Towarzystwie Dobroczynności, lecz ta instytucya nie znając osób żądających pożyczki, wymaga wielkich formalności i poręczeń, którychby kasa towarzystwa wzajemnéj pomocy nie wymagała, znając stan zamożności wszystkich swych członków.

Podobne towarzystwa najusilniéj powinny starać się o to, aby posiadały składy surowych materyałów do produkcyi, które nabywać by mogły z pierwszéj ręki daleko łatwiéj i w doborowym gatunku, a po doliczeniu umiarkowanego procentu odstępować swym członkom, po nierównie niższych cenach niż dziś spekulanci i żydzi, którzy na surowych materyałach ogromne ciągną korzyści; a wtenczas i wyroby nasze byłyby tańsze i z lepszych materyałów wykonane. Mogę tu postawić za przykład towarzystwo kilkunastu majstrów szewckich, którzy w kilku częściach miasta pootwierali składy skór na obuwie. Dobierają oni skóry z najlepszych fabryk krajowych i zagranicznych (albowiem sprowadzają takowe z Hamburga i Paryża), i nietylko, że sami mają ich dosyć dla własnéj produkcyi, ale jeszcze przychodzą w pomoc innym majstrom nienależącym do towarzystwa, odstępując im taniéj i lepszy towar na ich wyroby. Dzielnie im téż dopomógł zacny obywatel i fabrykant wyprawy skór, pan Temler, który im otworzył kredyt na 50,000 złp.

Nadto, na wzór zjednoczonych stolarzy, inne stowarzyszenia powinny urządzić wspólne magazyny na gotowe wyroby. Tylko kierunek takowymi należałoby oddać ludziom bezinteresownym, zasługującym na powszechne zaufanie. Nie robić żadnych wyłączności; każda sztuka byleby sumiennie i z dobrego materyału wykonana, powinna być przyjęta i na sprzedaż wystawiona. Wieleby na tém skorzystał ogół.

Wszystkie razem towarzystwa, powinny się znieść pomiędzy sobą, i uprosić jednego z wydawców pism peryodycznych, aby się podjął nakładu specyalnego tygodnika dla rzemieślników. Jakkolwiek niektóre z pism dotąd wychodzących, traktują tę materyą, jednak wszystkie w nich artykuły razem wzięte nie są jeszcze tém, co w jedném specyalném piśmie dla rzemieślników pomieściéby można. Za wzór do takowéj publikacyi możnaby wziąść jedno z pism podobnego rodzaju wychodzących za granicą, dodając w drzeworytach świeże żurnale, ulepszone różnego rodzaju przyrządy, machiny, i t. p. Ale jakążby miał wydawca rękojmię powyższego nakładu? — Otóż prenumerata musiałaby być przymusową, t. j. każdy członek, wnosząc miesięczną czy téż kwartalną składkę do kasy towarzystwa, powinienby zaraz opłacać prenumeratę, a ze względu na wielką liczbę rzemieślników różnych kunsztów, znaczna ilość egzemplarzy wychodziłaby z pod prasy, a témsamém i cena mogłaby być przystępną.

Naostatek bardzo wielką przysługę mógłby przynieść ogólny klub rzemieślniczy, na wzór istniejących wszędzie za granicą, a nawet u nas resursy kupieckiéj. Był już w Warszawie zakrój na podobny zakład przed kilkoma laty i bardzo dobrze uprojektowany przez księdza kanonika Steckiego, lecz wielka szkoda że nie przyszedł do skutku, brak bowiem podobnego miejsca na zebrania rzemieślnicze coraz zgubniejsze wydaje owoce; widzimy tego dowody w codziennych prawie przykładach. Kluby rzemieślnicze tém szczególniéj zasługują na uwagę, że w nich zwykle połączoną jest zabawa z nauką i umoralnieniem. Czyż nie stosowniejsze byłyby zebrania majstrów w klubie, niż dzisiejsze schadzki po bawaryach; do pierwszego mogliby uczęszczać z rodziną i swoją czeladzią, a ci ostatni pod dozorem swych pryncypałów, nie mieliby tyle okazyi do zepsucia, jak w dzisiejszych gospodach, które koniecznie wówczas musiałyby upaść.

Podobny klub byłby zachętą dla czeladzi do kształcenia się w naukach i porządnego prowadzenia; w gronie bowiem kobiet staraliby się umieć znaleść, a przez wzgląd na ich towarzystwo, przyzwoicie zachować. Tu by się mogli zapisywać czeladzie, po-

zostający bez roboty, jak niemniéj majstrowie potrzebujący czeladzi. Do klubu nie miałby wstępu nałogowy pijak, a témsamém nie zarażałby tą szkodliwą chorobą ludzi niezepsutych, gdyż w dzisiejszych gospodach wszystko razem pomieszane, i jedni przez drugich się psują; bo przysłowie mówi: „z jakim się kto wdaje, takim się sam staje.“ Młody czeladnik dopóty jest porządnym, dopóki nie zacznie do gospody uczęszczać, do tego siedliska i szkoły wszystkiego złego. W klubie rzemieślniczym mogłyby być urządzone czytelnie, w pewnych czasach składkowe zabawy. Słowem podobny zakład wieleby mógł wpłynąć na uszlachetnienie klasy rzemieślniczéj, wieleby mógł przynieść zbawiennych owoców dla całéj ludzkości.

Kończąc mój artykuł, muszę w rezultacie nadmienić, że wszystkie przytoczone tu fakta, są rzeczywiste, i jeżeli czego przez wstręt nie pominąłem, lub w lepszém nie wykazałem świetle, w ciemniejszych barwach nie przedstawiłem.

Wzbogacony kilkonastoletniém doświadczeniem, tak w miejscu jak i przez przeciąg kilkoletniéj podróży, dostatecznie poznałem tę klasę ludzi, która zaprawdę godną jest lepszego stanowiska.

Aż nadto jestem spokojny, że nikt mię tu nie obwini o przesadę, gdyż przyczyny sprowadzające niedostatek pomiędzy rzemieślnikami są jawne; nie wiem atoli, czy się dobrze wywiązałem w zalecaniu środków podźwignienia. Oddaję to pod sąd ludzi mających więcéj odemnie doświadczenia, i chętnie poddaję się krytyce.

Nie starałem się tu o dobór pięknych zdań i frazesów, ale prosto z serca płynące myśli i rady, starałem się przelać na papiér, pragnąc gorąco podniesienia, tak pod względem moralnym jak i materyalnym, téj olbrzymiéj warstwy społeczeństwa, jaką zajmuje klasa rzemieślnicza, a do któréj sam także należę.

Zenon T....



ZOFIA z hr. BRANICKICH hr. POTOCKA.

W kilku ogólnych i niewykończonych zarysach zamierzamy tu skreślić obraz życia jednéj z najszanowniejszych matron polskich, dziedziczki znakomitéj fortuny, która nie kusząc się o wpływanie na losy kraju, w cichym zakresie cnót niewieścich, poświęceniem bez granic i ofiarnością niewyczerpaną wzniosła sobie najwyższy i niepożyty pomnik w sercach biednéj braci, w sercach ubogich, wdów i sierót; sięgnęła po te laury nigdy nie więdnące, o które wprawdzie każda zacna

niewiasta mogąca rozporządzać znaczną fortuną ubiegać się może, których jednak samemi pieniędzmi się nie zdobywa, lecz głównie i przedewszystkiém sercem współczującém na niedolę bliźniego i śpieszącém z ochotą na pomoc nieszczęściu.

Dobrodziejkę ubogich niebo już tu na ziemi długiém wynagrodziło życiem. W chwili gdy to piszemy, Zofia z hr. Branickich hr. Potocka zajmuje już patryarchalne stanowisko babki w rodzinie jedynego syna swojego Adama hr. Potockiego, i otoczona czcią i uwielbieniem, dobiega kresu lat, do których rzadko sięga życie człowieka. Urodzona jeszcze za czasów niepodległéj Polski, pamięta wszystkie dziesiątki lat bieżącego stulecia, a z upłynionem ostatnie lata przeżyła.

Ośmdziesiąt lat w życiu mężczyzny, to zwykle peryód obfity i bogaty w najróżnorodniejsze przemiany zakresu działalności i zajmowanego stanowiska. Powołany do czynnego udziału w biegu spraw kraju, mężczyzna żyje historyą krajową i nie ma w dziejach ojczyzny ważniejszego wypadku, któryby się z życiem jego nie sprzęgał i pewnéj w niém nie stanowił epoki. Inakszém jest życie niewiasty, która je zamknąć postanowiła w cichym zakresie cnót kobiecych i za jedyne zadanie postawiła sobie być aniołem pociechy w wielkiéj rodzinie ludzkości. To téż życie hr. Zofii Potockiéj, długie i nieprzerwanie czynne, dałoby się streścić w kilku wyrazach: „nieustanna praca i ofiarność dla nieszczęśliwych i potrzebujących.“ Jest to wyłączna treść publicznego zawodu zacnéj niewiasty, któréj zasługom chcieliśmy oddać słaby hołd tém pobieżném wspomnieniem i która w właściwym sobie, najodpowiedniejszym niewieście polskiéj zakresie, zrobiła bez zaprzeczenia więcéj niż była obowiązaną, pracowała za wielu innych, którzy przedewszystkiem pamiętają tylko o sobie.

Nie chcemy i nie mamy prawa uchylać zasłon prywatnego życia, większa więc część hojną ręką sypanych dobrodziejstw hr. Arturowéj Potockiéj nie może wejść w ramy tego obrazu, w którym mówić będziemy tylko o ofiarach złożonych

przez nią na ołtarzu publicznego dobra, a których wielkość i charakter nie pozwoliły im pozostać w tajemnicy.

W młodych latach zaślubiona hr. Arturowi Potockiemu, hr. Zofia wraz z małżonkiem przeniosła się około roku 1824 do staréj stolicy polskiéj, i odtąd imię jéj stale powtarza się w rocznikach dobroczynności Krakowa, obok ofiar największych ilością, na najszlachetniejsze i najpożyteczniejsze przeznaczonych cele, nieprzerwanie i systematycznie z ciągłą pamięcią o potrzebach nędzy składanych.

Arcybractwo Miłosierdzia i Banku pobożnego posiada znaczny fundusz na jałmużny i inszy, większy jeszcze, na młodzież rękodzielniczą, z daru Potockich. Towarzystwo Dobroczynności im zawdzięcza znakomite uposażenie stałe na bieżące potrzeby i znaczną ofiarę na urządzenie z czasem odpowiedniejszego gmachu. Taż sama rodzina szczodrym datkiem corocznym wspomaga ochronę małych dzieci i co rok daje znaczną kwotę na wsparcie wstydzących się żebrać i na rozdanie najuboższym mieszkańcom. Do wszystkich tych ofiar najwięcéj przyczyniała się i przyczynia się zawsze hrabina Arturowa, która oprócz tego czynną osobistą pracą bierze udział w pracach dobroczynnych, gdyż od dnia 27 lutego 1848 roku bez przerwy pełni z gorliwością przykładną obowiązki prezesowéj dam krakowskiego Towarzystwa dobroczynności, a zarazem jest opiekunką zakładu moralnie zaniedbanych chłopców i dwóch sal sierót. Bardzo często się zdarza, że takie obowiązki osoby możne i wpływowe przyjmują jedynie dla tytułu i godności, czém wprawdzie wspomagają instytucyą, wpływ bowiem ich nazwiska pociąga niejednego do składania ofiar, ale zawsze poświęceniem i ofiarą z ich strony nazwać tego niepodobna. Inaczéj zupełnie pojmuje swoje zadanie hr. Arturowa Potocka. Dla niéj udział w pracach Towarzystwa Dobroczynności jest służbą publiczną, pracą dla dobra kraju, któréj całą gorliwość, cały czas wolny poświęca. Urządzanie loteryj fantowych, kwest wielko-tygodniowych, wyszukiwanie wszelkich źródeł dochodu dla instytucyi dobroczynnéj, rzeczy

w ogóle na pozór łatwe, wymagają jednak wiele trudów i zachodu. Od téj pracy nigdy się nie usuwa hr. Arturowa Potocka, jéj też głównie zawdzięczać należy powodzenie tych wszystkich przedsięwzięć, mających na celu otarcie choć cząstki łez jakie nędza wyciska...

Oprócz ofiar na zakłady dobroczynne krakowskie, hr. Arturowa szczodrą, szczodrzejszą jeszcze niezawodnie dłonią łoży na nędzę w dobrach swoich i swego syna. Aby dać wyobrażenie o wielkości tych ofiar, wspomniemy tu tylko ufundowany przez nią szpital w Krzeszowicach, umieszczony w osobnym, obszernym i wygodnym budynku, z kapitałem zakładowym wynoszącym przeszło 13,000 złr., przeznaczony nominalnie dla 6 mężczyzn i 6 kobiet, w którym jednak zazwyczaj przeszło stu chorych znajduje bezpłatne pomieszczenie i troskliwą pomoc lekarską. Gdzieindziéj zwykle dzieje się przeciwnie, fundacye przeznaczone dla setek nieszczęśliwych zdolne są ledwie dawać przytułek dziesiątkom; inaczéj jednak jest tam, gdzie działa żywa dobra wola fundatora, gdzie w każdéj chwili jego kassa jest otwartą na pokrycie deficytów zakładu, i to nam tłómaczy, dla czego instytucya założona na skromną skalę zdolną była rozwinąć się tak obszernie i takiém dobrodziéjstwem stać się dla całéj okolicy. Szpital ten założonym został w r. 1843 wkrótce po owdowieniu hr. Zofii, można więc łatwo pojąć ilu ludziom przez czas 27 letniego swojego istnienia ocalił życie dla rodzin, któreby zmarnieć musiały pozbawione naturalnéj podpory i opieki.

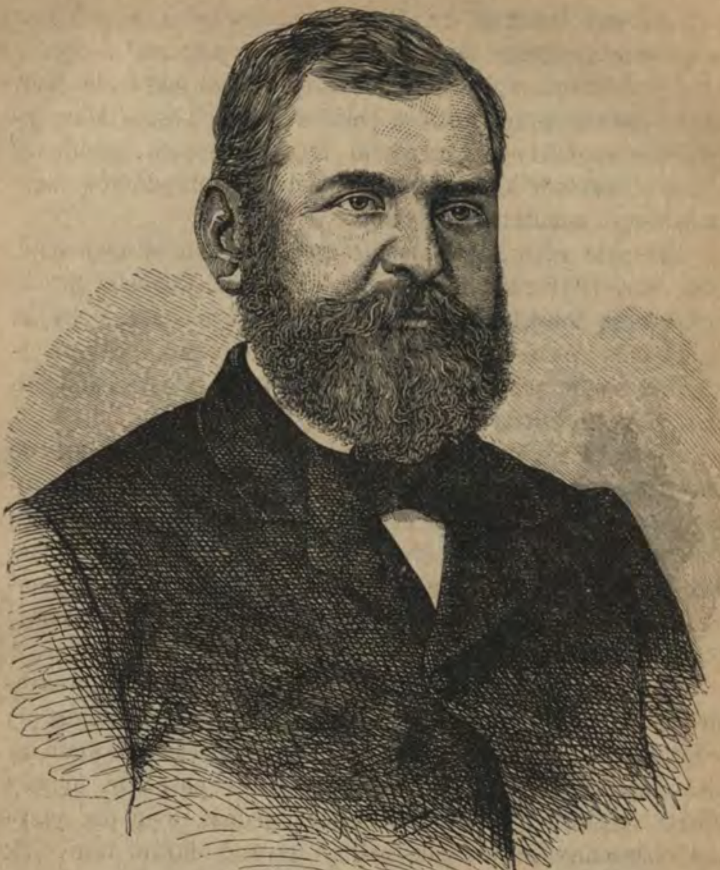
W roku 1850 straszliwa klęska dotknęła miasto Kraków. Czytelnik się domyśli, że mówimy tutaj o owym wielkim, pamiętnym na wieki pożarze, który w kilku godzinach zamienił w gruzy najpiękniéjszą część miasta i dwa tysiące rodzin pozbawił całego mienia. Klęska ta straszna otworzyła najpiękniejsze pole dobroczynnéj działalności hr. Arturowéj Potockiéj. Zawiązany został pod jéj przewodnictwem komitet pogorzeli, który oprócz rozlicznych darów w naturze zebrał gotówką około 200,000 złr. składek. W ciągu trzechletnéj

czynności tego komitetu hr. Potocka, oprócz znakomitych sum przez siebie i rodzinę złożonych na ofiary pogorzeli, oprócz użycia wszelkiego wpływu osobistego na powiększenie ofiar, ponosiła jeszcze przez półtora roku wszelkie koszta kancelaryjne, korespondencye, przesyłki rzeczy, książek, pieniędzy i t. p. i z własnéj kieszeni opłacała dwóch urzędników stale w kancelaryi komitetu zajętych.

Za takie zasługi miasto nie mogło się nie odwzajemnić, to też w r. 1851 rada miejska krakowska postanowiła uczcić hr. Arturową Potocką wybiciem na jéj cześć medalu. Uchwała ta, z powodu zawieszenia przez rząd urzędowania rady miejskiéj, nie mogła przyjść do skutku w swoim czasie i dopiero w r. 1867 wznowioną i wykonaną została.

W d. 24 i 25 czerwca r. 1866 krakowskie Towarzystwo Dobroczynności obchodząc 50 letni jubileusz swego wskrzeszenia postanowiło wydać album czyli pamiętnik téj uroczystości. Pamiętnik ten wyszedł z druku w ozdobnéj edycyi w dwa lata późniéj i w liczbie innych przedmiotów mieści w sobie życiorys i wizerunek dostojnéj prezesowéj dam, hrabiny Arturowéj Potockiéj.

Tym sposobem zasługi hr. Potockiéj dostąpiły dwukrotnie trwałego publicznego uczczenia. Stało się to pomimo jéj szczeréj woli, pragnęła bowiem uniknąć pochwał świata za dzieła i prace, w których mierne tylko i pospolite umysły szukają rozgłosu i sławy. Potrzebném jednak było dać przykład zbawienny innym jak należy używać darów losu, jak należy odziedziczoną fortuną zjednywać sobie trwałą pamięć w sercach bliźnich, wdzięczność obdarzonych i imię wzorowéj obywatelki, zasłużonéj córki ojczyzny. W téj téż myśli i my umieszczamy niniejszą krótką wzmiankę, w któréj wiele szczegółów o dobroczynnych dziełach hr. Arturowéj Potockiéj nie dostaje, nikt bowiem bardziéj od téj szanownéj matrony nie przejął się ewangieliczną zasadą, że lewica widzieć nie powinna o dobrém, które prawica czyni.



STANISŁAW LILPOP.

Przy końcu roku 1866 straciliśmy męża, który energiczną i niezmordowaną pracą całego życia, niemało krajowi naszemu przyniósł pożytku. I niechaj nikt nie zarzuci, że wła-

ściciele wielkich fabryk lub rękodzielni w zabiegach swych więcéj własną niż ogólną korzyść mają na względzie.

W przedsiebiorstwach podobnego rodzaju powodzenie nieodzownym jest warunkiem istnienia, a istnienie to dobroczynnie i błogo oddziaływa na tysiące jednostek, na całe nawet społeczeństwo.

Niech się bogacą przemysłowcy, byle pracą sumierną i uczciwą. Szczęść im Boże! Toć razem z nimi bogaci się kraj cały, a z dobrobytu jednostek urasta powoli pomyślność materyalna narodów.

Stanisław Lilpop urodził się w Warszawie dnia 8 Maja 1817 r. z ojca Augusta i matki Elżbiety z Gromanów. Nauki początkowe pobierał w szkołach pijarskich w Warszawie, dalsze zaś w głośnym wtedy zakładzie na Zoliborzu. Po ukończeniu szkół, wszedł na praktykę do warsztatów bankowych fabryki machin na Solcu. Energiczna i wytrwała praca młodzieńca, jego rzutność w pomysłach i zręczność w wykonywaniu otrzymanych zleceń, wkrótce zwróciły nań uwagę zwierzchników, skutkiem czego wysłany został na lat kilka kosztem Banku zagranicę, dla dalszego kształcenia się w swym zawodzie. I nie zmarnował lat tych poczynający przemysłowiec. Całą duszą oddany studiom poważnym, obowiązkowym, nie rozpraszał się na fraszki i zabawy, jakby to był uczynił niejeden w jego położeniu, lecz z natężoną uwagą badał postępy mechaniki w znakomitszych zakładach Niemiec i Francyi, jak w Eschweiler i Mulhouzie, docierając wszędzie od zawiązku do ostatecznych kończyn produkcyi i nie wstydząc się pracy choćby najcięższéj, byle pożytecznéj i nauczającéj.

Ta sama jednak dłoń narobiona, co w razie potrzeby zręcznie używać umiała młota lub hebla, umiejętnie przytem władała ołówkiem i tuszem; bo Lilpop, według zdania znawców specjalnych, obok gruntownéj i wszechstronnéj znajomości wszystkich gałęzi techniki, był nadto bardzo biegłym rysownikiem mechanicznym. Szczególną także baczność, w ciągu pobytu swego zagranicą, zwracał młody praktykant na stronę

handlową obranego zawodu, stronę niezmiernie ważną, bez którój dokładnego zbadania, największe nawet zdolności nieraz bezowocnie marnieją, zwłaszcza w kraju tak mało jak nasz pod względem stosunków handlowych wyrobionym.

Za powrotem do Warszawy, Lilpop, z powodu braku odpowiedniego miejsca w zakładach bankowych, zwolniony został od obowiązku wysługiwania się za pobierane stypendyum, i wszedłszy w spółkę prywatną z tutejszym fabrykantem machin Bazylim Zakrzewskim, utrzymywał z nim razem zakład aż do r. 1848, w którym to czasie rozwiązał spółkę i objął wydział machin rolniczych w fabryce bankowéj na Solcu, prowadząc go na własny rachunek.

W roku 1854 po sześcioletniéj pożytecznéj dla ogółu i dla siebie działalności, porzucił ten obowiązek i razem z panem Wilhelmem Rau zawiązał spółkę z najdawniejszą i najzasłużeńszą u nas firmą mechaniczno-przemysłową braci Ewans.

Tu dopiero dla zdolności Lilpopa właściwe otworzyło się pole. Wsparty dostatecznym kapitałem i własnym i swych wspólników, rozpoczął przy pomocy tych ostatnich, w znanéj fabryce machin rolniczych przy ulicy Śto Jerskiéj w Warszawie, szereg znakomitych ulepszeń, które wkrótce postawiły ją na czele wszystkich prywatnych zakładów przemysłowych w Królestwie. Fabryka, która w chwili wejścia do spółki PP. Lilpopa i Raua liczyła około 300 robotników, obecnie zatrudnia ich 450, a więc o połowę więcéj, i to tylko w saméj Warszawie; oprócz tego bowiem fabryka żelaza w Drzewicy, powiecie Opoczyńskim, będąca filią i podstawą fabryki warszawskiéj, tudzież górnictwo w Rozwadach, i w lasach tamecznych, dają utrzymanie około tysiącowi ludzi. Nadto nadmienić tu należy, że kiedy za braci Ewansów ludność fabryczną tworzyli w większéj części cudzoziemcy, dziś składa się ona prawie wyłącznie z samych krajowców, począwszy od urzędników kantorowych, aż do najniższego robotnika. Kto wié jak trudném u nas jest zadaniem, zyskanie dla wielkiego zakładu przemysłowego dostatecznych sił rzemieślniczych, bez posiłkowania się

zagranicą, ten przyzna, że ta jedna już okoliczność, niepospolitą Lilpopowi stanowi zasługę.

W roku 1865 bracia Ewans wystąpili ze spółki, a część ich nabyli dwaj pozostali wspólnicy, Lilpop i Rau, pod których też kierunkiem i firmą fabryka dotychczas istniała. Obecnie wartość produkcyi tego zakładu wynosi rocznie do 300,000 rubli sr.

Wracając do osobistych działań Lilpopa, wspomnieć tu winniśmy, że w dziejach rolnictwa krajowego upamiętnił on swe imię wynalazkiem machiny do żęcia zboża, znanéj dziś powszechnie w całym kraju pod nazwą żniwiarki Lilpopa. Wprawdzie podstawą jéj, mianowicie co do sposobu cięcia zboża, była żniwiarka amerykańska Mac-Cornick'a, ale Lilpop zmienił cały jéj układ, udoskonalił szczegóły i dodał grabkę własnego pomysłu, tak, iż słusznie wynalazcą téj machiny mienić go można. Na próbach rozmaitego systemu żniwiarek, przed laty 10—12 w okolicy Warszawy odbywanych, żniwiarka polska Lilpopa wyszła zwycięzko i dotąd też ogólnie za najlepszą jest uważana. Pomysłu jego także jest siewnik uniwersalny to jest do wszelkiego rodzaju ziarna służyć mogący; w wielu zaś innych narzędziach rolniczych porobił zmiany bardzo praktyczne, do potrzeb miejscowych zastosowane.

Wymienione tu prace Lilpopa, dostatecznie już uwydatniają niezmordowaną jego czynność, w obranym przez siebie zawodzie. Niejeden zrobiwszy tyle i zebrawszy uczciwą zabiegłością znaczny bardzo majątek, pragnąłby odpocząć, w przekonaniu, że zadosyć uczynił obowiązkom obywatelskim i używać swobodnie owoców swojéj pracy — ale duch przedsiębierczy Lilpopa nie dawał mu odpoczynku. Czując się w pełni sił i zdrowia, marzył o nowych, na olbrzymią skalę projektach, których wykonaniu śmierć tylko zawczesna przeszkodziła. W r. 1867 zamierzał wejść w spółkę z domem francuskim Caile, celem założenia w Warszawie wielkiéj fabryki lokomotyw, która w roku następnym miała być wzniesioną i urządzoną. Nadto projektował budowę kilku cukrowni, między innemi w Rako-

łupach i Brwinowie, na które już nawet plany i kosztorysy w części były sporządzone. Korzystając z pobytu w r. 1866 zagranicą, Lilpop miał tam rozpatrzyć się w najnowszych ulepszeniach cukrownictwa i poczynić stosowne zamówienia.

Wszystkie te pożyteczne zamiary przecięła śmierć niespodziewana.

Dnia 15 Października 1866 r. Stanisław Lilpop zmarł nagle, skutkiem napadu apoplektycznego w Biarritz (we Francyi), dokąd udał się dla poratowania chwilowo zachwianego zdrowia.

STOWARZYSZENIA.

Obraz spółeczności ludzkiéj, jéj cele i środki.

Mówiąc słowami Skargi: „Bóg dał człowiekowi naturę towarzyską, która go do kupy pędzi.“ Szorstko ale jędrnie i dobitnie, temi kilku słowy kaznodzieja XVI wieku, określił spółeczne usposobienie człowieka. Z naturalnego popędu, z przyrodzonéj konieczności, ludzie do wspólnego garną się i skupiają pożycia, i tylko chorzy na umyśle, jak mizantropy i hypokondryści, albo osoby kontemplacyom religijnym oddane, jak anachoreci, wyłamują się z pod tego ogólnego prawa natury.

To prawo przyrodzone jest podstawą nietylko rozwoju, ale i celu człowieczeństwa. Ludzkość tylko rozwijać się może przez stowarzyszenie, i przez stowarzyszenie dopinać wielkich celów, przez Stwórcę jéj wytkniętych, krocząc wiekami i tysiącletniemi peryodami do coraz wyższego postępu i doskonałości.

A dwojaki jest ten cel ludzkości. Jeden materyalny, w myśl pisma św.: „rośnijcie i mnóżcie się i napełniajcie zie-

mię, a czyńcie ją sobie poddaną, i panujcie nad rybami morskiemi, i nad ptastwem powietrzném, i nad wszemi zwierzęty, które się ruszają na ziemi" — jest to cel zhołdowania sobie wszech potęg natury do swobodnego mieszkania i przebywania na ziemi, aby człowiek stał się jéj rzeczywistym panem, aby jako już wydarł piorun niebu, i wziął wody, gazy i elektryczność w posługi, tak zapanował i powietrzu, i odkrył nieprzebrane tajemnice natury, w których ukryta przyszła jego, daleko jeszcze większa moc i siła, i daleko większa niż dotąd swoboda od przypadku i trudu różnego rodzaju, w walce z naturą i potrzebami życia.

Celu tego dopinamy głównie przez pracę, doświadczenie i coraz gruntowniejszą znajomość nauk przyrodzonych.

Drugi cel jest moralny. Ma on coraz wyższe uszlachetnienie i coraz rozleglejszy dobrobyt rodzaju ludzkiego na widoku. Polega zaś na znajomości dobrego i złego. Religia, prawo, filozofia, ekonomia polityczna, są wrotami do tego poznania. Trudne ono, bo końca nie ma; mozolne, bo na różnych teoryach i pewnikach oparte; niezawsze pewne, bo względne; Bóg tylko sam jest dobrem nieskończoném, i jako taki, wiedzą tego wszystkiego, co jest dobre i co złe.

Człowiek ograniczony, krom objawienia, może mieć tylko względne, a wielekroć fałszywe o tém wyobrażenia. Przez tysiące lat, ludzkość biedzi się nad wynalezieniem dróg szczęśliwości swojéj, znajomości złego i dobrego, i dobiedz szczęścia nie może.

Dlatego to, wedle Mojżeszowéj księgi rodzaju, Bóg osadziwszy Adama w raju, rzekł mu: „z każdego drzewa rajskiego jedz, ale z drzewa wiadomości dobrego i złego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz." Wszakże stało się, bo stać się musiało, że pierwsi rodzice złamali to przykazanie Boże, kuszeni przez czarta, sięgnęli po owoc zakazany, i otworzyły im się oczy, dotąd niewiadomością czyli niewinnością olśnione, i ujrzeli się nadzy i wstyd ich ogarnął.

Śmierć przyszła na nich, bo nieśmiertelni z wiedzą dobrego i złego, byliby się stali równi Bogu. Raj ich żywota ustał, i jak w pocie czoła zarabiać na chleb Adam i jego potomkowie musieli, tak każdy człowiek nowonarodzony z niewiadomości przechodzić musi do wiadomości, dobierać się nauką i pracą znajomości dobrego i złego, by moralnie uzacnił siebie i ludzkość.

Ale z postępem czasu i z wynalazkami uciążliwości pracy coraz mniejsze, i zasoby nauk przez ogólną oświatę narodów, coraz przystępniejsze. Uwolnić zupełnie człowieka od ciężkiéj pracy ręcznéj i mechanicznéj, zaopatrzyć go w potrzeby i wygody życia, a témsamém wyswobodzić masy ludu od nędzy i niedostatku, następnie uszlachetnić ród ludzki przez poznanie i zastosowanie tego co jest prawdą, dobrem i pięknem; oto cele, do których ludzkość przez pokolenia i narody, różnemi drogami podąża.

Głównym środkiem w osiągnieniu tych wielkich celów jest stowarzyszenie. Dziecię nowonarodzone i długiéj potrzebujące w niemowlęctwie swojem pieczy i opieki, zmarniałoby, a z niém zmarniałaby przyszłość rodu ludzkiego, gdyby ojciec i matka z niém razem nie stowarzyszyli się w rodzinę. Rodzina rozrosła się w dom i gospodarstwo z liczbą sług i robotników, z inwentarzem i dobytkiem. Powstają osobne głowy rodzin, rozmnażając się w rody i pokolenia. W samym zaraz zawiązku towarzystwa z konieczności powstaje rozdział pracy i różne zatrudnienia, prowadzące do jednego społecznego celu, do dobrobytu i porządku towarzyskiego. Z różnych zatrudnień wywiązują się różne stany. Ludność skupia się w sioła, w grody i miasta. Jednoplemienne pokolenia zlewają się dla wspólnego dobra w potężne narody, a wielekroć podboje lub dobrowolne ugody, łączą różnoplemieńców w jedno obszerne mocarstwo.

Tak się złożyła i tak się dotąd utrzymuje społeczność ludzka na podstawie stowarzyszonych do jednego społecznego celu jednostek.

A nie dzieje się tu nic przypadkowo, ale wedle pewnych koniecznych praw fundamentalnych, naprzód już przez Stwórcę nakreślonych. Pojawiają się one między ludźmi na wszystkich punktach ziemi, i mimo rozliczności ras i uzdolnień przyrodzonych, ten sam wszędzie przedstawiają rozwój społecznych stosunków.

Postęp tylko jest tu przyśpieszony dla zbiegu sprzyjających okoliczności, tam opóźniony dla ich braku. Stopnie oświaty tylko są różne; tu wygórowana cywilizacya, tam jeszcze barbarzyństwo i dzikość, i ztąd różne objawy i postacie tych samych praw społecznych.

Sprzyjające rozwojowi towarzyskiemu okoliczności, są częścią geograficznéj, klimatycznéj, fizycznéj natury, częścią natury dziejowéj.

Same rasy są różnego duchowego usposobienia, a że najwięcéj zdolności, obok piękna, pokazała biała rassa kaukazka, to też ona najprzód wygórowała oświatą i dobrobytem; kiedy rasa malajska więcéj zręcznością niż rozumem się odznaczająca, rasa czarna murzynów i rasa czerwona amerykańskich pramieszkańców, te dwie ostatnie mniejszych jeszcze zdolności, pozostały w tyle.

W najściślejszym stosunku z rasami jest klimat. Gorące zwrotnikowe i równikowe okolice, podobnie jak północne biegunowe zimna, nie są przydatne dla rozwoju człowieczeństwa; bo spieka słońca blisko całoroczna, i długotrwały mróz potężny, przytłaczają w człowieku siły jego umysłowe. Postęp i oświata, jedynie w umiarkowanych strefach ziemi znajdują porę pomyślnego rozkwitu.

Nakoniec masy lądowe zatamowane puszczami i pustyniami, jak n. p. Afryka, mniéj są przystępne cywilizacyi, niżeli lądy nadbrzeżne, półwyspy i wyspy oblane morzem, które nie za rozdział, ale za połączenie krajów uważać należy. To też w nadbrzeżach Indyi, w Azyi mniejszéj, w Grecyi, we Włoszech, u nadbrzeży północnéj Afryki, na Archipelagu wysp licznych morza Śródziemnego, pierwsze zaświtały światła cy-

wilizacyi, ztamtąd rozeszły się zwolna osadami na resztę świata, zawsze czepiając się brzegów morskich, lub rzek do morza wpadających. Jeżeli Europa, acz najmniejsza z pięciu części świata, i jakby na ramieniu ogromnéj Azyi oparta, wygórowała oświatą i losy ludzkości dzierży w swych ręku; następnie, jeżeli w Europie saméj z kolei Grecya, Włochy, Hiszpania, Francya i Anglia, berło dziejowe trzymały, winni to mieszkańcy tych ziemic, rozległym brzegom morskim, jakich inne części świata i inne kraje w tym stosunku nie posiadają.

To szczęśliwe położenie nadmorskie, uczyniło owe ludy handlowymi, a handel sprowadził im przemysł, naukę i bogactwa.

Z jeograficznego i klimatycznego położenia narodów, rozwinąć się równocześnie musiał ich wpływ dziejowy na cały stowarzyszony ród ludzki. Wojny, handel i osady, były i są dotąd potężnymi środkami cywilizacyi.

Osady, czyli kolonie Indyan w Egipcie, późniéj Fenicyan i Greków na wybrzeżach morza Śródziemnego, dały początek dziejom i oświacie, które się w tych stronach w starożytnych wiekach rozwijały. Podobnie w nowszych czasach osady i wędrówki ludów europejskich do Ameryki i Australii, podniosły dzieje i oświatę tych, aż do Kolumba czasów nieznanych części świata, wielkimi oceanami od Europy, Azyi i Afryki oddzielonych. Hiszpania zakładała nowe państwa w Ameryce południowéj. Wszystkie handlowe narody Europy podzieliły się wyspami, już z osobna, już gromadnie na przestworzach oceanów rozrzuconemi. Dotąd przez osady wypełnia Francya misyą cywilizacyjną w Algierze, Anglia w Indyach, Australii i południowéj Afryce. Wszędzie w tych odległych stronach, zamieszkałych przez dzikie, barbarzyńskie ludy, osady europejczyków roznoszą postęp i oświatę.

Handel był jedynym bodźcem do poznania mórz i lądów, i do zawierania stosunków z dalekimi i nieznanymi ludami. Już Fenicyanie w starożytności puszczali się po cynę aż do

dzisiejszéj Anglii, a po bursztyn aż na morze Baltyckie, i zakładali handlowe kolonie, jak Gades (Kadyx) w Hiszpanii i Marsylia we Francyi. W średnich wiekach, rzeczpospolite włoskie, a mianowicie Wenecya, najrozleglejszy prowadziły handel morski. Dania, Hollandya, Anglia, zapanowały handlem po wszystkich morzach.

Lądowy handel prowadzony był karawanami z Azyi do Europy i do Afryki. Głośną była swego czasu Hanza, czyli związek miast handlowych, do których należały także: Gdańsk Kraków i Nowogród, celem zasłonienia handlu lądowego od napaści rabusiów i chciwego łupu rycerstwa.

Handel jest z istoty swojéj wymianą towarów, atoli prowadzi za sobą w konieczném następstwie wymianę myśli, które są nasiennikami oświaty po rozległych siedzibach rodzaju ludzkiego. Jest to spokojny a dzielny środek stowarzyszenia i łączenia ludzi ze sobą tysiącami mil od siebie rozdzielonych.

Gwałtownym tegoż rodzaju środkiem są wojny. Przez zgliszcza i morza krwi, osiągają się tu błogie cele spółeczne: przez klęski idzie droga do swobody i na mogiłach całéj nieraz generacyi, zakwita dopiero szczęście następnych pokoleń.

Wojny zdają się być moralną koniecznością rodzaju ludzkiego, niejako febrą spółeczną, którą sobie moralna natura ludów sama dopomaga; wyrzuciwszy z siebie zarody złego: zbytek, ociężałość, przeludnienie, przychodzi do zdrowia i do postępu.

Nietylko za tém mówi historya, będąca od najdawniejszych czasów opowiedzią wojen i ich skutków, ale i sama natura ludzka, która w czasie wojny, człowieka, by téż najłagodniejszego charakteru i wysokiego ukształcenia, zamienia niepojętym sposobem na mordercę współbliźniego.

Bez tego przyrodzonego zapału do wojny, wojny nie byłyby podobnemi.

Gdy się Niemcy ruszyli na zrzucenie panowania francuskiego, powiedział Napoleon, że febry dostali. I pewnie prawdę powiedział. Gdy duch wojenny ogarnia naród jaki,

powstaje jakaś gorączka moralna, która nim trzęsie, i wszystkie jego organa owłada. To wstrząśnienie całego organizmu ludowego, snać z towarzyskiego jego usposobienia wynika, by się wzmógł i rozrósł.

Młodzieńcze narody, zawsze były zaborczemi, kosztem przekwitłych i zgnuśniałych. Odbywa się spirytualna transfuzya świeżych sił w zgrzybiały organizm narodu, i powstaje odmłodzenie w nowych doskonalszych kształtach towarzyskich. Łaciński Rzym pod wpływem Gotów, Franków i różnorodnéj dziczy, przemłodniał w romańskie kształty spółeczne Włoch, Francyi i Hiszpanii; celtyjskie pokolenia Piktów i Skotów pod zaborem Anglo-Sasów, dały początek dzisiejszej Wielkiéj-Brytanii. Te przeobrażenia narodów wciąż się odbywają, ale tylko w organizmach towarzyskich, w których już ustały siły żywotne, do samoistnego życia nie przydatne.

W naturze coś podobnego uważamy. Na jesień, gdy dojrzeją nasiona drzew i roślin wszelakich, powstają wichry i burze ekwinokcyalne, które te nasiona daleko i szeroko na nowe zapłodki roznoszą, aby w ziemi do ich przyjęcia usposobionéj, przyjęły się, i bujniéj rozmnożyły. Podobnie wojenne burze przerzucają w odległe, przejrzałe i zgnuśniałe narody, świeże nasienniki przyszłéj cywilizacyi. Wspomnę tu tylko wyprawy młodzieńczych, na pół dzikich Persów do Medyi, Lidii i Egiptu; wyprawę Aleksandra Wielkiego aż do Indów; podboje Arabów, zapalonych świeżą religią Koranu, po wybrzeżach północnéj Afryki, Hiszpanii aż do Francyi, gdzie równie młodzieńczy naród Franków, położył kres ich zaborom i pod Tours zwyciężył w imię krzyża.

Podobnie Turcy położyli koniec wielkiemu cesarstwu Byzantyjskiemu, i zapędzili zagony swoje aż pod Wiedeń, gdzie ich dziarska szabla Jana III pokonała. I niedawna, krwawa, a tém okropniéjsza że bratobójcza wojna Stanów Zjednoczonych Ameryki, okazała się błogą w skutkach swoich, chociażby tylko przez zniesienie niewoli Murzynów.

Wojna masy ludu przerzuca z jednego kraju do drugiego, i stawia je w styczności z innym krajem, innym ludem, innemi obyczajami. W starożytności, wojny Perskie do miliona żołnierzy różnych narodowości, przerzuciły do Europy; w średnich wiekach, wojny krzyżowe drugie tyle przerzuciły z Europy do Azyi; a w nowszych czasach wojny Napoleońskie poruszyły wszystkie ludy europejskie i zkomunikowały z sobą. Niesłychane ztąd wstrząśnienie umysłów, i niesłychany przewrót wyobrażeń i stosunków spółecznych, tak dla zwycięzców jak dla zwyciężonych. Wszakże niewszędzie przez podboje, dzieje się przeobrażenie narodu w inne kształty i formy. Zwykle mniéj oświeceni, choćby zwycięzcy, przejmują cywilizacyą więcéj oświeconych, choćby przez siebie podbitych. Atoli bywają niepożyte siły moralne narodu, nie dające się przelać i przeobrazić. Czterysta lat uciemiężenia w ziemi Egipskiéj, czterdzieści lat tułactwa w Arabii, następnie siedmdziesiąt lat niewoli Babilońskiéj nie zniszczyły, ale zahartowały spółeczność izraelską do tego stopnia, że niezatarty charakter narodowy zachował się w żydach, nawet w ich rozproszeniu, aż do naszych czasów, i dlatego niepodobna przypuścić, ażeby ten lud nie miał przyszłości.

Wojna nakoniec wykształca stan wojskowy, będący zorganizowaném stowarzyszeniem téj części narodu, która się służbie wojskowéj dobrowolnie lub z obowiązku oddała. Organizacya tu doprowadzona do najwyższego szczebla, gdzie ustaje wola, a ślepe panuje na komendę posłuszeństwo. Tysiące zbrojnego ludu słucha słowa naczelnika swojego, a kolumny żywego wojska poruszają się i działają, jak warcaby na szachownicy, wyższą wolą wiedzione. Ztąd taka siła i taka przewaga wojska nad resztę nieuzbrojonego i niezorganizowanego narodu.

Podaliśmy w ogólnych zarysach obraz spółeczeństwa ludzkiego, jak się w mniejsze i większe gromady stowarzysza, od rodzinnego koła począwszy, przez rody, pokolenia, plemiona, ludy i narody; przez gminy, prowincye, kraje i państwa; przez stany i powołania; — zbadaliśmy owe cele i środki onych kó-

łek i kół towarzyskich. Atoli we wszystkich tych stowarzyszeniach, mniéj stanowi wola człowieka, więcéj przypadek, konieczność i prawa społeczne, które już gotowe zastajemy, i które nas wirem swoim zagarniają. Z naturalnego popędu młodzież małżeńskie zawiera związki; z potrzeby ludzie służbowe przyjmują obowiązki; z konieczności stają się obywatelami kraju, który zamieszkują; nawet stan i powołanie, który obierają, nietyle od ich wyboru dowolnego, ile od stosunków zależy, w których są postawieni.

Każdy człowiek jest tu tylko jedném milionowém kółkiem, to mniejszéj, to większéj działalności, w obszernéj maszynie społecznéj, która się państwem nazywa. On dla siebie stosunków z własnéj woli i wedle własnego widzenia nie stwarza, ale już gotowe zastaje, i przez nie porywany bywa. Stosunki te sięgają mniéj więcéj dawnych czasów; nadane lub zaprowadzone, utrwaliły się przez czas, obyczaje i instytucye krajowe. Jako je nadała, tak téż je zmienia wyższa wola ogółu lub władzy. Prawo, religia, rząd, władza, oto kierowniki woli stowarzyszonych, w kole państwowém jednostek.

Wszakże krom tych ram, w które wpiecione jest stanowisko i działanie każdego krajowca z osobna, odzywa się poczucie do samodzielnego występowania, dla zaspokojenia potrzeb materyalnych, naukowych i estetycznych. Człowieka jednego zbyt są ograniczone zasoby i siły, i małoby na tém polu samoistnego działania dokazał; ale zespolone siły i zasoby wielu, dadzą się do niesłychanéj wysokości w działaniu spotęgować.

Na tém dobrowolném i z prawa dozwoloném łączeniu się ludzi pojedynczych z sobą, po za obrębem obowiązków społecznych, jakie na nas wkłada rodzina, gmina i państwo, polegają stowarzyszenia dobroczynne, naukowe, literackie, artystyczne, przemysłowe, rzemieślnicze, wyrobnicze, i tyle innych, mających już materyalne, już moralne korzyści na celu.

O tych to stowarzyszeniach w szczególności, będących charakterem nowożytnych czasów, o ich wpływie na postęp i oświatę, mówić będziemy w następnych noworocznikach.

Karol Libelt.

Początek pierwszéj księgi Mojżesza,

ODNOŚNIZ DO GEOLOGIJ.

Geologia jest umiejętnością w nowszych dopiero czasach szczególniéj rozwijaną i pielęgnowaną. Ziemia nasza, jéj wnętrze, stały się przedmiotem coraz głębszych zastanawiań, coraz troskliwszych badań. Widoczna rozmaitość w odmianach i przymiotach ziemi, w jéj różnych pokładach, skłoniły myślących ludzi do rozwiązania przyczyny tych zjawisk, i podciągnięcia ich pod pewne ogólne zasady, których systematyczne zebranie i ułożenie stanowi umiejętność zwaną ziemioznawstwem. czyli po grecku geologią.

Zaledwo ta nauka rozwijać się zaczęła, wnet powstało pytanie, czyli, i o ile zgadzają się jéj wyniki z pismem świętém, a mianowicie z początkiem pierwszéj księgi Mojżesza, gdzie jest mowa o stworzeniu téj ziemi.

Pytanie to od niektórych w złéj woli rzucone, a to w tym zamiarze aby przeciwstawić geologią teologii, czyli umiejętność ziemioznawstwa księgom objawień i rządów Bożych na ziemi. zasługuje na rozważne i bezstronne uwzględnienie.

Jeżeliby bowiem umiejętność geologii oczywistymi okazała dowodami, iż to co pismo święte o stworzeniu świata objawia, widocznie sprzeciwia się rzeczywistości, natenczas słusznie wnioskowaćby można, że niewszystko jest prawdą co się w piśmie świętem zawiera. A jak szkodliwémby takie przypuszczenie dla całéj religii się stało, któż się nie domyśla?

Już to każdy przyzna, że Mojżesz nie miał zamiaru pisać systematu umiejętności ziemioznawstwa czyli geologii, że księgi jego nie przedstawiają zbioru naukowych dociekań i badań, lecz tylko że pisząc o rządach bożych na ziemi, nie mógł nie wspom-

nieć w krótkich słowach i o tém, że Bóg wszechmocny stworzył ten świat cały.

Rozpowszechnione za dni Mojżesza w całym świecie bałwochwalstwo, na tém się zasadzało iż zapominając na *Stworzyciela* uwielbiano *stworzenia*. Czczono słońce, księżyc i gwiazdy, a mianowicie w Egipcie, gdzie Mojżesz młode swe lata przepędził, *siłę płodności natury* uwielbiano jako rzeczywiste *bóstwo*.

Jeżeli Mojżesz przeciw temu oświadcza i wykazuje, iż wszystko co istnieje jest stworzeniem Boga, jest wynikiem najmędrszego i wszechdzielnego słowa jego, czyliż przezto może sprzeciwiać się geologii, która przecież to samo utrzymuje i twierdzi?

Jednakże niektórym zdaje się, że zbyt widoczne między początkiem genezy Mojżesza a geologią zachodzą przeciwieństwa.

A mianowicie tyczy się to przedewszystkiem czasu, od tórego nasza ziemia istnieje.

Niektórzy powiadają tak: Pismo święte twierdzi, że ziemia istnieje dopiero od sześciu tysięcy lat. Przeciwnie geologia wykazuje i pewnikami swéj umiejętności dowodzi, że ziemia nierównie dawniéj istnieć musiała. Formacye bowiem ziemi i jéj pokłady najoczywiściéj to przedstawiają.

Nie przeczymy słuszności umiejętnych wywodów i dowodów geologicznych, lecz przeczymy słuszności tym, którzy mniemają, jakoby Pismo święte twierdziło, że ziemia nasza dopiero od około sześciu tysięcy lat istnieje. To mniemanie bowiem na niczém nie opiera się, czyli raczéj błędnie opierałoby się na historycznéj chronologii od początku rodu ludzkiego, czyli od pierwszego człowieka Adama.

Rzeczywiście według pisma świętego, od początku istnienia rodu ludzkiego, czyli od pierwszego człowieka Adama, z którym rozpoczynają się dzieje ludzkiego plemienia, upływa już około sześciu tysięcy lat. Ale jakim sposobem ztąd wyprowadzaćby kto mógł ten wniosek, że ziemia nasza tyleż tylko lat istnieje?

Przeciwnie twierdzimy, że nawet ten wniosek oczywiście sprzeciwiałby się wyraźnemu orzeczeniu pisma świętego, które przecież mówi na początku pierwszéj księgi Mojżesza: „*Na początku*“ (hebrajskie: i bereschit) „*stworzył Bóg niebo i ziemię.*“ Z wyrazów „*Na początku*,“ z większą więc pewnością wnosićby należało, że ziemia nasza do najpierwszych, i najdawniejszych tworów Bożych należy. Gdyby kto więc nawet

chciał twierdzić i udowodnić, że krocie tysięcy lub miliony lat przeminęły, odkąd w wszechświecie wiruje glob ziemi naszéj, religia nie sprzeciwiałaby się temu, uważając to jako sprawę zupełnie dla siebie obojętną, a pismo święte, to jest początek pierwszéj księgi Mojżesza, nie stanęłoby na zawadzie temu mniemaniu.

Ile lat lub wieków przeminęło od początku istnienia ziemi naszéj aż do zaistnienia na niéj pierwszego człowieka? O tém Mojżesz w piśmie świętem nic nam nie powiada.

Z nauki czyli tradycyi praojców, i z najdawniejszych tablic pomnikowych ludzkiego plemienia, objaśniony oraz światłem objawienia Bożego, Mojżesz o najpierwszym początku ziemi naszéj te tylko wypowiada słowa:

1. Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.

2. A ziemia była pusta i próżna, ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unosił się nad wodami.

Jeżeliby kto mniemał, że pomiędzy pierwszym, a następnym, czyli drugim wierszem tego orzeczenia Mojżeszowego, tysiące lat upłynęły, że ziemia przez bardzo długi przeciąg czasu była kulą ognistą, która następnie powoli zastygała po wierzchu, aż nareszcie na całéj powierzchni zastygła, w zastygnięciu pękała, i wydawała z siebie gęstą parę, która powoli w wodę przemieniając się opadała na ziemię, z czego wytwarzały się rozmaite ziemi naszéj rewolucye i formacye, z których powstawały pokłady częścią wulkaniczne, częścią neptuniczne, nie wchodzi przezto w żadne z pismem świętém kolizye czyli sprzeciwieństwa, bo Mojżesz wymija cały ten peryód, jako nieobchodzący go i nienależący do jego zadania, i rozpoczyna w drugim wierszu Genezy dzieje ziemi naszéj od tego jéj stanu, gdy już przysposobioną stawała się do wydawania na swéj powierzchni tych rozlicznych tworów, które służą człowiekowi, jako jéj panu i władcy do użytku jego.

Prawda, że prostaczkowie, nieumiejętni, sądzący z pozoru, nauczywszy się trochę katechizmu lub historyi świętéj, tego są mniemania, iż między stworzeniem ziemi a stworzeniem pierwszego człowieka tylko *sześć* zwykłych naszych dwudziestoczterogodzinnych *dni* przeminęło. Zdanie to podobne jest do optycznego złudzenia. Wynika ono z tego, że w pierwszym rozdziale Genezy Mojżesza mowa jest o sześciu dniach, w których powstały za wolą Bożą wszystkie twory ziemi i urządzony został obecny system słoneczny w stosunku do ziemskiego globu naszego.

Nie chcąc powtarzać już tego, co powyżéj o czasie stworzenia, to jest o *„początku“* ziemi naszéj skreśliłem, tu tylko dodaję, co już wszyscy głębiéj myślący teologowie i teozofowie jednomyślnie wyrazili, że te sześć dni przez Mojżesza opiewane nie mogą żadną miarą pojmowane być jakoby dnie nasze dzisiejsze, to jest jakoby peryody dwudziestoczterogodzinne. Są to e p o k i, które w hebrajskim sposobie mówienia d n i a m i są zwane. Tak n. p. epoka wielkiéj klęski w dziejach narodu, zwana jest u Hebreów: *„Dzień gniewu Pańskiego,“* Dzień taki wojen, moru, pożogów i napaści wrogów, mógł trwać lata całe, zawsze atoli cały ten czas zwany był *„jom“* to jest dzień. Tak samo mówimy teraz jeszcze biblijnym sposobem mówienia, że przyjdzie *„dzień ostateczny,“* dzień sądu Bożego, lecz nikt z nas przez to nie zamierza twierdzić, iż ten sąd Boży w jednym dniu dopełni się, przeciwnie wszyscy zgadzamy się na to, że to będzie nieokreślonych granic czasu peryod, czyli epoka w ostatecznych dziejach rodu ludzkiego.

Tak pojęte zdrowo i należycie, wyrozumienie początku pierwszéj księgi Mojżesza, żadną miarą z przypuszczeniami, i mniéj więcéj prawdopodobnymi dowodami umiejętności geologią zwanéj, w sprzeczności stanąć nie może, ani nie zawadza wcale naukowym badaniom i zgłębianiom natury ziemi naszéj.

X. Waleryan Serwatowski.

Salamandra plamista czyli krzeczek plamisty.

Na północnym stoku Tatr, godzinę drogi od kościoła zakopiańskiego na wschód, a o połowę mniéj od kuźnic zakopiańskich, w ciasném ujściu doliny Olczyska, między pomiernemi wierzchami, Nosalem od zachodu a Małym Reglem od wschodu, tryszczy 2874 do 2877 stóp wiedeńskich nad powierzchnią morza jedyna cieplica w obrębie ziem polskich dotąd znana, niestety bez opatrzenia potrzebnego, aby chorzy z pożytkiem dla siebie a korzyścią dla właściciela i okolicznego ludu mogli jéj używać. Lud miej-

scowy zwie tę cieplicę jaszczurówką od znajdującéj się koło niéj salamandry.

Zwierzątko to powinowate jest z jaszczurkami, a postacią ciała zupełnie do nich podobne. Więc téż nietylko lud prosty, ale wszyscy, co nie przywykli przypatrywać się dokładnie, uważnie, okiem badawczém, tworom przyrody, biorą salamandrę za jaszczurkę.

Jaszczurki są zwierzątka żywe, zwinne, wesołe, salamandry ociężałe, powolne, niezgrabne. Stosunek jaszczurek do salamander jest prawie ten sam, jak zwinnych, skocznych żab do pękatych ropuch. Salamandry mają skórkę gładziutką jak aksamit, połyskująco czarną, z wielkiemi, pięknemi plamami pomarańczowo-żółtemi, tworzącemi po obu stronach grzbietu pas przerywany, niekiedy i nieprzerwany. Plamy te są bardzo rozmaite co do wielkości, kształtu i rozmieszczenia. Od nich wzięła salamandra nazwę plamistéj, po nich téż na pierwszy rzut oka zwierzątko to poznać można. Jaszczurki zaś pokryte są łuskami.

Ponieważ salamandra jest zimna i wilgotna, więc téż dotknięcie się jéj może być dla niejednego nieprzyjemném. Oczy ma piękne, duże, czarne, ale wyraz oblicza świadczy o głupowatości raczéj, niż o jakiéjbądź złośliwości. Nogi są u niéj krótkie i grube; u nóg przednich ma po cztery, u tylnych po pięć palców bez pazurków i pletwówki, podczas gdy jaszczurki u wszystkich czterech nóg mają po pięć palców. Żeber nie ma. W obu szczękach i na podniebieniu ma maleńkie ząbki. Ucho nie jest na zewnątrz widoczne. Po bokach ciała ma salamandra szereg brodawek dziureczkowatych, a poza uszami w skórze gruczołki także dziureczkowate, wydzielające wraz z pomienionemi brodawkami, gdy się zwierzę widzi zagrożoném, gdy się je podraźni lub ściśnie, płyn barwy mlecznéj, gorzki i mocno woniejący, niebezpieczny dla małych zwierząt, jako to ptasząt, żab, jaszczurek, ale wcale nieszkodliwy dla zwierząt większych i dla człowieka. Jedyna to broń tego zwierzątka, którą się zasłania od zaczepek innych zwierząt, mianowicie psów. Kury i indyczki jadły bez szkody pokrajaną salamandrę, psy dostawały niekiedy wymiotów.

Przyrodnik niemiecki Jäger, chcąc się przekonać o mniemanéj szkodliwości tego płynu, brał go kilka razy na język, nie spostrzegł wszakże nigdy żadnych pryszczów, lecz uczuł jedynie świędzenie i pieczenie. Na błonie śluzowéj nosa płyn ten sprawia świędzenie, pieczenie i bardzo słabe zapalenie, niemniéj silne kichanie. Na skórze dłoni lub jakiegobądź innego miejsca ciała żadnego nie sprawia wrażenia. Więc téż bez żadnéj obawy salamandrę można brać do ręki, i najmniejszéj nie ma przyczyny, aby na jéj widok drżéć, mdléć, odskakiwać i Bóg wie, jakie tam jeszcze wyprawiać grymasy, albowiem prócz jedynéj żmii wszystkie płazy żyjące u nas, jako to żółwie, jaszczurki, gady czyli węże, żaby, ropuchy i salamandry, są zwierzętami dla człowieka nietylko wcale nieszkodliwemi, ale owszem pożytecznemi, zatém téż wstręt do nich polega na przywidzeniach, urojeniach i przesądach, podczas gdy użyteczność ich powinnaby nas oswajać z niemi i od wszelkiego zasłaniać je prześladowania.

Widziałem dzieci z lepszych, jak to mówią, domów, rozcinające prętem żaby. O téj zabawie wiedzieli rodzice, ale jéj nie zabraniali. Rozumiałem, że nie rozbudzanie, lecz przytłumienie uczucia uważali za potrzebne do przyszłéj pomyślności swych aniołków. I w rzeczy saméj, dla kogo jedynym celem życia jest lub ma być dobrze zjeść, dobrze wypić, zrobić majątek, temu serce nietylko niepotrzebne, lecz owszem nieraz będzie zawadzało. Dobrze więc pozbyć się go zawczasu. To więc myślałem sobie, widząc dzieci z lepszych domów, rozcinające prętem żaby. Na czém w tym wypadku polegała ta lepszość, nie wiem.

Lepiéj podobało mi się kilku pastuszków w Szczawnicach. Bawiąc tam w r. 1865, wybrałem się raz z uczniem gimnazyalnym A. K. do Pienin. Z zamku św. Kunegundy spłoszyła nas burza ciągnąca od Tatr. Schroniliśmy się od ulewy pod dwie olbrzymie jodły czy smreki, już tego nie pamiętam, pasterz bowiem, co z nami szedł od szczytu Pienin, polecił nam schronić się pod jedne z nich, a unikać drugich.[1] Czekaliśmy przeszło godzinę, nim

[1]) W Jasielskiém utrzymuje lud, że w leszczynę piorun nigdy nie uderza.

ustała ulewa. Zajmujący był huk grzmotów rozlegający się między skałami i plusk deszczu siekącego po skalistych ścianach i drzewach. Gdyśmy zeszli ku przewozowi między Krościenkiem a Szczawnicą niźną, Dunajec, zrana czyściutki, ciemno zielony na głębi, był mętny, wezbrany, spieniony, prawie w jednéj trzeciéj części pokryty suchemi i zielonemi gałązkami i trzaskami, naniesionemi od potoku leśnickiego. Na nie wydobywały się pływające po wodzie chrząszcze i inne owady, tu i owdzie także salamandry. Przygarnywałem je ku promowi i zabrałem z sobą, niosąc je na gołéj dłoni. Że tu i owdzie ze zgrozą pozierano na mnie, rozumie się samo przez się. Nim atoli doszedłem do wsi, spotkałem dwóch czy trzech pastuszków pasących bydło nad drogą. Czy znacie te zwierzątka? zapytałem ich, pokazując leżące na dłoni salamandry. — Znamy, odrzekli. — A czy im robicie co złego, gdy je znajdziecie? zapytałem daléj; może je zabijacie? — Nie, odparli pasterze, tym nic nie robimy. — Ponieważ widok salamander nie zadziwił pasterzy, wniosłem, że im te zwierzęta rzeczywiście nie były obce, i że to, co mówili, było prawdą. Czy téż to, co im jeszcze powiedziałem, dlaczego nie należy zabijać salamandry, dotąd pamiętają, nie wiem; wszakże pasterze ci lepiéj mnie się podobali od onych dobrze wychowanych dzieci z lepszych domów, rozcinających prętem żaby, wydzierających chrząszczom nogi, męczących je zapalonemi siarniczkami i t. p.

Salamandra żyje wszędzie w górach naszych. Największą część życia przepędza na lądzie w miejscach ponurych i wilgotnych, w zapadłych dolinach i gęstych lasach, w dziurach w ziemi lub w murach, pod wielkiemi kamieniami, staremi ściętemi lub zgniłemi pniami drzew. Wszędzie atoli potrzebna jest jéj wilgoć i bez niéj żyć nie może. Światła słonecznego nie lubi. Nie napotyka się jéj téż w czasie pogody ani w miejscach słonecznych. Podczas dłuższéj posuchy i pogody okazuje się chudą i mdłą, po deszczu gładziutką, okrągłą, czerstwą.

Namieniony przyrodnik Jäger opowiada, że salamandra, którą miał długi czas u siebie, zawsze leżała pod kamieniem okrytym mchem wilgotnym; gdy wyjęto kamień, a salaman-

drę wystawiono na słońce, biegała niespokojnie, szukając kryjówki, a gdy ją tak dłużéj zostawiono, zaczęła wypuszczać z siebie już wspomniany płyn, co wyraźnie dowodziło, jak niemiłém było dla niéj światło słoneczne. Gdy raz podczas dłuższéj jego niebytności ziemia w skrzyneczce będącéj mieszkaniem salamandry nie została zwilżoną, salamandra umarła.

Kryjówki swoje opuszcza salamandra tylko w nocy, gdy rosa pada i po deszczu dla poszukania żywności, składającéj się przeważnie z dżdżownic, wyłażących także pospolicie tylko w nocy z ziemi, z ślimaków i owadów. Na tém polega użyteczność salamandry; szkody nie wyrządza żadnéj. Twardych pokryw skrzydeł i nóg chrząszczów nie zdoła strawić. Zabawném się to wydaje, jak salamandra połyka dżdżownicę. Przypatruje się chwilę łażącéj przed sobą dżdżownicy, wreszcie ją chwyta; jeżeli jéj atoli nie uchwyci za koniec, lecz w środku, puszcza ją i znowu chwyta, aż ją wreszcie dopadnie za koniec. Poczém ją zwolna połyka, kiwając przytem głową ku ziemi. Ta robota trwa dosyć długo. albowiem jak tylko salamandra na chwilkę spocznie, dżdżownica usiłuje wydobyć się jéj z ust, a że salamandra, jak widać, nie ma wielkiéj siły w mięśniach połyku, przeto téż za każdą przerwą w połykaniu dżdżownica wysuwa się nieco napowrót. A gdy już tak dalece jest połkniętą, że nie wystaje więcéj z ust salamandry, połykanie trwa jeszcze z jakie pół kwadransa. Głód wytrzymują salamandry długo, kilka tygodni nawet.

Skoro w jesieni zaczną się niepogoda i przymrozki, skoro zaczyna się mieć ku zimie, niekiedy już we wrześniu, czasem dopiero w październiku lub nawet w listopadzie, salamandra nie opuszcza już więcéj swoich kryjówek, owszem wyszukuje sobie jeszcze dogodniejsze. gdzieby jéj nie tak bardzo dojmowały mrozy, i układa się do snu zimowego.

Czy salamandry, gdy ciepłota ich otoczenia jest już tak niska, że woda marznie, w skutek zamarzania umierają, jak węże, albo czy pozostają przy życiu, jak żaby i ropuchy, tego dotąd jeszcze nie docieczono. O traszkach[1] wiadomo w tym względzie,

[1]) Należą do salamander.

co następuje. Przyrodnik Jäger zostawił raz przez noc szklankę z traszkami za oknem. Woda zamarzła wraz z znajdującemi się w niéj traszkami. Gdy lód odtajał, traszki w krótkim czasie przyszły do siebie. Wiadomo atoli, że traszka nie wytrzyma dłużéj pod wodą bez oddychania, jak 6 do 8 godzin. Z tego wnoszono, że traszki, a zatém też salamandry, umierają, skoro w skutek zamarznięcia oddychanie staje się niemożebném. Nie wiadomo zaś, czyby umarły, gdyby mimo niskiéj ciepłoty czyli mimo zmarznięcia pozostała im możność oddychania.

Salamandra rodzi, jak się zdaje, dwa razy do roku od maja do września, żywe młode,' tj. młode lęgną się zaraz po zniesieniu jaja, są zatém już w jaju zupełnie wykształcone. Parzenie salamander odbywa się w wodzie i niezawodnie przed ich zapadaniem w sen zimowy, albowiem już we wrześniu i styczniu znaleziono w salamandrach młode, a niektóre trzymane przez pół roku w niewoli, wydawały jeszcze młode na świat. Liczba młodych jednego porodu jest dosyć znaczna, obejmuje bowiem 40 do 60 sztuk. Przychodzą one na świat wszystkie od razu albo częściami w krótkich przerwach czasu. W wnętrzu samic znajdowano już do 100 młodych. Zdarzało się, że w niewoli samica rodziła zarazem młode i jajka w równéj liczbie. Młode leżą w nader cieniutkiéj błonce tak zwinięte, że ogonek okrywa zewnątrz głowę. Po przyjściu na świat młode poruszeniem ogonka rozrywają tę błonkę i wydobywają się z niéj. Matka mająca rodzić udaje się do wody, w któréj po dnie biega, salamandry bowiem nie umieją pływać, a przynajmniéj nie pływają dobrze. Nowo urodzone młode są bardzo małe, barwy jasno-żółtawo-zielonkowatéj, mają już cztery nóżki, a na głowie i za nią trzy pierzaste listeczki oskrzelowe; ogon mają spłaszczony, który w miarę znikania oskrzel zwolna się zaokrągla; ruchy młodych salamanderek są też żywsze, aniżeli starych, jakkolwiek nie wyrównywają traszkom. Urodzone na wiosnę mają w czerwcu $1\frac{1}{2}$ cala długości i zaczynają przeobrażać się w zwierzęta oddychające płucami. Co do sposobu życia i namienionego przeobrażenia, młode salamandry wiele mają podobieństwa do głowaczów żab.

Wspomniany przyrodnik Jäger uważał to przeobrażenie na salamandrze, którą u siebie chował. Z początku leżała ona zawsze nieruchoma na dnie naczynia, ukryta między korzeniami trawy, polując czasami na żywiątka znajdujące się w wodzie. Z wody nie wychodziła nigdy. Gdy się rozpoczęło jéj przeobrażenie, siadała na wystających z wody pęczkach trawy, nozdrzami wystrzykiwała wodę napełniającą takowe; tym sposobem stawały się nozdrza wolnemi i przystępnemi dla powietrza; skrzela zmniejszały się od dnia do dnia; powietrze wdychane wychodziło napowrót małemi bąbelkami rozporkiem oskrzelowym a nie ustami, jak to ma miejsce przy końcu przeobrażenia i po niém. Z początku ta salamandra tylko krótki czas bawiła poza wodą i zawsze wracała do niéj. Często siedziała tak, że tylko przednia część głowy wystawała z wody, oskrzela zaś były pod wodą. Wówczasto bardzo dokładnie było można widzieć wydobywające się oskrzelami bąbelki wdychanego powietrza. Po czternastu dniach oskrzela zmniejszyły się prawie o połowę, bąbelki powietrza wydobywały się niemi coraz rzadziéj, a wreszcie zupełnie to ustało. Salamandra opuszczała wodę na dłuższy czas, ogon zaokrąglał się w tym czasie coraz więcéj, salamandra nie pływała już tyle i tak chętnie, jak przedtém, lecz biegała po dnie wody. Trwało to jeszcze dni ośm; w miejscu oskrzel pozostała tylko brodawkowata wypukłość, a rozporek oskrzelowy był prawie zupełnie zawarty. W październiku nie widać już téj wypukłości, a otworek oskrzelowy jest zupełnie zawarty. Wówczas salamandry są 2½ cala długie; gruczołki karkowe i po obu stronach grzbietu są już wyraźne, salamandry nie idą już więcéj do wody, lecz szukają kryjówek do przespania w nich zimy. Czas ginienia oskrzel nie jest u wszystkich salamander ten sam, albowiem u żyjących w wodach czystych, oskrzela jeszcze w sierpniu, a nawet we wrześniu są zupełnie rozwinięte; czasem pozostają nawet jeszcze do następującéj jesieni. Salamandra dorosła ma 5 do 6 cali długości.

Skoro atoli salamandry w tak wielkiéj mnożą się liczbie, jak powyżéj powiedziano, czemuż ich nigdzie nie ma wiele? Niebezpiecznymi nieprzyjaciołmi salamander w ich pierwszéj młodo-

ści są wielkie chrząszcze wodne (pływak żółtobrzeżek, kałużnica czarna), tudzież wielkie pluskwiaki wodne i ich poczwarki, niemniéj poczwarki ważek, zjadające je w wielkiéj liczbie. Stare nawet salamandry, gdy są głodne, zjadają młode. Zupełnie dorosła salamandra między zwierzętami nie ma wielu nieprzyjaciół, i zdaje się, że prócz węża zaskrońca żadne inne zwierzę nie ima się jéj. Bociany, któreby najprędzéj o to posądzić można, traszek nie lubią, a ropuch ani się tkną. Wątpić zatém należy, aby jadły salamandry. Niektórzy utrzymują, jakoby lisy od biedy brały się do salamander; atoli wiedząc, że psy pochwyciwszy i rozgryzłszy salamandrę, natychmiast ją wypluwają z widocznemi oznakami boleści, sprawianéj im w gębie przez płyn piekący, wydzielający się z gruczołów podskórnych salamandry, słusznie powątpiewaćby można, ażeby lisy jadły salamandry. Najgłówniejszym nieprzyjacielem salamandry jest nierozum i zuchwalstwo człowieka, czyli głupota i złośliwość jego. Salamandra, tudzież traszki solą posypane, umierają w 2 do 3 minutach, wijąc się boleśnie. Doświadczenia takie, pozbawiające wśród męczarń zwierzę życia, są bezeceństwem. Czy się salamandry linią, nie wiadomo; w niewoli chowane nie czyniły tego; traszki zaś liniły się.

Prócz plamistéj salamandry jest jeszcze czarna, dlatego tak nazwana, że jest rzeczywiście zupełnie czarna, a zatém bez plam; przytém jest ona daleko mniejsza od plamistéj, a ogon ma nieco spłaszczony. Żyje tylko w okolicach górzystych, u nas w północno-wschodniéj części Tatr. Ojczyzną salamandry plamistéj jest cała Europa od południowéj Szwecyi aż do Hiszpanii, Włoch i Grecyi. Znajduje się także w północno-zachodniéj Afryce. W niewoli można ją lat kilka utrzymać, żywiąc ją dżdżownicami, nagiemi ślimakami, pliszkami mącznika młynarka i innemi owadami. W klatce, w któréj się ją trzyma, należy urządzić sadzaweczkę, a z kamieni i mchu wilgotnego kryjówki. Wspomniéć tu jeszcze wypada, iż autor Obrazów z życia i natury[1] spostrzegł raz przy Jaszczurówce, że salamandry pełzły we wszystkich promieniach

---

[1]) Ser. I, str. 41.

ku wyższym skałom, opuszczając gniazdo swoje. Góral zapytany, coby to znaczyło, odrzekł, że będzie psota i to długa, jaszczury, przeczuwając ją i bojąc się, żeby ich woda nie zabrała z sobą, pełzną ku skałom. Jakoż nastąpiły rzeczywiście nawalne deszcze i powodzie.

Plinius, pisarz rzymski, niestworzonych naplótł głupstw o salamandrze. Według niego jest ona tak zimna, że jak lód samém dotknięciem gasi ogień. Śluz podobny do mleka, ciekący jéj z ust, jest tak gryzący, że włosy na całém ciele ludzkiém od niego giną, jakiekolwiekby miejsce ciała zwilżono nim. Miejsce to traci zarazem barwę i zamienia się w bliznę. Między zwierzętami jadowitemi salamandra jest najzłośliwsza, gdyż całe wytępia ludy, jeżeli się nie mają na baczności, podczas gdy inne zwierzęta jadowite zraniwszy człowieka, same giną i nie zostają przyjęte od ziemi. Salamandra wlazłszy na drzewo, zatruwa na niém wszystkie owoce, a ktoby je jadł, umarznie. Wpadłszy do studni, zatruwa wodę, a chleb upieczony przy drzewie, którego się salamandra dotknęła choćby stopą tylko, jest także zatruty. Otóż, co popisał Plinius o salamandrze. Że ona ogień zdoła zagasić, w to wierzyli nawet już mędrcy babilońscy (magowie). Rzucano ją więc do ognia w czasie pożarów. U Rzymian wszakże, jak Plinius świadczy, niektórzy byli tak rozsądni, iż nie wierzyli téj bredni. Byli jednak tacy, co utrzymywali, że spożycie wypatroszonéj i w miodzie przechowanéj salamandry, któréj ucięto głowę i nogi, działa podniecająco. Kto innemu zadał kawałek salamandry, tego prawo rzymskie uważało za truciciela i śmiercią karało. Wiara ta istniała w Niemczech jeszcze przy końcu zeszłego wieku. Alchemicy[1] na zwęglone salamandry lali rtęć i mniemali, że to będzie sposób do otrzymania złota. Wszakże postępowanie to uważali za bardzo niebezpieczne.

Niedorzeczności Pliniusowe, starsze od niego i przez niego tylko zebrane lub zkąd inąd wypisane, przetrwały wieki i nie-

---

[1]) Mniemali oni, że złoto sztuką da się otrzymać z kruszców pospolitych lub innych kopalin.

mała ich część dotąd jeszcze u ludu prostego uchodzi za prawdę. Dziwić się temu trudno. Szkoły ludowe wieleby tu dobrego zdziałać mogły, gdyby w nich obznajamiano uczniów z przyrodnictwem krajowém. O potrzebie udzielania u nas tych wiadomości w szkołach początkowych snać nie wielu wątpi, i nauczyciele światlejsi nie są obojętni dla nauk przyrodniczych, kupują obrazki przedstawiające zwierzęta i rośliny, rozwieszają je w szkole, zakładają nawet małe zbiorki. Usiłowania te, zasługujące na uznanie i popieranie, odniosą pożądany skutek, skoro tylko wiadomości przyrodnicze udzielane uczniom w szkołach ludowych i średnich nie będą się ograniczały do nazwania przedmiotu, albowiem znajomość nazwy jakiegobądź przedmiotu nie jest jeszcze znajomością jego, lub do pobieżnego i niedokładnego opisu, lecz gdy się rozciągną do życia zwierząt, ich przymiotów i obyczajów, ażeby uczniowie nauczyli się szanować i cenić twory przyrody. Przy prawdziwie epidemiczném szerzeniu się błędnych pojęć drogą tradycyi, przy łatwości, z jaką się na téj drodze nabywają wiadomości, przy niewygodzie, jaką sprawia u nas niejednemu jeszcze czytanie czegobądź prócz gazety, nikt wprawdzie nie zadziwi się, gdy się spotka z wyobrażeniami Pliniusowemi; wszakże życzyć wypada z niejednéj przyczyny, ażeby z brakiem wiadomości przyrodniczych nie spotykano się tam, gdzie są najpotrzebniejsze. *Inter agrorum nostrorum indefessam culturam datur non parva naturae oeconomia*, rzekł Gabryel Rzączyński sto pięćdziesiąt lat temu. Co tu powtarzając, dodam i te jego słowa: *Si quae perspexeris, adverteris, noveris singularia, rara, mira in regno nostro, exposcenti enixe gratiam mihi suppedita nutu, voce vel literis.*

Dr. E. Janota.

Choroba trychin.

Choroba trychin od czasu do czasu pojawiała się w ostatnich czasach w Niemczech.

Dokładne obserwacye przekonały, że podobnie objawia się w ciele ludzkiém, jak i w wieprzowinie pod postacią drobnych punkcików białych. Można je dostrzedz tak w mięsie świeżém, jak i w przegotowaném, pomiędzy włóknami muskułów, za pomocą mikroskopu.



(Fig. 1).

Wnętrze każdéj torebki (fig. 2) zawiera w pośrodku małego robaczka, zwiniętego na podobieństwo ślimaka. Jest on hermetycznie otoczony błoną, z któréj jednak napróżno stara się oswobodzić i nie może wyprowadzić z niéj młodych zalążków.

Jeżeli człowiek zjé takie mięso i błony z trychinami popękają w żołądku, robaczki rozchodzą się wewnątrz, gdzie wyrastają i sadowią się w członkach.



(Fig. 2).

Są one męzkiego i żeńskiego rodzaju, zapładniają się i wydają jajka, które samice składają w wydrążeniach wewnętrznych członków ludzkich. Z doświadczeń dokonanych na królikach, oka-

zało się, że w przeciągu 6 do 7 dni wylęgają się młode trychiny i rozchodzą się po całém ciele, a nawet muskułach główných (fig. 3). Gdy jednak skończy się kres ich przechodu, wtedy (jak pod fig. 2) znów okala je błona, która jeśli zostanie rozerwaną przez zwierzęta lub ludzi po zjedzeniu, w podobny sposób rozradzają się i mnożą. Gdyby zaś w przeciągu lat pęcherzyki te zostały nienaruszone, robaki zamierają, a w miejscu tem wytwarza się wrzodzik białawy, wapnisty.



(Fig. 3).

Wpływ trychin na zdrowie ludzkie jest bardzo szkodliwy; sprawia w członkach gwałtowny ból, rozdrażnienie i odbiera apetyt. Choroba ta może nawet spowodować śmierć, jeżeli znaczna ilość trychin opanowała ciało.

Każdy pęcherzyk spożyty może wydać kilkaset młodych trychin, a jak się nieraz przeświadczono, w średniej porcyi mięsa, znajduje się ich około 50,000. Z tego sobie można wyobrazić, jak dalece rozmnożyć się mogą i nadwerężyć zdrowie ludzkie.

Jedynym środkiem ustrzeżenia się téj słabości, jest powstrzymanie się od spożywania surowéj lub na wpół rozgotowanej wieprzowiny, gdyż wrząca tylko woda zdoła zniszczyć te zarodki, jeżeli notabene przeniknie do wnętrza mięsa. Świnie nabywają téj choroby zwykle po zjedzeniu mięsa zarażonego trychiną, a szczególniej skutkiem pożerania padlin, jak myszy, szczurów, kotów, psów i t. p. Aby więc zapobiedz téj chorobie, należy je strzedz od wszelkich tego rodzaju pokarmów.

DZIECI DZIEWIĘTNASTEGO STULECIA

DWA DJALOGI TEGOCZESNE

przez *Leona Kunickiego.*

I.

OJCIEC I SYN.

DJALOG PIERWSZY.

Pokój duży w wiejskim dworze. Koło drzwi kominek staroświecki, na którym ogień się pali; naprzeciw sofa obszerna i wygodna, pod oknami kanapka i stolik.

Ojciec Gucia starzec z siwymi wąsami i włosami, w szaraczkowej czamarce z potrzebami, siedzi na kanapie paląc fajkę, zajęty czytaniem gazety.

Wchodzi Gucio, dwudziesto-letni młodzieniec, chudy i wybladły, w szlafroku, pantoflach, z ogromną fajką na długim cybuchu, z dużymi bursztynami, w czapeczce czerwonej na głowie, i kładzie się jak długi na sofie, zakładając wygodnie nogi na nogę.

Ojciec składa gazetę i patrzy na synalka z pewnym rodzajem nieśmiałości, widocznie chce zacząć rozmowę, ale się waha.

Gucio ma oczy w sufit wlepione i puszcza obfite kłęby dymu z fajki.

Ojciec (po chwili milczenia). Mój Gutku kochany....

Gucio (nie ruszając się). I cóż tam znowu nowego?...

Ojciec. Bo to powiesz znowu, że stary ojciec zrzęda i gdera, ale nie mogę przezwyciężyć się, ażeby ci nie zrobić uwagi słusznej w mojem przekonaniu. Twój Bartkowski chce na Tybinkach przygotować rolę pod kartofle, kiedy zaręczam, że tam kartofle nie dopiszą, pomimo wszelkich starań i nakładów; znam ten grunt dobrze.

Gucio (przedrzeźniając). Znam ten grunt, to i cóż z tego, że znam ten grunt, a ja go teraz może znam jeszcze lepiej niż papa, a zresztą tak mi wypada z mego systematu, którego się trzymam.

Ojciec. Wasz systemat nowomodny, te tam płodozmiany, czyli gospodarstwo postępowe, jak nazywacie, może być bardzo dobre w rezonowaniu i na papierze, ale w praktyce bardzo zawodzi.



Gucio. Plecie papa aż uszy bolą słuchać; jak można tak głupio rezonować, ażeby gospodarstwo postępowe, uświę-

cone nauką i doświadczeniem uczonych agronomów, było nie dobre. Więc jakże? chciałby papa może, ażebym się na szykanę wystawił wobec świata i sąsiadów, i trzymał się dawnéj rutyny, tak jakto za papy bywało, istna młócka, bo to kochana trzypolówka przemądra, naprzód ugor, potém żyto, a potém owies, i znów *da capo* na drugi rok i trzeci i t. d. bez żadnéj odmiany. Niedarmo przecież uczyłem się agronomii i przeczytałem pewno więcéj dzieł, niż papa.

Ojciec. Nie przeczę, że wy młodzież teraźniejsza macie więcéj nauki, ale w gospodarstwie niezawsze ślepo dzieł trzymać się trzeba, często zdanie proste chłopskiego, jak to mówią, rozumu, a znajomego miejscowości i doświadczonego, w zastosowaniu nieraz bywa korzystniejsze jak całe tomy książek w téj materyi.

Gucio. Baje papa, sam nie wié co; to podług papy nauka na nic się nie przyda?

Ojciec. Ja tego nie mówię, ale jak powiedziałem, sama nauka bez praktycznego zastosowania, niewiele się przyda, szczególniéj w gospodarstwie.

Gucio. Chyba tu praktyczném zastosowaniem papa nazywa głupie zasady staréj rutyny.

Ojciec. Przyznaj sam, moj Gutku, żeś się już zawiódł kilka razy w swojéj nowoczesnéj rutynie, jak nazywasz.

Gucio. Zawiódł się, nie zawiódł się, że mi czasem chybiło w jednym roku, to się nie nazywa zawodem, przeprowadzając systemat płodozmienny, trzeba nieraz czekać lata; nie odpowie dziś, to da za rok, za drugi, za trzeci....

Ojciec. Słyszałem jednak pana Jana, którego wy młodzi agronomowie uważacie za wyrocznią, jak ci nieraz ganił niektóre rzeczy w twoim systemacie.

Gucio. To i cóż z tego? Pan Jan także głupio czasem rezonuje i niezawsze ma rację, a zresztą co tu bajdurzyć, ja mam swoje plany. Teraz nie mam jeszcze tyle zaso-

bów ani gotowizny do prowadzenia gospodarstwa postępowego, tak jakbym chciał; jak się ożenię z panną Karoliną, jak się majątek zwiększy, to dopiero będziecie gęby rozdziawiać i dziwować się i dopiero wtenczas pokażę, jak to się gospodarka porządnie prowadzi.

Ojciec. Czy ty Gutku, kochanie, naprawdę myślisz o Karolinie?

Gucio. A cóż, czy papa głuchy i ślepy, czy co? przecież papa wie, że tam bywam, i że rozpocząłem konkury na seryo.

Ojciec. A czy pewny jesteś, że ona pójdzie za ciebie?

Gucio. A to dobre! czy pewny jesteś? Żebym nie był pewny, tobym się darmo nie wystawiał na dudka; czy pewny jesteś... to dobre gadanie!

Ojciec. Cóż będzie z Marynią?

Gucio. Co ma być? nic nie będzie.

Ojciec. Bo to widzisz, kochanie, jeżeli ci mam otwarcie powiedzieć... to ta Karolina niebardzo podług mnie sympatyczna, dużo tam fumów, światowości, a serca mało.

Gucio. Ta i cóż z tego, że dużo fumów, ale za to i pieniędzy na fumy.

Ojciec (nieśmiało). Będąc tobą wolałbym sto razy Marynię, chociaż ma mniej majątku. Znacie się od dzieciństwa, to panienka dobra, rozumna i miła, znamy od tak dawna jéj rodziców, ludzi uczciwych i godnych... a tamto to nowicyusze, nadęte to zawsze, arystokracya....

Gucio. Wielka historya, to i cóż z tego?.. zapewne, że Marynia i ładniejsza i rozsądniejsza, ale dziś widzi papa są czasy takie, że trzeba miłość poświęcić dla dobrego bytu.

Ojciec. Przecież ty mój Gutku, tego nie potrzebujesz, masz sam dosyć....

Gucio. Dosyć? oto dopiero bajdy, to się nazywa dosyć! Kiepska fortunka szlachecka, z którą się trzeba dyabelnie oszczędzać; ani za granicę wyjechać, ani amelioracyi

w gospodarstwie zaprowadzić, toż to mi dopiero fortuna!

Ojciec. Co mogłem moją pracą zrobić, to zrobiłem i oddałem ci czysty majątek.

Gucio. Co mi tam djabli po takim czystym majątku, co się trzeba rachować i oszczędzać, jak nie wiem z czém; ma się papa z czem chwalić, to dobre jest....

Ojciec. Zawsze szkoda Maryni.

Gucio. Nic jej nie będzie, rozkochała się we mnie, to prawda, popłacze, podesperuje z jaki rok, to i da pokój, a to trudno, ja nie mogę; mnie z moich planów i interesów wypada szukać większego majątku; miłość sama w dzisiejszych czasach szczęścia nie da.

Ojciec. O mój Gutku, źle sądzisz, miłość i szczęście w pożyciu to grunt.

Gucio. Aha grunt, tak może, jak trzypolówka to lepsza od płodozmianu; upadam do nóg za szczęście i miłość z golizną.

Ojciec. Rób jak chcesz, ale mojém zdaniem jest, że dla twego szczęścia Marynia byłaby stosowniejszą.

Gucio. Już ja wiem lepiéj, jak mam postąpić.

Tu ojciec zamilkł i zadumał się smutno. Gucio powoli sklejał powieki, spać mu się chciało, wreszcie usnał.

Ojciec widząc to, wstał po cichu i ostrożnie na palcach wyszedł, drzwi zamykając ostrożnie, ażeby synalka nie zbudzić.

II.

MATKA I CÓRKA.

DJALOG DRUGI.

Salon w wiejskim dworze. Umeblowanie niewykwintne ale gustowne; czystość i porządek wzorowe. Koło okna siedzi kobieta już podżyła

w okularach, zajęta pończoszką. Przy fortepianie panna Wanda, młoda panienka, pretensyonalnie ubrana, gra hałaśliwą polkę.

Wanda (przerywając grę, nagle wstaje z oburzeniem, mówiąc): Przeklęty fortepian, rozstrojony, stare brzękadło, do straszenia myszy i szczurów, formalnie grać niepodobna.

Matka. Żeby go trochę podstroić, toby uszedł jeszcze, cóż robić, kiedy strojarza doczekać się nie można.

Wanda. Co tu pomoże strojarz, gada bo mama, grat taki stary, co mu już pomoże! To wstyd doprawdy, żeby nie można było mieć nowego fortepianu.

Matka. Bądź cierpliwą, kochanie, odrazu trudno mieć wszystko, a ojciec twój obiecał, że jak ukończy interes z żydami o las, to kupi nowy fortepian.

Wanda. Ojciec zawsze tylko tumani, a tymczasem niczego doprosić się nie można. Papa i mama ciągle tumanią, że wszystko będzie z czasem, a pomimo to zawsze jedno i toż samo. Od najdrobniejszej rzeczy zacząwszy, wszystko jest nie wiedzieć po jakiemu. Co ja się musiałam naprosić o tę głupią czerwoną halkę i ani ja się ubrać porządnie, ani wyjechać po ludzku; w domu stare graty, aż zgroza bierze, jak tu do nas kto przyjedzie, to ja do prawdy palę się ze wstydu.

Matka. Ależ Wandziu, kochanie, trzeba się zastosować do majątku jaki mamy i do trudnych czasów, jakie nastały.

Wanda. Tak zapewne, dlatego też ja tak długo siedzę, bo konkurentów to odstręcza. Doprawdy, że ile razy pan Edward tu przyjedzie, tobym się rada schować pod ziemię.

Matka. Pan Edward wie dobrze, że my takiéj fortuny jak on nie posiadamy, a zresztą co do mnie, toby mnie mało obchodziło, jak tam pan Edward o nas myśli; fanfaron taki, światowiec....

Wanda. Że mamę on nie obchodzi, ale ja inaczéj myślę....

MATKA (z przestrachem). Jakto i tybyś poszła za niego?
WANDA. A to dobre zapytanie! ciekawam dla czegóżby nie?
MATKA. Jakto i kochałabyś go?



WANDA. O kochaniu to wątpię, ale czemuż bym iść nie miała za człowieka tak majętnego? Przyszłość miałabym da-

leko świetniejszą, jak siedzenie tu w téj obrzydliwéj dziurze.

Matka. A! moja Wandziu zasmucasz mnie, jak można w twoim wieku i położeniu twojém tak rezonować.

Wanda. Jakbym była w dostatkach, to i miłość by się znalazła... a ja mamie mówię, że ani bym się wahała iść za pana Edwarda; podobał mi się zresztą i kwita.

Matka. Nie pojmuję, z czego on ci się podobać może, bo oprócz pieniędzy żadnéj innéj w nim zalety nie widać... owszem wad bardzo wiele.

Wanda. Cóż to mamie szkodzi, mama żyć z nim nie będzie... i nawet proszę mamy, ażeby mi mama szczęścia nie psuła. Zawsze się oświadczacie z czułościami, że mego szczęścia pragniecie, a inaczéj postępujecie i psuć mi chcecie moje plany.

Matka. A w czemże to, kochanie moje, psuć ci chcemy?

Wanda. A no względem pana Edwarda, że wam się niewiedzieć dla czego nie podobał, to go lekceważycie, a tém go odstręczacie.

Matka. Przecież go jak najgrzeczniéj przyjmujemy.

Wanda. O to prawda, a druga rzecz, mnie nieraz przy nim taki wstyd za was, że aż strach.

Matka. No i w czemże to tak wstydzisz się za nas?

Wanda. We wszystkiém; w urządzeniu domu, w obejściu się z nim, we wszystkiém. Mama ubrana zawsze nie wiedzieć po jakiemu, w starym jakimś czepcu ze szlakami, i wiecznie ta nieszczęśliwa pończocha w ręku. Ojciec znów z fają ogromną podkurza go obrzydliwym tytoniem, a wiem, że mu to szkodzi, i że on do takiego brzydkiego tytoniu nieprzyzwyczajony. W rozmowie waszéj znać taką ordynarność, żadnego słówka francuskiego, żadnéj poważniejszéj rozmowy prowadzić nie umiecie, tylko albo o kurach i indykach ze strony mamy, albo o nawozach ze strony papy; ja się tylko rumienię i po wszystkiem. Rada jestem, jak on przyjedzie, ale razem

wstyd mi i boleśnie, a on taki uważający. (Wstaje i układa francuskie dzieła na stole). On dziś ma być u nas niechże mama przynajmniéj inne weźmie ubranie, i o czemś innném z nim gada... zresztą ja mam więcej wiadomości, to mogę mamę przygotować do jakiéj ludzkiéj rozmowy.

Matka (z westchnieniem). Już ja nie potrafię rozmawiać o tém czego nie umiem.

Wanda. Przecież to można jaką inną obrać materyą, niekoniecznie o gospodarstwie kobiecém; ja wiem, że mama niezdolna do wyższéj rozmowy. Druga rzecz jest taka: czy też papa nie może się na to zebrać, żeby Janowi jaką taką liberyą kupił, nie takiego oberwańca z niego robić.

Matka. Powoli, duszko moja, to się zrobi, jak ci mówiłam, odrazu niepodobna.

Wanda. Tak, i niech pan Edward na to czeka, to dobrze wyjdzie na tém, a ja szczególniéj; zresztą pomijając pana Edwarda, trzebaż się zastosować do sąsiedztw, z któremi się żyje. Czemu to w Zagórzu nie ma takiego parafiańszczyzny jak u nas?

Matka. W Zagórzu majątek duży.

Wanda. Na porządne urządzenie domu niepotrzeba dużego majątku. (Panna Wanda zafrasowana chodzi po salonie, a spojrzawszy na zegar, mówi po chwili:) On dziś przyjedzie, to całe moje szczęście, że po obiedzie, bo nie będę miała znów tyle wstydu. Niechże mama pokaże się po ludzku, tak jak proszę, muszę jeszcze ojcu nagadać, ale na co się to zdało moje gadanie i moje prośby, to groch na ścianę!... (Oburzona wychodzi z salonu, drzwi zatrzasnąwszy za sobą.)



Jadwiga, królowa polska.

(Urodziła się r. 1371—1372, obrana królową polską 1383, koronowana 1384 zaślubiła Jagiełłę 17 Lutego 1386, umarła 17 Lipca 1399; panowała sama lat 3 — z Jagiełłą 13).

Młoda dziewica, cudnego lica,
Na polskim tronie zasiada,
Lecz białe czoło chyli tęschnica,
Twarzyczka mieni się blada.
Bo tam daleko w zagórskim kraju
Wilhelm pozostał kochany,
Według starego przodków zwyczaju
Na oblubieńca jéj dany.
Jakżeż on umiał słodko i mile
Do młodych uczuć przemawiać,
Onéj dziewiczéj swobody chwile
Rycerską sztuką zabawiać!...
Lecz wnuko Piastów spojrzyj przed siebie,
Po staréj Lechów krainie!
Zaliż głos żaden nigdy do ciebie
Nie szeptał w dumań godzinie.

Oto nad Wisły fałą błękitną,
Płynie cień Wandy powiewny:
Sniežyste lilie jak cudnie kwitną,
Na złotych kosach królewny!
Ona ucieka w głąb jasnéj wody,
Przed cudzoziemca objęciem:
Twój Wilhelm piękny, twój Wilhelm młody,
Obcéj jest ziemi dziecięciem....
Niechże więc złudzeń prześni się mara,
Okiem nie ścigaj jéj łzawém:
Dziewico polska! tobie ofiara
Świętém miłości jest prawem.
Tak do płaczącéj w murach Wawelu
Mądra odzywa się rada,
Aż wstała w mężnéj dumy weselu
Dziewica drżąca i blada.
Bo już Jagiełło książę Litwinów
Za świętym czeka jéj progiem,
Aby wśród Polski pobożnych synów,
Przed prawym skłonił się Bogiem.
Tam, obmytego świętym chrztu zdrojem,
Kapłan z nią łączy do zgonu,
Aby z miłości świętym pokojem,
Pełnili prawa zakonu.
A Polska z Litwą w bratnim uścisku,
Za ich przykładem złączone.
W wielkich chwil szczęściu, w złego ucisku,
Szły jak dwie siostry rodzone.

Młoda królowa została koronowaną przez arcybiskupa Bodzantę w dniu 15 Października 1384 r., i objęła rządy przy pomocy znakomitych panów, którzy jéj dobrą radą dopomagali.

Zaledwie wieść się rozeszła o młodéj i pięknéj królowéj Polaków, najbliższy sąsiad nasz Jagiełło, książę litewski, przysłał posły, ofiarując się z całym ludem swoim przyjąć wiarę chrześcijańską, jeżeliby go Jadwiga przyjęła za męża; obiecywał przytém skarcić Krzyżaków, którzy niemało naszarpali się Polski i co nieprawnie przywłaszczyli sobie, ode-

brać. Świetne to były widoki, bo Polska w miejscu dotychczasowego niebezpiecznego wroga, miała w Litwie znaleść potężnego przyjaciela, a przytém tyle milionów pogan miało się nawrócić na wiarę Chrystusową. Te okoliczności skłoniły szlachetną królowę, iż zrzekając się narzeczonego, któremu szczerze sprzyjała, młodego Wilhelma księcia rakuzkiego, który nawet już zjechał do Krakowa, aby się o jéj rękę upomnieć, uczyniła z siebie ofiarę dla dobra kraju, i oświadczyła gotowość zaślubienia Jagiełły, z czém zaraz do tego księcia posły wyprawiono.



Stanisław Żółkiewski.

Obszernych włości dziedzic bogaty,
Syn szlachetnego Żółkiewskich domu,
Dzieckiem do zbroi płakał skrzydlatéj,
Ze ściany chwytał miecz pokryjomu,

Więc matka synka tuląc w objęcia,
Stare przeszłości nuciła pieśnie;
Ojciec krzyż włożył na pierś chłopięcia,
O obowiązku mówiąc mu wcześnie.
A dziwnie piękne Bóg dał mu lica,
Z krasą cudniejszą od róży kwiatu,
Ale on wiedział, że nie dziewica,
Tylko mąż z niego wyrość ma światu.
Więc na rozrywki czasu nie tracił,
Ani w panięcych zbytkach się chował,
Rychło się nauk skarbem bogacił,
Do męzkich czynów siły hartował.
Wielki Batory, Zamojski śmiały,
To byli mistrze jego za młodu,
Oni go drogą zwycięstw i chwały,
Do rycerskiego wiedli zawodu.
Pod nimi pierwsze zbierał wawrzyny,
I wodzów trudnéj uczył się sprawy:
Wśród szturmu Pskowa, u bram Byczyny,
Wieniec zwycięzkiéj pozyskał sławy.
Aż w wojownika dzielnéj prawicy,
Błysnęło stare hetmanów godło,
Aby wśród dzwięków Boga-Rodzicy,
Rycerzy polskich do zwycięstw wiodło.
Lecz wielkich czynów posiew nieżyzny,
Bo berło królów w słabego dłoni,
I mąż pokryty szronem siwizny,
Chce już w domowéj spocząć ustroni.
Ale Ojczyzna na syna woła,
Trzeba iść, wiernie wytrwać do końca,
Choćby z wawrzynów wieńcem u czoła,
Ledz, jako sławy polskiéj obrońca.
I tak na krwawych polach Cecory,
Gdy go pohaniec otoczył w koło,
Gdy tłum trwożliwy łamie tabory,
Wojska przedniejsze uchodzi czoło;
On z poświęconych garstką rycerzy,
Ojczystych znaków sztandar podpiera,
I jak bohater zdziwienie szerzy,
I jak męczennik z chwałą umiera.
Ale choć siwa runęła głowa,
Buława z dzielnéj wypadła ręki,

Dopóki nasza brzmieć będzie mowa,
Tonów jéj męzkich nie ścichną dźwięki,
Póty się pamięć jego przechowa,
W świętéj uchronie wieszczéj piosenki.

Stanisław Żółkiewski pochodził ze znakomitego w województwie ruskiém rodu. Ojciec jego Stanisław był wojewodą ruskim, pieczętował się herbem Lubicz. Syn urodzony we wsi Turynka pod Żółkwią 1547. Spowinowacony z wielkim Zamojskim, w naukach i obozach pod jego ćwiczył się okiem. Młody Żółkiewski tak przyjemne i delikatne miał rysy, że w czasie wesela Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, odgrywał Djanę, boginią lasów. Obok tych powierzchownych zalet, odznaczał się niezmiernie zdolnością do nauk, umysłem bystrym i niezmierną pamięcią.

Stefan Batory cenił go wysoko i wielkie mu okazywał zaufanie. W Byczyńskiéj bitwie prawém skrzydłem dowodził, pod naczelnictwem Zamojskiego, i dzielnie dał się we znaki Austryakom, a sam ciężką ranę otrzymał w kolano. W nagrodę męztwa i znakomitych przysług, Zygmunt oddał mu buławę polną litewską. Wnet potém, Kozaków pod wodzą Nalewajki poskromił; z Tatarami i Wołochami pomyślnie walczył, w Inflantach wodza szwedzkiego, idącego na odsiecz Rewlowi, pobił. W czasie walki z rokoszanami mieczem królowi pomógł i do uspokojenia ostatnich zamieszek najczynniéj przyłożył się, godząc króla z Zebrzydowskim Mikołajem, wojewodą krakowskim.

W wojnie rosyjskiéj świetne zwycięztwo odniósł pod Kłuszynem, następnie obległ Moskwę i rodzinę Szujskich zabrał w niewolą, a gdyby nie zazdrosny opór Zygmunta III, byłby jego syna Władysława na cesarskim tronie osadził.

Gdy się to dzieje, Turek na grunt Polski 80,000 wojska pod dowództwem Skinder Paszy przyprowadził. Z rozkazu królewskiego, aby nie rozpoczynać nowéj wojny, podpisał pod Birżą traktat, ustąpiwszy Turkom wszelkich praw do Multan

i Wołoszczyzny. Wkrótce potém Gracyan, wołoski hospodar, przez Turków na śmierć skazany, podniósł oręż przeciw Porcie. Zygmunt mu w pomoc wojsko posyła. Żółkiewski w 8000 tylko wkroczył do Multan i pod Cecorą złączył się z Gracyanem, który miał tylko 600 koni.

Przeszło 100,000 Tatarów i Turków otoczyło garstkę Polaków. Nie można tu już było myśléć o zwalczeniu wrogów, ale o szczęśliwym ile możności odwrocie; tém bardziéj, że gdy Żółkiewski chciał jeszcze spróbować bitwy, kilku nieprzyjaznych mu dowódców, dniem pierwéj z częścią rycerstwa opuściło obóz. Hetman kazał utworzyć z wozów czworobok, wewnątrz umieścił jazdę i chorych, a bokami postępowała piechota gotowa do boju; w ten sposób waleczna garstka cofała się ku granicom Polski, przez sześć dni dość szczęśliwie, pomimo ciągłych napaści nieprzyjaciela. W nocy dnia 6 Października, hałastra obozowa, co tylko o łupach i rabunku myślała, sprawiła popłoch, rzuciwszy się na wozy dla schwytania z nich coby się dało, i przez to złamała łańcuch.

Kolumna jęła uciekać, pomięszały się szyki rycerstwa, wszczął się hałas i zgiełk, a Turcy postrzegłszy zamięszanie, wielką siłą na słaby oddział uderzyli, i pomimo walecznéj obrony, wielkie mnóstwo trupem położyli.

Zginął i waleczny sędziwy hetman, wraz z dwoma synami, a głowę jego do Stambułu posłano, ale ją późniéj rodzina znacznym złota okupem odzyskała i złożyła w grobie w Żółkwi, wraz ze zwłokami, które przywiązani żołnierze z pola bitwy unieśli.

Żółkiewski poległ mając lat 73, jako smutna ofiara nieposłuszeństwa i niesforności naszego żołnierstwa.

DWIE MARYE, POLSKIE KSIĘŻNE.

I.

Marya Klementyna Sobieska.

Dzielny nasz król Jan III, pogromca Turków pod Wiedniem, miał z syna królewicza Jakóba wnuczkę, godną zająć miejsce w gronie niewiast polskich, które odznaczyły się bogobojnym żywotem. Marya Klementyna Sobieska, od lat pacholęcych jaśniała rzadkiemi przymioty. Wychowana przez zacną matkę, Jadwigę Eleonorę faltzgrafiankę Neoburgską, zawczasu przywykła do wypełniania cnót chrześcijańskich, w których tak wydoskonaliła się w dalszém życiu.

Gdy po śmierci ojca, książę Jakób opuścić miał kraj, w którym nie mógł panować, szwagier jego, książę niemiecki, dał mu schronienie w Oławie na Szlązku. Tam przyszła na świat Marya Klementyna i tam ubiegła pierwsza jéj młodość, aż do chwili gdy przyrzeczona została w małżeństwo Jakóbowi Stuartowi, synowi wygnanego angielskiego króla. Ówczesny papież Klemens, ojciec chrzestny młodéj księżniczki, pamiętny usługi oddanéj chrześcijaństwu przez króla Jana, szczerze był życzliwym jego rodzinie; niemniejsze też współczucie w sercu żywił dla rodziny Stuartów, która nie chciała opuścić kościoła, mimo odstępstw swego narodu, wolała raczéj utracić koronę, niżeli zmienić przekonanie swoje. Umyślił więc zatém Klemens zjednoczyć obie te rodziny drogie swemu sercu, i zajął się pierwszy skojarzeniem małżeństwa pomiędzy Maryą Klementyną a księciem, mającym niezaprzeczenie prawo do angielskiego tronu. Książę Jakób Sobieski i jego małżonka, przyjęli wdzięczném sercem los, który nadarzył się córce, musieli jednak zachować o tém tajemnicę,

nawet przed domownikami swymi, albowiem nieprzyjaciele polityczni domu Stuartów, nieprzychylni byli bardzo wszelkim zamiarom małżeństwa dla młodego księcia i przeszkodzić im mogli. Potrzebowano nawet kryć się przed cesarzem, w którego państwie mieszkali Sobiescy. Cichaczem zatém pewnéj nocy, księżna Jakóbowa opuściła Olawę, aby odwieść córkę narzeczonemu, który oczekiwał na nią we Włoszech z wielką niecierpliwością, albowiem zachwycony został wizerunkiem księżniczki, jak opowiadaniem o jéj zacnych przymiotach.

Marya Klementyna wśród téj podróży, do ucieczki raczéj podobnéj, dała niemałe dowody roztropności i rozwagi. W połowie drogi bowiem, obie z matką zatrzymane i uwięzione zostały, przez krewnego swego cesarza, a dopiero w kilka miesięcy potem, przyjaciele Jakóba Stuarta z niemałym kosztem i trudem wyswobodzili księżniczkę, wyprowadziwszy ją z więzienia w ubiorze służebnéj dziewczyny, która zachęcona znaczną ofiarą pieniężną, pozostała na jéj miejscu, i Marya Klementyna połączoną została związkiem małżeńskim z domniemanym królem Anglii. Szczęściem, że serce jéj nie przylgnęło do marnego blasku i pychy świata, bo korona która miała być jéj udziałem kiedyś, zamieniła się wkrótce w cierniowy wieniec. Wieniec ten dźwigała z pokorą i męztwem chrześcijanki, poświęcając wszystkie chwile wolne od obowiązków żony i matki, czynom miłosierdzia, które jéj zjednały serca ubogich mieszkańców Rzymu, gdzie przemieszkiwała wraz z mężem pod opieką papieża. Ojciec święty wyznaczył obojgu małżonkom pensyą ze swej szkatuły, która dodana do ich własnych dochodów, czyniła tyle, że mogli utrzymać dom odpowiedni swemu dostojeństwu. Marya Klementyna urządziła tak wszystko, że nie widziano nigdy żadnego zgorszenia w jéj domu, który przyrównać można było raczéj do zakonnego stowarzyszenia, aniżeli do zgromadzenia dworaków. Sama téż podczas licznych podróży męża, w celu zabiegów o odzyskanie tronu, zakonne prawie wiodła życie, wśród postów, jałmużny, modlitwy i wszelkich umartwień ciała.

Bóg chcąc rychło nagrodzić tyle cnoty i cierpienia, zabrał ją do siebie w trzydziestym drugim roku jéj życia. Wielki był płacz i lament pomiędzy ludem rzymskim w onéj chwili.

Papież, który kochał Maryą Klementynę jak córkę, gdy mu doniesiono o jéj zgonie, wyrzekł zalewając się łzami, że Rzym stracił najlepszy przykład pobożności i cnoty. Wyprawił jéj wspaniały pogrzeb, na którym pierwsze miejsce wyznaczył bractwu św. Tryfona, zaszczyconemu opieką królów polskich. Rodacy zgromadzeni wtedy w Rzymie uczcili tłumnie pogrzeb wnuczki króla Jana. Ciało jéj złożone w kościele św. Piotra, a w miejscu tém kardynał Albani, protektor królestwa polskiego, wspaniały grobowiec wystawił.

Z dwóch synów pozostawionych przez Maryą Klementynę, starszy równie bezskutecznie jak ojciec spędził życie na staraniach około odzyskania tronu, młodszy zaś obrał stan kapłański, i spełnił tém najgorętsze życzenia pobożnéj matki.

II.

Marya Leszczyńska.

Król nasz Stanisław Leszczyński, zmuszony ustąpić z polskiego tronu, przebywał poza granicami kraju, ostatecznie schronił się do miasta Weissenburg, w prowincyi francuzkiéj, wsławionego niedawną krwawą bitwą.

Zamieszkawszy tam, szukał pociechy w swéj niedoli, zajmując się gorliwie wychowaniem młodziuchnéj Maryi, jedynaczki swojéj. Dopomagała mu w tém sędziwa matka i żona Katarzyna z Opalińskich. A wdzięczny owoc wydały połączone starania zacnéj rodziny, bo Marya Leszczyńska rozkwitała w najpiękniejsze przymioty.



Marya Klementyna Sobieska. Marya Leszczyńska.

Od dzieciństwa podzielała tułaczkę rodziców i była jedyną ich pociechą. Wychowana w szkole nieszczęścia, przy wrodzonych dobrych skłonnościach i staraniach rodziców, na zacną i bogobojną wyrosła niewiastę. Nieprzyjazne Stanisławowi Leszczyńskiemu stronnictwo, nie dawało mu i chwili spokoju. Właśnie podczas gdy przebywał w Weissenburgu rozeszła się wieść, że podburzony przeciw niemu rząd francuzki, miał odmówić schronienia biednemu królowi. Przemyśliwał Stanisław gdzieby złożyć skołataną głowę i umieścić nieszczęsną rodzinę, gdy nagle los świetny, o jakim nie marzył nigdy, nadarzył się córce jego. Poseł przybyły w imieniu Ludwika, młodego francuzkiego króla, prosił dla niego o rękę Maryi. Łatwo zrozumieć, jak wielkie było zdumienie i radość wygnańców, z powodu niespodziewanego szczęścia.

Marya przyjęła pokornie i wdzięcznie z Opatrznéj ręki wyniesienie swoje, a jakkolwiek zdawało się, że winna je była jedynie osobistym przymiotom, nie urosła w pychę, lecz przeciwnie trwożnie spoglądała w swoję przyszłość, wiedząc, że im więcéj Bóg obdarza, tém ściślejszego zażąda kiedyś porachunku z łask swoich. Modliła się téż gorliwie, aby znaleść oświecenie w tém co jéj czynić wypada. Pragnęła bowiem być raczéj matką niż królową ludu, podległego berłu jéj małżonka. Bóg wysłuchuje zawsze próśb, które mają na celu jedynie doskonałość naszą moralną; zaraz na wstępie Marya zjednała sobie serca otaczających, bo skoro król ofiarował jej wspaniałe dary, wyrzekła: „Dla mnie dość daru serca waszego, pozwólcie abym te upominki rozdzieliła pomiędzy świadków mego szczęścia“ — i rozdała wszystko panom i paniom swego dworu.

W dalszém życiu ciągle dawała baczenie, aby spełnić tyle dobrego, ile było w jéj mocy. Modliła się bezustannie, błagając o tę łaskę i zasięgała rady cnotliwego ojca. Listy jéj do niego, równie jak odpowiedzi, które odbierała, malują piękne i zacne dusze obojga. Lud francuzki ukochał całém sercem Maryą; gdzie się tylko obróciła, znajdowała na dro-

dze tłumy, witające ją okrzykiem radości. Nieraz mawiała do otaczających: „Zaprawdę cóżem uczyniła ludowi temu, że mnie otacza taką miłością? ocenia chyba moje dobre chęci.“ Aby wytłómaczyć to współczucie Francuzów dla polskiéj księżniczki, dość powiedzieć, że wszystkie swe dochody oddawała ubogim. Własną ręką szyła dla nich odzież i bieliznę, któréj zawsze u siebie miała zapasy, aby udzielić co było potrzeba, czy to dla niemowląt, czy dla dorosłych ludzi, czy też dla okrycia ciał zmarłych. Najmilszém jéj zajęciem było dozorowanie panien, które wraz z nią zajmowały się krajaniem i szyciem.

Zwiedzała często szpitale i nieraz zatrzymała się u łoża chorego, aby opatrzyć rany jego ciała, lub złagodzić rany duszy słodkiemi i bogobojnemi słowy. Ktokolwiek żądał pomocy od królowéj, nigdy nie został bez wsparcia, mawiała bowiem zawsze, że woli nawet niekiedy wspomódz mniéj potrzebującego, aniżeli odmawiając, pozostać w niepewności, czy nie opuściła prawdziwie biednego. Obok obowiązków królowéj, nie zaniedbywała powinności matki. Była wzorem miłości i pobłażania dla męża, który w późniejszém pożyciu nie okazał się godnym jéj względów. Zajmowała się troskliwie trojgiem dzieci, które jej wychowywać dozwolono, cztéry bowiem królewny, przeznaczone przez króla i panów rady do zakonnego życia, wcześnie oddano do klasztoru. Jako prawdziwą oblubienicę swoją, Bóg dotknął Maryą w tem co jéj najmilszém było, powołując przedwcześnie do siebie dzieci, które w jéj oczach wyrosły. Znękana licznemi domowemi troski, śmiercią ojca swego i córek, nie mogła już przenieść straty dorosłego syna jedynaka, pełnego najpiękniejszych nadziei. Wpadła po tém nieszczęściu w ciężką chorobę, z któréj już nie powstała, i we dwa lata po zgonie młodego księcia umarła wśród łez i żalu całego ludu. Śmierć ta równie bogobojna, jak całe życie królowéj, nazwanéj świętą przez ubogich prostaczków, przypadła w Czerwcu 1768 r. a w 63 r. życia Maryi Leszczyńskiéj.

A. z Ch. Borkowska.

OBLĘŻENIE LWOWA

w roku 1675.



Jan III Sobieski.

Kiedy po śmierci króla Michała Korybuta poczęto naradzać się, komuby oddać przewodnictwo nad całym narodem, żeby go umiał bronić przed napadami Turków i Tatarów, ktoś podniósł głos za Janem Sobieskim, ówczesnym hetmanem nad całym wojskiem. Głos ten przyjęto jako natchnienie Boże i wnet po całej Polsce rozeszły się okrzyki: Dzielny Jan Sobieski królem nam i panem. Wyprawiono więc poselstwo, Sobieski przyjął je radośnie, ale gdy go zapytano kiedy naznacza dzień na koronacyą, odrzekł:

— Panowie bracia! nie godzi się myśleć o godach, skoro hordy pogan jak szarańczą wiszą nad naszą nieszczęśliwą Polską. Wprzód zaspokoję się z poganami, a kiedy orężowi naszemu Bóg pobłogosławi, zjadę do stolicy i przyjmę koronę z namaszczeniem.

Posłannicy odpowiedź tę ogłosili narodowi, i naród ucieszył się, że będzie miał przewodnika, co się zaprząta nie blaskiem majestatu monarchicznego, ale trudem orężnym dla jego bezpieczeństwa, w którym i zdrowie i żywot można utracić. Tatarzy bowiem i Turcy, była to tłuszcza pogańska żyjąca tylko rabunkiem. Wpaść do sąsiedniéj Polski, wywietrzyć zdobycz, potém zabrać a resztę spalić i zniszczyć, ludzi w części pomordować, w części zagnać w swoje kraje w pętach niewoli, to było głównem ich zatrudnieniem. Jak więc tylko na pola okryte białym całunem zimy, zaczął podmuchiwać wiosenny wietrzyk razem ze śpiewem skowronka, i Dniestr roztoczył szeroko pieniste swe koryto, zaraz na południu rozwarły się nory pogańskie, ziemia okryła się zawojami tureckiemi, baraniemi czapkami Tatarów i chmary pogaństwa chciwe krwi i rabunku jak powódź zalały Podole, Ukrainę i Pokucie. Wnet nieszczęśliwa ziemia zajaśniała płomieniem palących się wiosek, pola i lasy pokryły się purpurą krwi chrześcijańskiéj, a jęk konających i wleczonych w niewolę, łącząc się z okrzykami nieprzyjaciół krzyża, napełnił przestworze, z głuchym szumem sunąc się po pustym i bezludnym stepie. Cała zatém Polska śmiertelnym zdjętą była strachem, zwłaszcza, że Sobieski mało mając wojska pod swojém dowództwem i nigdzie nie mogąc skutecznego stawić oporu, zmuszony był opuścić zimowe leże w Bracławiu, cofnąć się ku granicom Wołynia i Rusi Czerwonéj, i myśléć o obronie Lwowa, jako środkowego punktu swego działania. Nie zrażając się przecie słabością sił swoich wojennych, dzielny Sobieski przygotowywał przytém w całém królestwie środki obrony, gdyby linia przez jego oddziały utworzona przełamana i rozproszona została. Jabłonowskiemu zatém w Złoczowie polecił zasłaniać północ; Dymitrowi księciu Wiśniowieckiemu udzielać opiekę Rusi, lekka zaś jazda miała bronić przeprawy przez Dniestr i ucierać się w polu z pogaństwem.

Turkami dowodził wówczas głośny z przebiegłości Seraskier Szejtan Ibrahim Pasza, jeden z najdzielniejszych

wojowników tureckich. Pogaństwo bowiem już znało dobrze Sobieskiego i wiedziało, że gdzie on dowodzi tam nie ma żartu, i że trzeba wszystkie wytężyć siły, aby nad nim choć małą zyskać przewagę. Dla tego też, choć pogańskie zastępy liczyły się na krocie, a polskie zaledwie na tysiące, han tatarski ciągle słał posłańców do Sobieskiego z oświadczeniem pośrednictwa do zawarcia pokoju. Sobieski, znając szczupłość zastępów jakimi dowodził, z początku odrzucał ze wzgardą podobne namowy, późniéj jednak udał że się niby udobruchał i wysłał generała Koryckiego do Seraskiera w celu porozumienia się o pokój. Trudna to była sprawa, bo jedna strona pragnęła rabunku, druga zaś obrony, jak więc tu się umawiać, temu co broni swego mienia z tym co chce je wydrzéć lub zrabować i zniszczyć?

Poselstwo takie ucieszyło bardzo poganina, ale pełen pychy, przewodząc krociom, pewny zupełnego pogromienia chrześcijańskich wojowników i zagarnienia całéj Polski, posłów przyjął z wielkiém lekceważeniem, i paląc fajkę rzekł:

— Jeżeli jesteście wysłannikami waszego króla, to czego chcecie powiedzcie w dwóch słowach, bo trzech słuchać nie mam czasu.

— Za mało — odrzekli deputaci i na tém skończyła się umowa. Gdy jednak posłowie chcieli wracać do obozu polskiego, nie wypuszczono ich i jakby na urągowisko wiedziono z sobą, pokazując im zdala płonące wsie i miasta, pełne wozy małych dzieci i tłumy ludu w pętach, gnane jak bydło w stepy pogańskiéj tłuszczy. Kiedy więc jedna połowa Polski tonęła w strugach krwi i łez ludzkich, a druga drżała jak liść osiki, co chwila spodziewając się podobnego zniszczenia, jeden tylko Sobieski nie tracił odwagi i prowadząc ciągle podjazdowe utarczki, odbierał łupy, odbijał więźniów, siekał, rąbał, w pień wycinał całe oddziały, a przytém warował Lwów i inne znaczniejsze stanowiska. Co prawda w tém bohaterstwie króla Jana, wspierali go świetnie hetman wielki Wiśniowiecki i Jabłonowski, ale Sobieski był duszą wszystkiego, jakby

słońcem, co gdzie spojrzy tam ciemność rozprasza się a dzień jasny nastaje. Seraskierowi więc nie szło tak łatwo jak myślał, czém Sułtan w Konstantynopolu rozgniewany zawiadomił, że ukarze go śmiercią, jeżeli się nie popisze z jakiém świetném zwycięztwem. Donosił mu przytém, że chcąc raz już Polskę zawojować, drugą armią, równie liczną, przez Dniestr przeprawia, a na czele trzeciéj sam wystąpi, jak tylko takowa zbierze się w Adryanopolu. Seraskier więc odebrawszy takie wiadomości, postanowił całą swą siłą pójść na Lwów, co Bogiem a prawdą, dawno powinien był zrobić, i zdobywszy go pójść potém do Krakowa i Warszawy i zająć całą Polskę. Niewola więc pogańska już prawie wisiała nad całym narodem, Sobieski jednak nie tracił wiary w Opatrzność, gromił, walczył, nacierał, jednocześnie słał posłanników, wzywając o posiłki. Ale naród, pogrążony w rozpaczy wieściami o sile pogańskiéj, głuchym się okazał na wszelkie nawy.

— To nienasza sprawa — mówił lud wiejski — ale panów, mają od nas więcéj, niech więc myślą jak się obronić przed zatraceniem.

— Ludu wiejskiego więcéj od nas — mówili panowie po dworach i zamkach — on więc iść powinien, bo my przy naszych wsiach musimy uganiać się z różnymi włóczęgami i rabusiami, co tylko czychają, jak i nas i lud wiejski zrabować.

Inni znowu mówili:

— Wszystko zginęło i cóż pomożemy przeciw tak strasznéj mocy Turków? Widać że Bóg się na nas zagniewał, niechże więc spełni się co Opatrzność postanowiła. Wreszcie choć niebezpieczeństwo wielkie, ale jest tam dzielny Sobieski, to przy pomocy Boskiéj obronić nas potrafi.

Wszyscy zatém w niemej rozpaczy, oddawali przyszłość kraju na wolą Opatrzności, niezdolni nietylko do działania, ale nawet do myślenia, zapominając, że Bóg dopomaga, ale tylko czynnym, starającym się i myślącym, jak się wydobyć z biedy i nieszczęścia. Siły zaś Sobieskiego wynosiły zaledwie

dziesięć tysięcy, reszta rozproszoną była po zamkach i fortecach, i to w nader małych zastępach, gdyż znaczna część pod dowództwem Paca, rozpierzchła się po całym kraju i włócząc się bandami rzucała się na rabunek wsi i dworów.

Polska zatém była prawie bezbronną, bo cóż znaczyły tak małe oddziały wojska, jakimi dowodził Sobieski, wobec przerażającéj potęgi tureckiéj? Sama przednia straż pogan składała się z 40,000, która pod Sułtanem Nurradynem podszedłszy pod Lwów, natychmiast dopełniła spalenia przedmieścia. Za nim postępował sam Seraskier na czele licznego korpusu i codziennie wyglądano jego przybycia. Sobieski straciwszy nadzieję ocucenia narodu z niemocy, postanowił działać z siłami jakie miał pod ręką. Zabrał więc żonę swą, którą nazywał zawsze najukochańszą Marysieńką, zabrał dziatki równie ukochane i przyjechał z nimi do Lwowa, rzekłszy:

— Jeżeli Turek ma nas zwyciężyć, to niechże zginie cały mój ród, aby naród nauczył się, jak bronić należy ojczyzny przed nieprzyjacielem i napastnikiem. Ale w Bogu nadzieja, niech więc na powitanie nasze odezwą się wszystkie wojenne działa, aby nieprzyjaciel dowiedział się gdzie ma szukać króla polskiego.

Zabrzmiały więc działa, a w obozie tureckim poruszyło się wszystko, jak w ulu pszczelnym, brzęcząc orężem, żądzą rabunku i zniszczenia. Pod Lwowem więc miała stoczyć się straszna i ostateczna walka poganizmu z krzyżem Chrystusowym i na Lwów nietylko zwróciły się oczy całéj Polski, ale całéj Europy, całego chrześcijańskiego świata, przeczuwającego zupełny upadek Polski, tego przedmurza przed barbarzyńskiemi hordami. Z pomocą jednak tak z postronnych jak i dalszych narodów nikt nie pośpieszył, owszem przeciwnie każdy z nich przemyśliwał, jak się rozporządzić w razie upadku Polski, żeby z tego jak największą wyciągnąć dla siebie korzyść. Co się zaś z nią stanie, czy krocie niewinnego ludu zostaną wymordowane, a drugie krocie przegnane w pustynie azyatyckie, czy w Polsce rzeki zafarbują się krwią chrześci-

jańską, czy wzbiorą od łez ludzkich, czy kraj cały zaświeci łuną pożarów wsi i miasteczek, o to nikogo ani głowa nie zabolała.

Lwów więc okrył się żałobą, ale z przybyciem Sobieskiego, każdy ożył, a załoga wynosząca zaledwie pięć tysięcy, nabrała ducha, widząc, że jéj Sobieski sam przewodzi. Zaraz więc zabrano się do przygotowania obrony, zwłaszcza, że Nurradyn z przednią strażą nie zaczynał boju, czekając na



Napad nocny na oddział turecki.

przybycie głównego korpusu pod Seraskierem. W kilka dni potém, wieczorną porą, na ciemném tle nieba, pokazały się pasy płomieniste, świecące blaskiem dalekich pożarów. Był to znak zbliżenia się samego Seraskiera, który w pochodzie równał wszystko z ziemią, a wsie i miasta niszczył ogniem i obracał w perzynę. Załoga więc podwoiła baczność, a gdy z daleka ujrzano pierwsze szeregi pogan, król z żoną, dziećmi i mnogim ludem udał się do kościoła i u stóp cudownego obrazu z błogosławionym Stanisławem Kostką, błagał Boga

o ocalenie. O godzinie czwartéj po południu, hordy tureckie zaczęły rozbijać namioty w obecności wojska polskiego. Król zobaczywszy to, postanowił pierwszy napaść na nieprzyjaciela, czując, że przez to swoim doda otuchy, a Turków zmiesza i przestraszy.

O ćwierć mili od miasta, rozłożone w małéj dolinie wojsko, opierało się o górę obsadzoną artyleryą, że zaś każde zagięcie ukrywało zasadzkę i reduty łączyły obóz z fortyfi-



Schwytani jeńcy tureccy w nocnym napadzie.

kacyami Lwowa, przystęp więc dla licznéj hordy tureckiéj był nadzwyczaj utrudniony. Dla pozornego zaś chociaż powiększenia sił swoich w oczach nieprzyjaciół, król Sobieski kazał na wzgórzach i winnicach rozstawić proporce ussarzy z chorągiewkami jaskrawéj barwy. Kiedy więc Turcy, dumni swą liczbą, którą najmniéj na 150,000 obliczano, zajęli się stawianiem namiotów, Sobieski przyjrzawszy się im dobrze, pobłogosławił wojsko, jako król i ojciec, i dał znak do ataku. Odezwały się więc wojenne trąby, jazda szparkim rumakom popuściła cugli, błysnęła dobytemi szablami i z okrzykiem:

Żyje Jezus! rzuciła się w sam środek nieprzyjacielskiego obozu. Jednocześnie od strony obozu polskiego zawył okropny wicher, niebo przyćmiło się na malutką chwilkę i potém sypnęło tak silnym gradem, że ten wiatrem pędzony w same oczy nieprzyjaciół, rzucił popłoch między nich i popsuł porządek.

Wprędce jednak wrócili do przytomności: jazda polska zaczęła się cofać, ale czujny Sobieski, wszędzie obecny gdzie tylko radą, mową lub orężem mógł działać, poskoczył ku cofającej się jeździe, wołając:

— Naprzód bracia! naprzód! musimy albo umrzeć albo zwyciężyć! Nie zapominajcie, że król z wami, a w mieście królowa z dziećmi. Naprzód w imię Boże!

Wzniósł się więc na nowo okrzyk: Żyje Jezus! waleczna jazda zerwała się jak stado ptastwa, zahuczała ziemia pod kopytami pędzących rumaków, i wojacy jak burza spadli na karki pogańskie. Sobieski wszędzie pierwszy, walczył jak wódz i prosty żołnierz. Nadaremnie panowie chcieli go w zapale powstrzymać, ale Sobieski nie zważał na to: przebiegał szeregi, naciskanych wzmacniał, trwożliwych ośmielał, szeregi łamał, rozbijał, wydawał rozkazy; tu spadał jak piorun, tam naradzał się, tu ciął mieczem, tam krzepił i nie oszczędzając siebie, uczył własnym przykładem, jak należy za ojczyznę walczyć i poświęcać się. Tuż przy Sobieskim znajdował się poseł Francyi, biskup Marsylski, podziwiając bohatera, który nigdy jeszcze nie okazał się w takiéj sławie i wielkości, w takiém zupełném poświęceniu własnéj swéj osoby. Śmiały kapłan na krok go nie odstępował, stracił aż dwa konie pod sobą, i przesłał potém swemu królowi dokładny opis całéj bitwy, z czego ułożone zostało niniejsze opowiadanie.

Turcy napadnięci tak znienacka, a nie myśląc nawet, żeby Polacy, tak szczupli w liczbie, mogli pierwsi wystąpić do boju, rażeni z przodu szablami wojaków chrześcijańskich, z boków celnymi gromami dział rozstawionych na wzgórzach, mając przytém zasypywane oczy gradem wściekle miotającego się wichru, pomimo walecznośc samego Nurradyna, nie mogli

się oprzéć dzielności natarcia, i padając tłumami, coraz bardziéj rozprzęgając się w porządku, z nadejściem zmierzchu poszli w rozsypkę. Ucieczka ta tak była nagłą i rozpaczliwą, że ze świtem u podnóża Lwowa tylko walały się kupy trupów i szczątki z obozu tureckiego, a sami poganie w bezładnych



Przedstawienie królowi znaczniejszych jeńców tureckich.

chmarach o mil już cztery zapychali drogę w haniebnéj ucieczce. Ale i tam doganiał ich oręż niezmordowanych obrońców krzyża, a wodzowie polscy szli na wyścigi, aby z wieczystéj chwały swego króla i wodza, uszczknąć choć gałązkę zasługi, choćby jeden listek z wieńca, którym otoczył swoje bohaterskie czoło.

Polska więc znowu odżyła, a Europa na odgłos zwycięstwa tak nieznanego w dziejach świata, nie myśląc nawet, aby jeden człowiek mógł zastąpić liczbę, jednozgodnie zawołała, że Bóg pod Lwowem zdziałał cud, i mieczem Sobieskiego ocaliwszy Polskę, ocalił z nią całe chrześcijaństwo.

Był to naprawdę cud widoczny, dlatego téż późniéj ciągle się go spodziewano, każdy zakładał ręce, nic nie robił i choć obcinano mu poły, od ust chleb wydzierano, zdejmowano buty, każdy mówił: ej! Bóg to odmieni, Marya królowa Polska ześle zastępy niebieskie i jakoś to będzie. Co my chudziaki poradzimy?

I na prawdę cuda podobne powtarzały się i późniéj, naród ratował Bóg swoją opieką, jakby chciał przywrócić go do rozumu i upamiętania, ale naród zamiast krzepić się, zapadał w coraz większą odrętwiałość, swarzył się, nienawidził wzajemnie, hultaił, próżniaczył, naukę odrzucał, marnotrawił, aż wreszcie Bogu uprzykrzyło się, cudami przestał Polskę darzyć i wnet cały naród poszedł w potrójną niewolą. Wówczas jednak nie myślano nawet o tém, cieszono się tylko wielkiém zwycięstwem Sobieskiego, a w gazetach francuskich takie o niém napisano słowa:

„Ktokolwiek w potomności czytać będzie opisy teraźniejszych wojen, nie potrafi nawet sobie wyobrazić, żeby król pozbawiony wszelkiéj pomocy, ośmielił się rozłożyć obozem z czterema a najwyżej pięciu tysiącami żołnierzy o pięć mil od 150,000 Turków i Tatarów, żeby w ciągu sześciu tygodni nie dopuścił im uderzyć na swoje forpoczty, żeby wreszcie nieprzyjaciół tak potężnych zwyciężył jedynie tylko walecznością i roztropnością swoją, zmuszając do tak nagłéj ucieczki, że w ciągu jednéj nocy, w odwrocie więcéj uszli drogi, niżeli przez dni trzy, gdy ciągnęli do walczenia z królem Sobieskim. Bóg jawnie okazał, że Sam jest obroną tego wału chrześcijaństwa, a dzień ten wielki, który tak pięknie przedłuża pasmo świetnych czynów króla jegomości, przekonywa jeszcze

bardziej, że Polska nie mogła godniejszego monarchy osadzić na tronie swoim."

Nie ostatnie to jednak było zwycięstwo Sobieskiego, choć wprzód pan i magnat a później król, więc w dostatku i wygodzie, jednak nogi nie wyjmował prawie ze strzemienia, walczył, wojował, bił i gromił, bo Polska wówczas już chyliła się do upadku i jednéj chwili nie miała spokojnéj, żeby się nie oganiać przed napaścią, bo tyle rąk wyciągało się do niéj z chęcią zagrabienia. Zwycięstwa Sobieskiego były jakby ostatnie promienie zachodzącego słońca, które nim schowa się w ciemności, pragnie jeszcze pokazać światu jakim go przez dzień cały darzyło blaskiem.

ODRODZENIE POLSKI

w drugiéj połowie XIII i pierwszéj XIV wieku.

Przegląd prac Leszka Czarnego, Przemysława, Łokietka.

Odczyt dnia 15 marca.

„Skandynawskie ludy na północy Skaldy, z westchnieniem biorą lutnię aby przypominać przeszłość. Jęcząca północ, rada udzielać czułą łzę wspomnieniom! W cierpiącém i melancholicznèm tchnieniu, wznawia pamięć swoich bohaterów i rycerzy, znajduje ulgę i wypoczynek w cnotach walecznych ojców. Blade światło upłynionych wieków nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżany promyk jego, słodko przejmuje zacniejsze uczucia. Tak przeszłość ludzi zajmuje, a ta przeszłość, śpiewów północy przedmiot, jest równie udziałem historyi. W niéj są niecofnione już zaszłe przemiany ludzkości, w niej zadatki niepewnéj przyszłości. Różne wrażenia, nieraz dolegliwe, przeszłość zdziałać zdolna. Gdzież w niéj powstanie państwa jakiego bez wielolicznych ruin i upadków? gdzie tryumfy cnoty bez odrażliwych dzikości i przestępstw.

Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tem, upada na umyśle. Lecz historyk nie poddaje się pozorom albo saméj tylko złéj wróżby pochmurnym widokom. Wystawia na wstręt i ohydę gwałty i wykroczenia, wypoczywa na cichéj cnocie, często cierpiącéj, która jednak o swojéj prawości nie wątpi. Łączy on i spaja wieki, oczekuje większego doświadczenia, które się staje dalszéj potomności udziałem. I niezawsze same rozerwania i upadki w przeszłości dostrzega, niezawsze jedynie przerażające widoki rozpatrującego się w dziejach zajmują. Znajduje on przyjemne obrazy odradzającéj się ludzkości, postępującéj towarzyskości, ocalonych narodów i państw, ochronionéj i podźwignionéj budowy.“

Nie wiem czy szanowne zgromadzenie odgadnie, czyje cytuję słowa, wolę więc powiedzieć odrazu: jest to wstęp Joachima Lelewela do prelekcyi podobnéj treści i rozmiarów co dzisiejsza. Wygłosił ją zacny patryarcha naszéj nowoczesnéj krytyki historycznéj na posiedzeniu publiczném Uniwersytetu wileńskiego w r. 1822 przed zgromadzeniem profesorów, wśród którego znalazłyby się najznakomitsze naszéj literatury imiona. Sumienny badacz kronik naszych średniowiecznych, autor nieocenionego dzieła *Polska wieków średnich*, puścił się na pole poglądów, a nawet rozpoczynając od skaldów i lutnistów, coś o poezyą potrącił. W atmosferze, gdzie panował romantyzm, rozbudzony nieśmiertelnemi jego ucznia Mickiewicza płody, gdzie grało gorące uczucie patryotyczne, niebawem prześladowane przez Nowosilcowa karmelickiém więzieniem, w atmosferze téj ów nawet okrzyczany za suchego badacza Lelewel, pragnął na publiczném posiedzeniu doroczném, zejść z wyżyny umiejętnego badania i zaryzykować przedmiot ścisłemu badaniu mniéj odpowiadający, a „Uniwersytet, pisze Lelewel w autobiografii, na radzie swojej bez chwiania czytanie dopuścił.“ Młodemu pokoleniu rzucił profesor piękny epizod z życia przeszłości, epizod wymierzony może przeciw gorączkowemu jego usposobieniu, przeciwko niecierpliwemu porywaniu się do czynów. Bo oto przebiegłszy długoletnie i mozolne Władysława Łokietka i Kazimierza W. prace, mówi szanowny profesor: „Dopełniło się to Lechii ocalenie właściwą jej koleją, nie dzikim, ostrym lub nagłym ruchem, ale łagodnym i powolnym, choć przesilenie uczuć się dało; nie chwila jedna, ani szybka zmiana zniszczoną czerstwość wróciła, każdy krok koleją następujący, nowéj ilości sił dodawał, skołataną pokrzepiał okolicę, z każdym rokiem,

przez niemały przeciąg czasu, podnosiła się moc uczuć, wzmagająca oczekiwanie. W latach wolno pomykanych, roztaczał się obraz wspaniały, którego dziś w zapadłéj przeszłości szukamy. Stroskane krwawym biegiem rzeczy ludzkich na świecie myśli, w téj przeszłości mogą wypoczynku i zaspokojenia wyszukiwać...."

W kilkadziesiąt lat potem, gdy po różowych nadziejach 1848 smutna 1849 nastąpiła reakcja, puszcza niedosyć jeszcze podówczas znany i uznany autor *Jadwigi* i *Jagiełły*, Karol Szajnocha książeczkę małą, w treść i obrazowość bogatą, podejmującą ten sam moment dziejowy. W przedmowie czytamy:

„Kiedy nas chwila zawiedzie, kiedy nas chwila publiczną klęską zakrwawi, kiedy nam chwila pozornym bezładem i bezkształtem swoich obecnych zjawisk wiarę w rozumny kierunek świata zachwieje, boleścią serce przepełni, spojrzyjmy w przeszłość, na pewien skończony w sobie okres dziejowy, gdzie w wieloletnim zlewie tych pozornie potwornych chwil, rażący widok ich obecności ginie w wspólnym widoku harmonii całego zdarzeń rozwoju, gdzie chwilowy zawód przedstawia się w przyjazném świetle pierwszéj, aczkolwiek jeszcze niezupełnie pomyślnéj próby, a sama klęska kładzie ze swoich ofiar podwalinę dla prędzéj czy późniéj niechybnego tryumfu żywotnéj sprawy. Takie spojrzenie w przeszłość, taka nauka przeszłości, winny wypogodzić nasz mgławy pogląd na przyszłość, utwierdzić zachwianą wiarę, pocieszyć boleść i w téj też myśli stawiamy niniejszy nasz obraz przed publicznością."

Nie chcę przeczyć, że motywa podobne, analogiczne skłoniły mnie do wyboru tegoż samego przedmiotu na dzisiejszą prelekcją. Zasłaniają mnie dwie naukowe powagi przed tymi, którzyby naukę chcieli nieprzeniknionym murem odgrodzić od życia. Jeżeli co, to historya idzie z tém życiem ręka w rękę, często przechowuje ona myśl polityczną, która w społeczeństwie podupadła, a niewolno jéj tylko służyć namiętnościom i zawiściom momentu, nad które wyższą być powinna. W bogatéj jéj skarbnicy znajdzie się kordyał pocieszenia w najtrudniejszych przeprawach życia, a jeżeli nie może być apteczką środków prezerwatywnych lub doradczynią w specyalnych przypadkach, to znajdzie się w niéj zawsze przynajmniéj ogólna wskazówka obowiązków, których wierną służbą wywięzujemy się z naszego charakteru obywateli i członków narodu,

znajdzie się gromkie słowo przestrogi, którego lekceważyć niewolno.

Ów motyw, który mi podsunął dzisiejszy przedmiot wykładu, naraża mnie wszakże na niemałe niebezpieczeństwo wstępowania w ślady wymienionych koryfeuszów. Szczęściem zmniejsza je cel naszych zebrań, zmniejsza krótkość czasu, który mogę poświęcić przedmiotowi. Powrócić mi wypadnie do lelewelowskiego poglądu na odrodzenie Polski w wieku XIII i XIV, przesunąć przed oczyma szanownego zgromadzenia wypadki lat kilkudziesiątu od śmierci Bolesława Wstydliwego w r. 1279 do czasów Kazimierza Wielkiego, a więc blizko wiek cały śmiertelnych zapasów, uwieńczonych szczęśliwym skutkiem, wiek, który nastąpił po całém także stuleciu najokropniejszego zamętu i najokropniejszéj ruiny. W tak szerokich ramach wypadnie mi wskazać tylko mimochodem pewne różnice rezultatów badawczych, które Naruszewiczowskie, a następnie Lelewelowskie przedstawienie rzeczy za odkryciem nowych źródeł i dokumentów w dziełach Roeppla, Szajnochy i Henryka Caro, konstynuatora Roepplowego doznało.

Pierwszy obraz, który szanownym słuchaczom przesunąć muszę, będzie smutnym, prawdziwie rozpacznym obrazem. Przenosimy się w wiek trzynasty, w czas największego Polski zamętu.

Dawna Polska Bolesława Chrobrego i Krzywoustego, zwycięzka pogromczyni cesarzów niemieckich Henryka II i V, kniaziów ruskich, Polska sięgająca Elby, Cisy, Baltyku i Dniepru w przeciągu lat niespełna stu od 1139 do 1237, w którym zginął Leszek Biały, zmieniona do niepoznania.

Nieszczęśliwy podział państwa między synów Krzywoustego, słowiańskim obyczajem wywołany, rozbił państwo zrazu na cztery a w biegu czasu na szesnaście części. Dzielnica krakowska miała podług woli Krzywoustego być zwierzchniczką wszystkich, a zarazem administratorką hołdowniczego Pomorza. Zamiast tego staje się ona jabłkiem niezgody między braćmi, a podział rzeczywistém rozpadnięciem i utraceniem wspólnego narodowego ogniska.

Odpadnięcie linii najstarszéj od Krakowa i ograniczenie jéj do Szląska, gdzie się niebawem w liczne księstewka rozpada, jest pierwszą porażką myśli monarchicznéj Bolesławowskiéj. Książęta Szląscy nie zapominają swego starszeństwa, bliżsi zachodu garną do siebie wpływ obcy, cywilizują kraj

swój na modłę niemiecką, a z czasem wychodzą na przednią straż niemczyzny i czeszczyzny. Za tą porażką idzie druga, porażka linii wielkopolskiéj, podnoszącéj się w Mieczysławie starym do złączenia starego Gniezna z Krakowem. Najmłodsza linia, linia Kazimierza sprawiedliwego, zyskuje w duchowieństwie i możnowładztwie silną podporę przeciw zamachom starszych, a Leszek biały i Konrad mazowiecki rozsiadają się w spuściźnie stryja Henryka i Bolesława Kędzierzawego, którą odziedziczył kolejno ich ojciec Kazimierz Sprawiedliwy. Współcześnie pokonywa duchowieństwo i możnowładztwo monarchicznego ducha w potomkach Mieczysława Starego a Władysław Odonicz i synowie jego Bolesław Pobożny i Przemysław okazują się równie ulegli wpływowi oligarchii, jak współczesny im syn Leszkowy Bolesław Wstydliwy.

Widzimy zatem rozbicie dawnéj,ześrodkowanéj potęgi pierwszych Piastów. Gminowładczy żywioł słowiański, nieznoszący monarchii, łączy się tu z obcym żywiołem feodalnym, dążącym do niezawisłości od tegoż monarchy, z żywiołem władzy duchownéj, dążącéj w imię swego bożego posłannictwa i wyższości intellektualnéj do kierowania sprawami doczesnemi. Możemy, przykładając miarę dzisiejszą do owych wieków, gniewać się na to ostatnie dążenie, przenosząc się w nie musimy gniew nasz powściągnąć, musimy przyznać, że jeżeli kto, to zaiste jedynie wyżéj oświecone duchowieństwo miało prawo starać się o powiększenie swojéj władzy, nie widząc rękojmi w książętach, znajdując się w obec zamętu i burzliwych namiętności swego czasu. Duchowieństwo umiało zawsze uczcić i wesprzéć każde organiczne i skutek obiecujące dążenie monarchiczne, bo każde takie dążenie w owych czasach rachowało się z duchowieństwem. Rachował się z niém Chrobry i Krzywousty — niedosyć widać rachował się Władysław II i Mieczysław Stary. Skoro nie było ducha, któryby godnie podjął dawną myśl Bolesławowską, duchowieństwo ratowało kościół i społeczeństwo, a nie wiem czyby jedno i drugie w wszczynającym się zamęcie uratowaném zostało, gdyby nie było takiego Piłki, Gedeona, Prandoty, Jakóba Swinki, gdyby wpływ duchowieństwa nie był wychodował takiego Bolesława Wstydliwego i Pobożnego, takiego św. Jacka, św. Kunegundy, Salomei, Jolanty, które dobroczynném światłem świętobliwego żywota, ratowały społeczeństwo od zupełnego moralnego zbestwienia i upadku.

Cóżkolwiekbądź, rozpadnięcie to wewnętrzne, najgorsze za sobą polityczne pociągało skutki. Z utratą jedności Bolesławowskiej, ustaje i missya Bolesławowskiej Polski. Księstwa rozdzielone nie łączą się do wspólnych wypraw, a jeżeli się łączą, w czem jak w r. 1222 w wyprawie na Prusów duchowieństwo i Papież pośredniczy, nie mogą podołać zadaniu. Jedném z takich zadań była walka z pogańskimi Prusami, przytykającymi do dzielnicy Konrada Mazowieckiego. Konrad Mazowiecki nie może podołać téj walce, sprowadza przeciw Prusom niemiecki zakon krzyżaków i sadowi go w ziemi chełmińskiéj.

Skutki czynu Konradowego (w r. 1225) trwają długie wieki i do dziś dnia srogo uczuć się nam dają. Owi krzyżacy w zanadrze Polski wpuszczeni, to embryo książąt pruskich, a książęta pruscy, z linii brandeburskiéj, to protoplaści owego Fryderyka Wilhelma wielkiego kurfirsta, który od nas w pokoju welawskim niepodległość odzyskał, protoplaści Fryderyka W., który pierwszy do rozbioru Polski rękę przyłożył.

Strasznéj pamięci Konrad, nieudolny a okrutny, żyje dotąd w wspomnieniach ludu kujawskiego, jako djabeł Mazur, co sprowadził Niemców do Polski.

Drugiém zadaniem ciążącém na zwierzchniczéj linii krakowskiéj było utrzymanie zdobytego i nawróconego przez Krzywoustego Pomorza w hołdownictwie. Ofiarą dążenia tego pada Leszek Biały, zabity przez Świętopełka księcia pomorskiego na wiecu w Gąsowie. Ów Świętopełk Pomorzanin, Gryfita, książę słowiański wielkiego ducha i szerokiéj dłoni, chwyta chwilę zamętu polskiego, aby odzyskać udzielność, a walcząc z Niemcami i krzyżakami, stawia nad Baltykiem państwo, mające się obchodzić bez Polski i walczyć z Niemcami bez Polski. Z czasem okazała się trudność, jakoż zabójca Leszka przyjaźni się z książęty wielkopolskimi i nawiązuje sam nić przeciętą zbrodnią gąsowską. Wielkopolska uciera się jak może z drapieżnymi książęty Marchii brandeburskiéj, napierającéj na granicę Warty i Noteci — a znajdujących wiernych sprzymierzeńców w osiadającym w dzierżawach konradowych zakonie.

Niemniéj trudne było położenie względem Wschodu.

Wielki napad Tatarów pod Batu-hanem przewraca cały kształt wschodniéj Europy. Wyrojona z wielkiéj azyatyckiéj wyżyny czerń Dżengiskhanowa przewraca w bitwie nad Klasmą syzmatyckie kniaźstwa moskiewskie, posuwa się kolejno nad

Don, Dniepr i Dniestr i oto w 1241 zalewa Ruś czerwoną i cały południowy płat Polski, dążąc na Węgry. Znane dzieje tego napadu, po którym sandomirskie, krakowskie i część Szląska, jedną krwawą szmatą się być zdały. Ale to dopiero pierwsza straszna zapowiedź złego. Od 1241 walą się na Polskę klęska po klęsce.

Mało dotąd słyszano o Litwinach, siedzących po za borami pogańskich Prusów za Niemnem, mało o Jadźwingach, dzikim ludzie, zamieszkałym w dzisiejszém Podlasiu. Jak gdyby ów ruch tatarski wszystkie dzikie instynkta w piersi wschodnich barbarzyńców obudził, rusza się mrowisko ludów i rzuca nad Polskę. Litwa wstaje z lasów swoich straszna potém pod władcą Mendogiem, Ruś pod Daniłem halickim, płacąc jedną ręką haracz złotéj Ordzie, drugą zrywa się na starszą siostrę w Słowiańszczyźnie. Jak prawie wszystkie nieszczęścia tak i te zamiast spajać, dezorganizują społeczność polską, jakoż spostrzegamy w niéj objawy okropnéj treści.

Ów Konrad mazowiecki, bezpośrednio na sąsiedztwo Jadźwingów i Litwy narażony, nie waha się w ambitnych swoich widokach opanować dzielnicy krakowskiéj, prowadzić pogan na zniszczenie ojczystéj ziemi. Między oddalonymi książęty szlązkimi spotykamy większą jeszcze potworę, Bolesława Rogatkę wnuka Władysława II, który na zlanéj krwią ziemi krakowskiéj, gwałtami i mordem chce stawiać tron swój po napadzie tatarskim, a gdy mu się to nie udaje, spędza całe życie na awanturniczych bojach w Szląsku i Wielkopolsce, aż opuszczony od wszystkich, ogłupiawszy z rozpusty i dzikości, błąka się pod koniec życia, jako rozbójnik po kraju. Podobnym doń z wielu miar jest Kazimierz kujawski, syn Konrada, kłótnik i niespokojna głowa, szamotający się niecierpliwie z siedzącém mu na karku krzyżactwem, a długoletnie wojny z Bolesławem pobożnym prowadzący. Obok tych prototypów złego, stoją zakonnego ducha książęta krakowski Bolesław Wstydliwy z żoną Kingą, Bolesław pobożny na Kaliszu z żoną Jolantą. Usiłowania ich chwalebne nie mogą przeciwważyć wewnętrznego i zewnętrznego złego, a historya obok zasług pierwszego w pogromie Jadźwingów, drugiego w odpieraniu Brandenburczyków, zapisać musi ich wpływ na społeczeństwo, wywierany dobrymi obyczajami i pobożnością, który przeciwważył powszechne zepsucie i i zdziczenie krewnych.

W obec takiego stanu rzeczy chrześcijański porządek europejski, ześrodkowany podówczas w papieżu, zrozpaczył

o Polsce. Duchowieństwo, jakeśmy to rzekli, ratowało kościół i obyczaj, podniecało gorliwą dewocyą i stawiało klasztory i kościoły jako fortece w odwiecznym odmęcie. Papież Urban IV skarży się, że nikt w Polsce nie stawia oporu napadom pogan i upomina zakon krzyżacki, aby sprzymierzając się z polskimi książęty to czynił. Ale zakon walczył o podbicie Litwy, o Polskę mu nie chodziło. Zwraca więc Stolica Apostolska uwagę na Ruś i Litwę i oto Mendog i Daniło otrzymują korony z Rzymu, pierwszy pod warunkiem chrztu, drugi pod warunkiem odstąpienia od syzmy. Dwa mocarstwa mają stanąć na miejsce zapomnianéj, krwią zbroczonéj Polski. Niedosyć na tém; na przeciwległym krańcu Słowiańszczyzny w Czechach urasta współcześnie Przemyśl Ottokar do potęgi, która stanowczo w Niemczech waży, a Szląsk ku sobie przyciąga. Gdyby się owe państwa Ottokara, Świętopełka, Mendoga i Daniła były utrzymały, Polska, jako zbyteczne międzypaństwo, rozbita wewnątrz, byłaby niezawodnie rozpadła się na sztuki, a linia Bugu pozostałaby granicą między wielkiém słowiańsko-czeskiém państwem na zachodzie, a rusko-litewskiém państwem na wschodzie.

Ale w ciągu jednéj dziesiątki lat pomiędzy 1260 a 1270, gdy zamęt Polski do najwyższego dochodził stopnia, zabrała Opatrzność czterech najpotężniejszych jéj sąsiadów. W roku 1260 zginął Przemyśl Ottokar w pamiętnéj bitwie na polu marchwianem pod Wiedniem, w walce z protoplastą Habsburgów Rudolfem o koronę cesarską, zdradzony przez własnych poddanych a mianowicie Witkowiczów. Padł on ofiarą fałszywéj polityki kuszącéj się raczéj o przewodnictwo w Niemczech jak oześrodkowanie żywiołu słowiańskiego, padł nieżałowany i nieuczczony od swoich, którzy mu zbytniego przywiązania do Niemców i koniecznych absolutystycznych dążeń zapomnieć nie mogli. Krew Morawców, Szlązaków i Polaków woluntaryuszów, która się obok krwi Niemców jego stronnictwa na polu marchwianem lała — przelaną została dla ambitnéj myśli władania środkową Europą w chwili, gdy na wschodzie najpiękniejsze do walki z pogaństwem i do zbudowania wielkiego słowiańskiego państwa, po Elbę sięgającego, otwierało się pole.

W kilka lat potem umierają Świętopełk, Mendog i Daniło, a państwa ich idą w podział między synów. Jeżeli polityczne wystąpienie Ottokara upadło w skutek sprzeniewierzenia się missyi słowiańskiéj dla ponętnéj korony cesarskiéj

innego ludu, to improwizowane budowy Mendoga, Daniła i Świętopełka upadły w skutek braku żywotności. Obaj, Mendog i Daniło nie pojęli znaczenia korony z Rzymu przysłanéj, nie zrozumieli owego cywilizatorskiego namaszczania zachodu, obaj starli z siebie znamię wyższe, pogańska jednego, syzmatycka drugiego natura zwyciężyła.

Missya obrony cywilizacyi przypadła znowu w udziale rozszarpanéj Polsce, przypadła jej zarazem missya obrony narodowości słowiańskiej — gdy książęta szląscy z gibkością obyczaju obcego nabytego w atmosferze niemieckiéj swoich dworów, kłaniać się poczęli zwycięzkiéj Niemieczczyźnie, a następca Ottokara Wacław II, niedorastając wielkiéj postaci ojca, tylko w zamiłowaniu niemczyzny był doń podobnym.

I oto nigdy może w dziejach dotychczasowych nie sprawdziło się tak słowo poety: Naród nie zginie, nie zginie ziarno posiane od wieków przez szczep wierny swemu ognisku, mówiący swoją mową, mający swoich bohaterów i swoją tradycyę, swoją wiarę religijną. Nie zginie, jeżeli potrzebnym jest Opatrzności do wielkich celów i przeznaczeń, nie zginie, jeżeli ma coś przynieść światu, jeżeli chowa w swojém łonie to, w czem go inny nie zastąpi.

W r. 1279, gdy Bolesław Pobożny, Bolesław Rogatka i Bolesław Wstydliwy kładli się do grobu, gdy Mazowsze i Kujawy rozpadły się na siedem części między synów Kazimierza kujawskiego i Ziemowita, Polska znajdowała się w stanie, po którym by się zapewne nikt szybkiego jéj podniesienia nie spodziewał.

W czemże miała pokładać swą ufność? Rozpatrzmy się.

Dom Kazimierza kujawskiego nie miał dobréj sławy. Dwaj synowie jego starsi, Leszek czarny i Ziemomyśl, urodzeni z Konstancyi, córki Henryka wrocławskiego, hołdowali niemieckiemu obyczajowi i nosili długie trefione włosy. Ziemomyśl był pokornym służką krzyżaków. Trzej inni: Władysław, Ziemowit, Kazimierz, urodzeni z córki Świętopełka niewiadomego nazwiska, różnili się od starszéj braci brakiem ówczesnéj ogłady światowéj. Ziemowita, brata Kazimierzowego synowie Bolesław i Konrad, pierwszy dobréj, drugi złéj używał sławy, obaj nie mogąc stawić czoła, bratają się i kumają z pogańską Litwą pograniczną.

W dzierżawach osieroconych Bolesława Pobożnego i Wstydliwego, największych stosunkowo i najznamienitszych, dziwny wewnętrznych panuje żywiołów rozstrój. Możnowładztwo i du-

chowieństwo urosło do potęgi samowładnéj, która każdą zmianę księcia witała jako dobrą sposobność powiększenia własnéj potęgi. Jeżeli Bolesław Pobożny szczególniéj duchowieństwu sprzyjał, to Bolesław Wstydliwy pełne garście łask rzucał między znakomite domy, rozdarowywał rozrzutnie królewskie dobra, sypał przywileje uwalniające od prawa książęcego, tak, że nowy książę wchodził jako pan między panów. Dodajmy do tego, że po zniszczeniu tatarskiém miasta zapełniły się osadnikami na prawie niemieckiém, osadnikami Niemcami, którzy odgrodziwszy się murem i strażą miejską od szlachty i panów, mieli także swoje widoki i swoje żądania, tj. pragnęli w księciu mieć przyjaciela swego obyczaju i swego prawa.

W takim stanie rzeczy wstępuje na tron Wielkopolski Przemysław, bratanek bezpotomnego Bolesława, syn Przemysława gnieźnieńskiego, na tron krakowski Leszek Czarny, wezwany testamentem Bolesława Wstydliwego, potwierdzony wyborem duchowieństwa i panów, książe na Sieradzu, właściciel piątej części spuścizny Kazimierza kujawskiego.

Jeżeli pierwszy, łącząc księstwo gnieźnieńskie z kaliskiém, spuściznę stryja z spuścizną ojca, miał od razu znakomite stanowisko — to drugi musiał się dopiero o nie dobijać. W obec możnowładztwa krakowskiego był on małém książątkiem, wobec duchowieństwa podejrzanym potomkiem grzesznego domu, który nigdy nie słynął z cnoty, wobec Polaków w ogóle podejrzanym dla zamiłowania w niemieckim obyczaju i trefionych swych włosach. Żoną Leszka była Gryfina, córka ks. ruskiego Rościsława i siostry Św. Kunegundy, sama zaś siostra żony Otokara, który zginął na marchwianem polu. Parentela ta z Wacławem prowadzi na dwór Leszka obyczaj obcy, niemiły szlachcie krakowskiéj, a zbliżający go raczéj do dworów zachodnich.

Jakkolwiekbądź Leszek nie chciał być malowanym księciem. Rozpoczyna on rządy swoje od zwycięztw nad Lwem halickim pod Goślicami w r. 1280, nad Tatarami i Litwą w 1282. Cudowna aureola otacza to zwycięstwo Leszka, prowadzi go św. Michał Archanioł, z wojska jego nie ginie w bitwie pod Narwią ani jeden człowiek. Ale już w tymże czasie słyszymy o wewnętrznéj zamieszce. Wojewoda sandomirski Janusz i szlachta sandomirska puszczają do Radomia i Sandomierza Konrada, owego dzikiego syna Ziemowita, siedzącego w nadwiślańskim bliskim Czersku. Leszek Czarny,

odebrawszy oba zamki mści się na ukrytéj sprężynie tych knowań na biskupie Pawle z Przemankowa. Myśliwiec zagorzały, hulaka biskup Paweł, przypomina nam luźny żywioł możnowładczy późniejszych czasów upadku. Buntował on się już przeciw Bolesławowi Wstydliwemu — ten nie mógł się zgodzić z gładkim a dążącym do absolutyzmu dworem książęcym. Leszek więzi biskupa w wiernym Sieradzu, Papież wyklina Leszka, biskup puszczony na wolność i obdarowany gotuje drugi rokosz — woła Konrada — Leszek uchodzi na Węgry, do Władysława króla, stryjecznego brata Gryfiny. Na zamku krakowskim pozostaje Gryfina z strażą miejską krakowską, z Niemców złożoną, oczekując odsieczy męża. Jakoż w niewielkiéj liczbie Węgrów pod Jersym Sorsem z Szowaru wraca Leszek, bije Konrada nad Rabą 4 Sierpnia 1285 i srogiego odwetu pozwala sobie na stronnikach Konrada. Tylko Paweł z Przemankowa wyszedł cało, nawet obdarowany, znać zbyt potężnym być musiał.

Odtąd nie znał Leszek Czarny granic zemsty nad Konradem. Wyrabia sobie u stolicy apostolskiéj wyprawę krzyżową na Tatarów i zwraca ją na Konrada. Konrad odpłaca jednaką monetą; w r. 1287 rusza czerń tatarska na Kraków, pustoszy podgórze karpackie — goni za świętą Kunegundą w Pioniny — Leszek ucieka przed nią na Węgry. O tym srogim najeździe przechował lud górski tysiące uroczych podań. Święta Kinga ucieka drogą na Obidzę ku Pioninom — Tatarzy ją gonią, przekonani, że wielkie ze sobą unosi skarby. Z Krościeńczy, mieszczanie odmawiają jéj podwody, za co ich Kinga na wieczne skazuje ubóstwo. Wiezie ją włościanin Kras, odprzągnąwszy własne konie od pługa — i oto pole jego nazajutrz pokrywa się bujną oziminą — a Kras odpowiada Tatarom pytającym o królową: Przechodziła tędy, kiedym siał. Czarodziejska laseczka Kingi, przecina skały pionińskie i prowadzi ich środkiem Dunajca, aby odgrodzić pogoń, wydobywa z ziemi świerkowe lasy, aby wstrzymać pęd koni mongolskich.

Po tej nawale, nie mamy zaś — co dziwna — pewnych o Leszku wiadomości. Naruszewicz idąc za Długoszem, oznaczył datę jego śmierci na rok 1289. Roepell windykował ją podług annalów krakowskich mniejszych na 30 Września 1288. Data ta znajduje potwierdzenie w Annales Polonorum I. wyd. prz. Pertza i przy Wstępie krytycznym do dziejów Polski, Bielowskiego. Ostatni dokument do dziejów Leszka mamy z r.

1288 w dyplomataryuszu Mogilskim, niestety bez dnia i miesiąca — wydany w Krakowie.

Po śmierci Leszka, owo często rokoszujące rycerstwo wzywa już nie Konrada, ale brata jego Bolesława mazowieckiego do Sandomierza. Ale mieszczaństwo niemieckie, wierna tronu Leszkowego podpora, inne ma widoki. Wzywa ono Henryka Probusa, księcia wrocławskiego, pana sławnego z rycerskiéj ogłady, walczącego niegdyś w szeregach Przemysława Ottokara na polu marchwianém, minnesengera, zapewne nie bez rady Gryfiny, wdowy po Leszku, kobiety zalotnéj i salonowéj owego czasu. Henryk był potężnym księżęciem, a nie brakło mu na ambicyi. Zajął Kraków, a pomyślał nawet o koronie polskiéj. Bolesław opuścił z gniewem Sandomiérz, wyrzucając wzywającym go, że go na takie wezwali trudności.

Wygodny to widać był książę. Chciał przyjść do gotowego — a tu należało wszystko dopiero stworzyć, trzeba było odważnie potykać się z wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale był inny w linii mazowieckiéj, który tę rzecz rozumiał.

Był to Władysław Łokietek, syn Kazimierza kujawskiego z Pomorzanki, ożeniony z Jadwigą, córką Bolesława Pobożnego i św. Jolanty, mały wzrostem, ale niepożytego ducha człowiek. Po ojcu wziął on Brześć Kujawski, obecnie wziął po bracie Sieradz. Skoro tylko Bolesław zawiódł oczekiwanie szlachty i Pawła z Przemankowa, udano się do niego. Władysław zebrał Sieradzan i Kujawiaków i z lesistego sieradzkiego sunął prosto na Kraków.

Pod Siewierzem przyszło do krwawéj bitwy z książęty szlązkimi, w któréj po raz pierwszy zajaśniało imię Łokietka. Zwyciężył, zajął Kraków. Ale czyhała zdrada niemieckiego mieszczaństwa. Henryk Probus wysłał oddział pod wodzą Henryka ks. lignickiego, cichaczem przesunął się oddział ten dzisiejszym wadowickim cyrkułem ku Krakowu, cech rzeźnicki otworzył bramy, niemieckie mieszczaństwo powstało. Łokietek przychwycony znienacka oporu stawić nie mógł, szlachty, która walczyła pod Siewierzem niewiele być musiało, wszczęła się rzeź, a chrobre łokciowe książątko musiało uciec za mury miasta w daleki świat, spuszczone w koszu z okien franciszkańskiego kościoła przez poczciwych mnichów, którzy nie zapominali co byli winni krwi Bolesława Wstydliwego i przychylnemu Franciszkanom Łokietkowi.

Paweł z Przemankowa, stojący po stronie Łokietka, dostał się do więzienia. Rycerstwo srogiego doznało ucisku. Henryk Probus poczynił już kroki w celu uzyskania korony polskiéj, gdy w tém zaskoczyła go śmierć 1290. Łokietek korzystając opanował sandomierskie, gdzie miał oddawna przychylny sobie żywioł szlachecki za sobą. Henryk lignicki, ów hetman nadworny Probusa, zabrał Wrocław, któż miał dostać Kraków stolicę Polski?

Henryk miał przeznaczyć Kraków Przemysławowi wielkopolskiemu. Rzecz to nadzwyczaj wątpliwa. To pewna, że po jego śmierci, Przemysław książę Gniezna, rości prawo do Krakowa, podpisuje się jako jego książę, opanowuje go nawet. Dwóch ludzi myślało podówczas w Polsce o przywróceniu dawnéj całości państwa, był to Łokietek i Przemysław. Po śmierci Henryka spotkały się ich dążenia i skrzyżowały, przeszkodzili sobie wzajemnie, a z sporu obu skorzystał trzeci.

Był nim nie kto inny jak syn Ottokara a szwagier Gryfiny, Wacław II król czeski. Oto stronnictwo mieszczańskie, widząc się narażone na nowy ruch polskiego żywiołu a może nawet na wojnę Przemysława z Łokietkiem o Kraków, postanowiło udać się pod opiekę potężnego i bogatego pana, który miał nad sobą aureolę wielkiego ojca a obyczajem i tytułem dworu był książęciem rzeszy niemieckiéj. Z takim współzawodnikiem nie chce walczyć Przemysław, bo ma on Wielkopolskę a jak zobaczymy i Pomorze do stracenia: dostaje mu kroku tylko waleczny Łokietek, siedzący na Brześciu, Sieradzu i Sandomierzu, człowiek żelaznéj natury i wytrwałości.

Wacław czeski, acz wygodny a nie wojenny pan, nie przeocza przecież ważności rozprzestrzeniania się na wschodzie, któréj pominięcie przypłacił jego ojciec. W Ołomuńcu odbiera on w 1291 r. hołd książąt górnego Szląska; dnia 7 lutego poddaje mu się Kraków, i to zarówno mieszczaństwo jak szlachta. Tobiasz biskup pragski, biegły dyplomata, gruntuje po odjeździe Wacława panowanie czeskie i organizuje wojnę przeciw Łokietkowi. W r. 1292, przedsiębierze sam Wacław wielką na zuchwałego księcia wyprawę. Jakoż Łokietek pokonany przez znaczniejsze siły, zamyka się w końcu w wiernym Sieradzu i wytrzymuje tam oblężenie. Dnia 28 września, wyczerpano zasoby obrony. Łokietek poddać się musi, musi uznać się hołdownikiem nawet z Sieradza i Kujaw, oddać na zakładników wiecznych mieszczan swoich z Brześ-

nicy i Brześcia, musi poddać się rygorowi utraty ziem dziedzicznych, jeżeliby się kiedykolwiek zerwał na Wacława. Dzieje się to w obozie pod Sieradzem, w obliczu przywołanego arcyb. gniezn. Jakóba Świnki, Bolesława mazowieckiego, Kazimierza opolskiego i Mikołaja opawskiego, książąt. Zniewieściały Wacław, który podczas grzmotów schował się ze strachu do skrzyni, ugniata dumny kark rycerza, który całe życie spędzał w obozie, który całe życie myśli zjednoczenia Polski poświęcił.

Ale słowo wymuszone nie zabija, jeżeli pozostał duch oporu, nie zabija upokorzenie, jeżeli pozostał duch czynu, myśl odwetu. Jeżeli się Łokietek omal w 1291 z Przemysławem wielkopolskim nie pobił, to teraz łączą się obydwa i przyjaźnią przeciw przewadze czeskiéj. Łokietek przycichł, wzmocnił się księstwem łęczyckiém odziedziczoném po bracie. Przemysław wielkopolski wyszedł na widownią.

Dawne związki krwi i interesu łączyły księstwo pomorskie z linią wielkopolską. Odonicza żoną a Przemysława ojca Przemysława Pogrobowca matką była Helinga, córka Świętopełka, a obaj wielkopolscy książęta Przemysław i Bolesław, chowali się na pomorskim dworze. Obecnie miały te związki błogosławiony przynieść owoc. Mszczug syn Świętopełków, umierając bezpotomnie zapisał państwo swoje prawnukowi Przemysławowi. Wielkopolska z Pomorzem stała się państwem, które mogło znakomite zająć stanowisko, mogła się stać węgielnym kamieniem nowéj wielkiéj Polski. Oprócz Przemysława, który tę myśl powziął, sojusznika jego Łokietka, który ją pochwalał, był jeszcze trzeci człowiek, który ją poparł całemi siłami. Tym człowiekiem był Jakób herbu Świnka Arcybiskup gnieznieński, człowiek obszernéj nauki i wielkiéj energii charakteru w niezgodzie z zniemczałymi książętami szląskimi. W 1283 wyklina Świnka znanego nam Probusa za grabież kościelną, w 1285 gromadzi synod biskupów polskich w Łęczycy, gdzie postanowiono, aby w szkołach parafialnych polskiego języka używać, a nie-polakom beneficyów kościelnych nie dawać, w tymże roku uwalnia biskupstwo chełmińskie za pozwoleniem papieża od uzurpowanego zwierzchnictwa archidyecezyi ruskiéj, krzyżackiéj. Nic naturalniejszego, jak że ten arcybiskup, przyłożył się najdzielniej do nadania roli Przemysława tego wyrazu, jakiego właśnie potrzebowała. Aleksy, sekretarz króla Wacława czeskiego, pozyskany przez Przemysława, wyrabia w Rzymie pozwolenie papiezkie na

koronacyą tegoż Przemysława, tak przeciwną interesom jego pana. Wielkie słowo zostało wypowiedzianém, Przemysław z żoną Ryxą, przyjął koronę Chrobrego z rąk arcybiskupa 26 Lipca 1295. A chociaż już następnego roku, zdrada krajowa Nałęczów i Zarębów, wszedłszy w przymierze z piekielną margrabiów brandeburskich zawiścią, zamordowała księcia w Rogoźnie, to ów fakt koronacyi, to podniesienie imienia Polski jako sztandaru, pozostało po nim, a przyjąwszy się w opinii kraju, zmuszało nawet takiego Wacława czeskiego do uznania Polski jako królestwa, nie pozwalało jej traktować jako zdobytą prowincyą. Jak wiele na takiém słowie idei zależy, świadczą świeże wypadki, świadczy zapamiętałość Rosyi w zduszeniu i zatarciu samego imienia kongresowego królestwa polskiego.

Przemysław zginął pozostawiając tylko córkę nieletnią Ryxę. Stronnictwo narodowe, któremu zależało na nowym przedstawicielu idei Przemysławowéj, wzywa Władysława Łokietka. Wielkopolska, Pomorze, Sieradz, Brześć i Łęczyca, mają się zróść w jedno państwo. Ale nie przyszła jeszcze chwila stanowcza, walka nie była skończoną. Idea całości Polski była jeszcze ideałem. Z drapieztwem dawnych czasów, rzuca się na Wielkopolskę Henryk głogowski, na Pomorze Leszek, syn zniemczonego Ziemiomysła, Łokietek — musi walczyć z wszystkiemi. W saméj Wielkopolsce doznaje on losów, jakich Leszek w Małopolsce doznawał. Leszka Czarnego nienawidziła szlachta, Łokietka niemieckie mieszczaństwo; przeciw Leszkowi buntował się szlachecki i butny Paweł z Przemankowa, przeciw Łokietkowi Andrzej biskup poznański, trzymający z Niemcami w Poznaniu. I podobnie jak po śmierci Leszka w Małopolsce, spotyka go w Wielkopolsce los zawistny po śmierci Przemysława, tam wzywają Henryka, tu Wacława czeskiego. Jak na Leszka Czarnego wołają o gwałty i nadużycia, o drapieztwo dóbr kościelnych. Trudno coś pewnego podać o czterech latach jego rządów w Wielkopolsce, tak skąpe są zapiski annałów. W zamęcie sprzecznych dążeń, trudno wszystkim dogodzić, łatwo narazić się wszystkim. Takiego losu musiał doznać Łokietek, niepodoławszy zadaniu, nie znalazłszy dostatecznego poparcia, ujrzał niebawem w r. 1300 zbliżającą się potęgę czeską, dążącą z królem Wacławem na koronacyą do Gniezna.

Król Wacław był wielkim miłośnikiem ceremoniału i przepychu. Od złota kapały jego hufce przyboczne, kwiat

niemieckiego, szląskiego i czeskiego rycerstwa. Władysław Łokietek opuściwszy Gniezno, wzywał hufce czeskie wojną podjazdową. Odtąd przez lat kilka przyszło mu tułać się po świecie z garstką rycerstwa, lub chronić za granicę przed zwycięzcą. Żona Jadwiga, dotknięta bannicyą z dekretu Wacława wraz z mężem, chowała się w Radziejowie, u wiernego mieszczanina Gerkona, któremu Łokietek poświęcenie to i gościnność hojnie 1310 r. wynagrodził.

Szczęście sypało pełne garście darów na Wacława. Niedosyć, że obecnie godność króla polskiego otrzymał, niedosyć, że Polska znużona długim zamętem chętnie go przyjmowała, nowy jeszcze tron sam mu się nadarzał. Z Andrzejem III wygasła starodawna linia Arpadów, z Polską w przyjaznych zostająca stosunkach. Córka Andrzeja Elżbieta, była za Wacławem, królewiczem czeskim, silne stronnictwo zażądało królewicza na tron i osadziło go na nim. Wyparty z Polski Łokietek, przebywający u wojewody Amadeja w górnych Węgrzech, miał tam sposobność dowiedzenia się o tych nowych sukcessach przeciwnika. Ale dowiedział się zarazem o jego nieprzyjaciołach. Dowiedział się, że Wacław miał współzawodnika, Karola Roberta, wnuka Maryi, córki króla Stefana Arpada, królewicza neapolitańskiego, że tę pretensyą popiera Bonifacy VIII papież dawnego światowładczego ducha Grzegorzów i Innocentych, że niechętnym wzrokiem patrzy na wzrost potęgi Przemyślidów syn Rudolfa Habsburga cesarz niemiecki Albrecht.

Do Rzymu więc do Bonifacego VIII udaje się Władysław ze skargą na Wacława, uzurpatora korony polskiéj, wnosi sprawę polską tam, gdzie się traktowały sprawy całego chrześciaństwa. Wnosi ją w chwili nadzwyczaj korzystnéj Bonifacy VIII wystosowuje piorunny list do Wacława o uzurpacyą korony węgierskiéj i polskiéj, łączy się z Albrechtem rakuskim.

Wielka walka rozpoczyna się. Po jednéj stronie stoi Wacław i Filip piękny, król francuzki, pokłócony z papieżem, po drugiéj Albrecht, Karol Robert neapolitański, a na szarym końcu mocarzy europejskich, książątko wygnane, użyte tylko do małoznaczącéj dywersyi w Małopolsce, Łokietek.

Wielkorządy czeskie, wyłącznie przez Czechów prowadzone, raziły naród. Podobnie jak Ottokar, nie umiał się i Wacław pozbyć obyczaju niemieckiego. W Małopolsce popiera on głównie mieszczan, stawia Nowy Sącz, opiera się

na stronnictwie Leszka Czarnego i Gryfiny. Zajęty sprawami Węgier, pozwala Litwie pustoszyć wschodnie granice, szlachta widzi się odsuniętą. Konfederuje się ona sama na obronę i odzyskuje własną mocą Lublin, oddawna przez Rusinów zajęty.

W r. 1304, zjawia się Łokietek na nowo w ziemi ojczystéj. Rusza z Węgier, bierze Biecz, przedziera się w wierne Sandomierskie, gdzie odzyskuje Pełczyska, Lelów i Wiślicę. Pomaga mu brat Ziemowit dobrzyński.

Widocznie opiera się Łokietek o dawne siedziby ojczyste, kupi rycerstwo i lud Kujaw, Sieradza, Łęczycy, Sandomierza, działając przeciw dwóm głównym centrom władzy i wpływu Wacławowego, Poznaniowi i Krakowu. Nie podlega wątpliwości, że wojna ta przy potędze domowéj Czech, przy przychylnosci pierwiastku miejskiego do Wacława, długoby się była przeciągnęła, ale Opatrzność zbliżyła jéj kres ostatni.

Dnia 21 Czerwca 1205 umarł Wacław II, pozostawiając korony synowi, tytularnemu królowi węgierskiemu Wacławowi czeskiemu.

Następca ten mógł być groźniejszym od ojca. Pogodziwszy się z cesarzem Albrechtem, miał Wacław III wolne ręce, a jego małżeństwo z Weolą piękną córką Mieczysława, biednego książęcia szląskiego na Cieszynie, świadczy, że zwracał oczy ku Polsce. Był też czas na to. Łokietek zajął Sandomierz i Radom i posuwał się ku Krakowu. Wielka wyprawa czeska stanęła właśnie w Ołomuńcu, gdy młodego króla (d. 4 Sierpnia) niemiecka sprzątnęła ręka. Na wiadomość o tym wypadku otworzyli niemieccy mieszczanie bramy Krakowa Łokietkowi, uznało go oddalone Pomorze, wygnawszy namiestników czeskich, jedną Wielkopolskę ubiegł Henryk głogowski, poparty przez poznańskie mieszczaństwo i Andrzeja biskupa. Stało się to po trzech udaremnionych zamachach, po szesnastu latach trudu, zawodów, szarpania wewnętrznego, wśród których nie brakło nędzy, upokorzenia i innych wszelkiego rodzaju cierpień. A znosił je człowiek już podówczas czterdziestoletni, uganiający się od lat dwudziestu z przeciwnościami bez końca.

Objęcie stolicy było dopiero początkiem nowych trudów, nowych usiłowań. Od 1305 do 1370, do śmierci Kazimierza Wielkiego, widzimy mozolne dźwiganie się z upadku, potykanie z zewnętrznymi nieprzyjacioły. Tylko roztropność i energia wojenna ojca, tylko mądrość głęboka w polityce wewnętrz-

néj i zewnętrznéj syna, mogły podołać tak trudnemu zadaniu. Całość Polski wywołała cały tuman nieprzyjaciół wewnętrznych i zewnętrznych, a na czele ich stali Niemcy z zakonem krzyżowym.

Zaledwie śmierć Głogowczyka oddała w ręce Łokietka Wielkopolskę, powstaje w Krakowie bunt niemieckiego mieszczaństwa, wołającego Bolesława ks. opolskiego na tron, który z całą energią przytłumić wypadało.

Niesforność panów pomorskich Szwenców, zepsutych łaskami Wacława, skłania Władysława do fałszywego kroku powołania Krzyżaków na pomoc, Krzyżacy raz opanowawszy Pomorze, nie chcą go już opuścić.

Na tronie czeskim staje awanturniczy rycerz niemiecki Jan luxemburski. Pomny tytułu Wacławów, idzie on z zakonem przeciw Łokietkowi i grozi mu odebraniem Polski. Książęta mazowieccy, tak zazdroszczą Łokietkowi, że poddają się Luxemburczykowi i hołd mu składają. Łokietek szuka naturalnych aliantów w Węgrzech i na Litwie. Pod koniec żywota przyszło Łokietkowi raz jeszcze ważyć koronę na mieczu swoim. Sześćdziesięcio-dziewięcio-letni, stacza on krwawy bój pod Płowcami, zwoławszy wprzód naród na wiec do Chęcin. Zwycięztwo wieńczy starca, zwycięztwo to opromienia jego zgon.

Syn inną idzie od ojca drogą. Nie ufa on sobie o tyle, aby ryzykować koronę na szwank w boju z najpotężniejszym rycerzem chrześciaństwa Janem, widzi, że kraj zniszczony, nie podoła wielkim usiłowaniom. Pokój i gospodarstwo wewnętrzne, oto jego hasła.

Czego utrzymać niepodobna, co zbyt niemieckim przesiąkło żywiołem, co dążyło gdzieindziéj, to odstąpić należy, uważa Kazimierz. Odstępuje więc Szląsk i Pomorze, dwie Bolesławowskie dziedziny, cofa Polskę nad Wisłę, zwątpiwszy o Polsce nad Odrą. Natomiast zwraca oczy na wschód, w kraj bojów Leszkowych, w kraj apostołowania św. Jacka i św. Salomei, zniszczony tatarską nawałą, a obecnie ogołocony z książęcia Bolesława mazowieckiego śmiercią. Tam przykłada ręki, wydobywa Ruś z gruzów, podnosi Lwów z upadku, otwiera handlową drogę ku Czarnemu morzu, którą niebawem hojne do Polski popłyną bogactwa.

Budynkowi brakowało sklepienia, dachu. Podziały, poszarpawszy kraj, wprowadziły rozmaitość praw i sądowych zwyczajów. Rozbiło się społeczeństwo w warstwy liczne, dą-

żące do ciemiężenia się. Kazimierz W. każe spisywać zwyczajowe prawo Wielkopolski i Małopolski, w dwa statuta łączy je i podaje statut wiślicki. Akademia krakowska ma wreszcie pracować dla przyszłości oswobodzonego kraju, ma mu dostarczyć ludzi, biegłych w prawie bożém i ludzkiém, stać się ogniskiem rodzinnéj oświaty, niezależnéj od instytucyi podobnych za granicą. Prawodawca, architekt, założyciel akademii, łączy z tymi tytułami tytuł tradycyjny króla chłopków i opiekuna żydów, widoczna, że jako godny współcześnik Karola IV króla Czech, Karola mądrego we Francyi obejmował wszystkie interesa i stany kraju jednaką pieczołowitością, jak obejmował bystrém okiem sprawy ościenne.

Ale jeżeli postać wielkiego króla napełnia nas tylko smutném wspomnieniem minionéj wielkości, ładu, bogactwa, potęgi, to postać ojca, który widział najsmutniejsze dni upadku, a umarł w chwale zwycięztwa, postać ta musi być i dzisiaj, miłą dla nas pociechą, a co więcéj, podaje nam ona bogatą naukę dziejową. Widzimy jak na dłoni, że naród nie da się zabić, widzimy jak na dłoni, że znieść może wiele, bardzo wiele, byle przechował tradycyą przeszłości, uczucie narodowe, choćby w ciszy domowego ogniska. Widzimy nadewszystko, że ostateczny zwrot w wypadkach, w XIII czy XIX wieku zachowuje sobie Opatrzność, ta Opatrzność, która bezpotomném zejściem książąt kleiła napowrót rozbite dzielnice, która usunęła w stanowczych chwilach obu Wacławów, i w ten sposób ułatwiła zwycięztwo. Widzimy, że najgorsza chwila niesie w sobie często zarody chwil lepszych, że owo ocalenie Polski, mówiąc słowy Lelewela, nie dopełniło się dzikim, ostrym lub nagłym ruchem, ale za zbiegiem przyjaznych okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych, że nie zabiły téj Polski ani śmierć Mieczysława ani wielkorządy czeskie, ani napady Litwinów, Tatarów i Krzyżaków, nie zabiło owo upokorzenie się Łokietka przed Leszkiem ani uznanie Wacława przez Wielkopolan. Widzimy, że obok przeszkód zewnętrznych, niemałą rolę odgrywają: wewnętrzne rozbicie narodu na drobne obozy i dążenia, partykularyzm dążeń stanowych, tłumiący interes powszechny.

W bocznéj nawie wawelskiego kościoła, oglądał zapewne każdy z szanownego zgromadzenia ów skromny pomnik z białego piaskowca, przedstawiający leżącego w uśpieniu wieków Władysława Łokietka. Przypatrzywszy się tej twarzy, tym włosom po słowiańsku przyciętym, tym wąsom pokrętnym,

mimowolnie staje nam przed oczyma uderzające podobieństwo z polskim włościaninem czystej krwi słowiańskiej. Tażsama tam pogoda oblicza, tenże sam wyraz zdrowego rozumu i energii męzkiéj, ten sam wyraz niepokonanéj niczém natury, która się ugnie stokroć ale złamać się nie da. W kilkaset lat po śmierci Łokietka, brzęczała nad uchem kamiennego króla ostroga Karola Gustawa, a oprowadzający najeźdźcę kanonik Starowolski natrącił fakt, że król ten trzykroć z Polski wygnany, trzykroć do niéj powracał. Ale wasz Jan Kazimierz raz wygnany, nie wróci już do niéj. — Któż to wié, odrzekł cicho Starowolski, szczęście jest zmienne, Bóg wielki! Wtedy odszedł Karol Gustaw od pomnika, zadumawszy się nad słowy kapłana.

Czyliż da się pomimo tego wszystkiego porównać chwila dzisiejsza, chwila tak groźna, z dziejami narodu XIII wieku? Nic się w świecie nie powtarza, nic jednaką nie idzie koleją. Cóż nam przyjdzie z rozważania dziejów minionych o 500 lat od nas odległych? Zapewne, nic się w świecie nie powtarza, ale wszystko, co się dzieje, dzieje się podług tychże praw bożego porządku na świecie.

Te prawa niezbadane dla nas, rozstrzygają często małoznacznemi przyczynami wielkie zawikłania dziejowe, usuwają znakomite czynniki z widowni dziejowéj a zsyłają nowych ludzi opatrznych.

Te prawa stawiają każdemu narodowi warunki bytu i utrzymania, a przynajmniéj przechowania się w najcięższych nawet okolicznościach. Warunkiem takim jest przechowywanie obyczaju, języka, tradycyi, wiary ojczystéj, warunkiem takim jest roztropność w postępowaniu i mądre rozpatrzenie się w okolicznościach. Warunkiem takim jest zgoda społecznych żywiołów. W najtrudniejszych okolicznościach ma jeszcze Polak obowiązki i służbę, bo oto od niego zależy jak rodzinę wychowa, od niego zależy, jaki wpływ na stykające się ze sobą warstwy rzeszy wywiera, jak swój dobytek utrzyma, od niego zależy, jakiemu hołduje obyczajowi. W najtrudniejszych okolicznościach on jest stróżem języka, oświaty, obyczaju, majątku. Od jego wpływu na współbraci zależy usposobienie jego współbraci, on postępowaniem swojém stanowi, czy należy do organicznych czy do dezorganizujących społeczeństwo żywiołów. Tak w kole codziennych obowiązków spotykamy zawód rdzennéj pracy dla narodu i społeczeństwa,

pracy która pozostaje, chociaż niejedno przedsięwzięcie polityczne chybi i smutny sprowadzi zawód.

Czy myślicie szanowni słuchacze, że nam owe czasy największego zamętu nie pozostawiły takich pamiątek! Oto nie szukając daleko, wspomnę fundacyą starosandecką, klasztor św. Kunegundy, gdzie się uczą dotąd dziewczątka miasteczka i okolicy. Któż nie wie, że Stary Sącz, jest nietylko moralném i pobożném, ale polskiém miasteczkiem, które dostarcza nam posłów zacnych i z polską głosujących większością. Ziarno zasiane przez św. Kunegundę, wydaje dotąd owoce, i nie przestaje ich wydawać. Popatrzmy na najwspanialsze kościoły Krakowa, kościół Dominikanów, kościół P. Maryi, Franciszkański, wszystkie one w tych czasach powstały. Oto organiczna praca owych czasów, która stulecia przetrwała. Starajmy się, aby i po nas, jakiekolwiek zdarzą się losy, pozostało coś więcéj jak wspomnienia politycznych porażek lub karnawałowych zwycięztw. Nie chcę wątpić, że pozostanie, a oto za mały dowód niech mi stanie owa gotowość i chętność, z jaką garnie się szanowna publiczność na zgromadzenie, mające cel tak piękny, jak podanie pomocnéj ręki Towarzystwu pomocy dla uczącéj się młodzieży.